W SPRAWIE
ŚW. STANISŁAWA BISKUPA



wycof.

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA BISKUPA

Ankieta zainicjowana przez Redakcję „Przeglądu Powszechnego“

WYDANIE II

Wydz. Bibl. Prawnicza
1806132344

KRAKÓW 1926
NAKŁADEM WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW

Seminarium Historyczne
Dział V-3976 Nr. 15553

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

SŁOWO DO DRUGIEGO WYDANIA.

W r. 1909 na łamach »Przeglądu Powszechnego« toczyła się dyskusja nad poglądem prof. Tadeusza Wojciechowskiego na charakter zatargu św. Stanisława biskupa z Bolesławem Śmiałym i tem samem przyczynę i rodzaj śmierci krakowskiego biskupa. Dyskusja ta, w której zabierali głos najpoważniejsi historycy nasi, została ogłoszona także w osobnej książce p. t. »W sprawie św. Stanisława« (Kraków, 1909, str. 126).

Ponieważ sprawa ta nie przestaje być aktualną, a książka z r. 1909 została dawno wyczerpana, postanowiliśmy ogłosić ją powtórnie z tą tylko zmianą, że zamiast ówczesnego »zagajenia« ankiety pióra Dra K. Krotoskiego, dajemy nowy artykuł tegoż uczonego, uwzględniający dalsze losy dyskusji i zagadnienia po ankiecie aż do naszych dni.

POKŁOSIE DYSKUSJI.

I. Meritum sporu naukowego o św. Stanisławie biskupie.

Badania historyczne mają służyć do odkrywania prawdy dziejowej. Niestety, aż nazbyt często nadużywa się ich do zaciemniania tej prawdy i szerzenia fałszu, zwłaszcza jeżeli chodzi o interesy partyjno-polityczne lub religijno-wyznaniowe. W historjografji polskiej taką nadużywaną kwestją jest spór o św. Stanisława biskupa, spór czy był świętym, czy zdrajcą swego kraju. Spór ten toczy się od stu lat przeszło, od czasów odkrycia przez Czackiego tekstu Galla z zagadkowem oskarżeniem biskupa o »grzeszną zdradę«. Spór ten naukowy zaognił się zwłaszcza między r. 1898 a 1909. Podnietę do tego dał pamflet historyczny Dr. M. Gumplowicza p. t. »Zur Geschichte Polens im Mittelalter« w ustępie »Boleslaus II und der h. Stanislaus«, pamflet, skierowany przeciwko kultowi św. Stanisława, a przez poważną krytykę scharakteryzowany jako *Dichtung u. Wahrheit* albo samo *Dichtung*. Oliwy do ognia dolał fakt, że tłumaczenie tego pamfletu już po wydaniu oryginalnego tego dziełka w języku niemieckim pojawiło się w *Kwartalniku historycznym* w r. 1898. Jak następny redaktor *Kwartalnika*, ś. p. A. Semkowicz, pierwszorzędny znawca naszych dziejów średniowiecznych, oceniał to niedopatrzenie redakcji poważnego pisma naukowego z r. 1898, tego dowodem jest ustęp z listu jego z dnia 21 lipca 1899 r., do piszącego te słowa wystosowanego: »Czytałem uważnie — pisze ś. p. Semkowicz — książkę Gumplowicza i przyszedłem także do wniosku, że jest to praca, dowodząca wielkich zdolności blagierskich autora-żyda, a przytem nieuczciwa, bo krzywdząca ludzi, spaczająca wypadki. Nie dziwna, że wyniki Gumplowicza taką wywołały radość u naszych najserdeczniejszych, jak n. p. w *Beil. z. Allg. Zeitung* z r. 1899 n. 46, oraz w *Centralblacie* i *Litteraturzeitung*. Sądzę, że pismo fachowe powinno z całą stanowczością, z całym arsenałem

argumentów wystąpić w obronie prawdy, tak lekkomyślnie zdeptanej; dlatego z wielką wdzięcznością przyjmuję propozycję WPana Profesora i umieszczę cenną Jego recenzję w najbliższym zeszycie. Może tym sposobem choć w części naprawię błąd, popełniony przez redakcję *Kwartalnika historycznego*«.

Taki twardy sąd wydał o rewelacjach Gumplowicza poważny uczony polski i zdaniem naszem słuszny sąd, jeżeli zważymy, w czem te rewelacje kulminują. Otóż żydowski pamflecista przedstawia postać Patrona Polski jako skończonego infamisa. Był zdrajcą króla i Ojczyzny na rzecz Czechów i Niemców. Ba, co więcej — biskupi współcześni Gallowi tak samo się patrzyli na św. Stanisława, jako na zdrajcę, jak i Gall. Władysław czeski panował szereg lat w Krakowie, św. Stanisław był przeciwnikiem Grzegorza VII w sprawie celibatu, a może tak samo, jak Czesław, późniejszy biskup krakowski z r. 1102, żonaty; pochodził św. Stanisław z rodu Turzymów, zostawał w jakichś związkach rodzinnych z Magnusem, komesem wrocławskim i matką Zbigniewa, syna Władysława Hermana, późniejszym biskupem krakowskim Czesławem i t. d. Były to fantazje i halucynacje chorobliwego umysłu, jak twierdził słusznie o nich tak poważny uczony, a kolega piszącego, ś. p. Potkański.

To też zdziwienie ogarnęło nietylko piszącego, ale wielu poważnych uczonych, gdy w publikowanych r. 1904 »Szkicach historycznych« prof. Wojciechowskiego znaleźli wymienione fantazje Gumplowicza, powtórzone w całej pełni, i w jeszcze większe zdumienie popadli, gdy urzędowa krytyka te halucynacje Gumplowicza właśnie wynosiła pod niebiosa i sławiła jako inwencję prof. Wojciechowskiego. Poczytałem to za plagjat, popełniony na Gumplowiczu i w obronie jego »odkryć naukowych« wystąpiłem w *Kwartalniku historycznym* w r. 1909. Na skutek tego od jednego z najbliższych przyjaciół prof. Wojciechowskiego prywatnym listem dowiedziałem się, że to Gumplowicz popełnił plagjat na prof. Wojciechowskim, publikując odkrycia naukowe profesora, głoszone jeszcze przed r. 1898 w czasie wykładów uniwersyteckich.

Faktu tego nie znając, piszący z całą stanowczością twierdził i mógł twierdzić, iż prof. Wojciechowski w swoich »Szkicach« uległ sugestji młodzieńczej literatury naukowej w pracach Gumplowicza i Stefczyka. Jest faktem bowiem, że co do kwestji św.

Stanisława prof. Wojciechowski miał całkiem inny pierwotnie pogląd, mianowicie w pracy swej »O rocznikach polskich« (Pam. Akad. Umiej. t. IV) twierdził, iż duchowieństwo krakowskie w r. 1088, urządzając uroczystą translację zwłok biskupa, uczyniło pierwszy krok do jego kanonizacji.

O zamiarze kanonizacji przez translację w r. 1088 wspomina prof. Wojciechowski jeszcze w nowszej pracy z r. 1902 »Kościół Katedralny w Krakowie« (str. 135). We wspomnianych »Rocznikach polskich« pisząc o dwóch serjach cudów, wyróżnionych w Żywocie św. Stanisława, wnioskuje, że zaczętych dawniej starań o kanonizację zaniechano (l. c. t. IV, str. 167, uw. 1). Dopiero w »Szkicach hist. XI w.« głosi, że ta translacja ciała biskupa Stanisława miała zabarwienie polityczne, jako rehabilitacja człowieka, sądzonego o zdradę główną, tylko nikt nie mógł wtedy przewidzieć, ani Gallus ani kanclerz Michał ani biskupi, którzy czytali kronikę Galla, że ta translacja stanie się zawiązkiem kultu i że doprowadzi aż do kanonizacji (!) (str. 340—41). Franciszek Stefczyk, kolega piszącego ze Seminarjum historycznego prof. Smolki, napisał młodzieńczą seminaryjną pracę p. t. »Upadek Bolesława Śmiałego«, następnie publikowaną w *Ateneum* w r. 1885, mimo, że znicował ją zupełnie i odsądził od miana naukowości prof. Smolka. O pracy i hipotezie Stefczyka taki mistrz historji, jakim był prof. Liske (Sybels, *Hist. Zeitschr.* 1886, t. 56, str. 171) pisze, co następuje: »Hipoteza ta, jakkolwiek autor z emfazą za oryginalną ją ogłasza, jest niczem innem, jak szerszem rozprowadzeniem hipotezy Czackiego i Bielowskiego o zdradzieckich stosunkach biskupa z Czechami. Nową jest interpretacja *Kuźmy* tak wyśrubowana i gwałtownie naciągnięta, że może tylko do tego służyć, by pokazać, jak nie należy interpretować źródeł średniowiecznych. Gdyby się autora naśladowało, tedy możnaby naiwnym średniowiecznym kronikarzom wszystko wmówić, co tylko żywnie się podoba... Praca Stefczyka sprawy nie wyjaśnia ani na krok dalej, jesteśmy w tych samych ciemnościach, jak dawniej«. Wobec tej druzgocącej opinji największego mistrza historji i metody historycznej w Polsce zeszłego wieku wprost zdziwieniem ogarnia diametralnie odmienny sąd p. Wojciechowskiego o pracy Stefczyka w »Szkicach hist.« (str. 249): »Pierwszą i fundamentalną krytykę źródłową tego faktu (Stracenie i zegnanie króla Bolesława II) zawdzięczamy Lelewelowi, najlepszą

zaś po Lelewelu rozprawę dał Franciszek Stefczyk: »Upadek Bolesława Śmiałego«, *Ateneum*, 1885. Ponieważ dalej Stefczyk kwestjonuje wpływy gregorjańskie na katastrofę z r. 1079, ponieważ uważa politykę Bolesława Śmiałego za zupełnie niezależną od stosunków z Rzymem, a tego samego zdania jest prof. Wojciechowski w »Szkicach« (str. 292) twierdząc, że w całym fakcie Stanisława nie było żadnego elementu ani motywu ani momentu kościelnego, że czyn grzeszny biskupa Stanisława wobec króla był wyłącznie polityczny — przeto trudno zaprzeczyć wpływom młodzieńczej pracy Stefczyka na Wojciechowskiego. Jeżeli zaś zważymy, że pod auspicjami Wojciechowskiego *Kwartalnik historyczny* drukuje w r. 1898 tłumaczenie w języku niemieckim publikowanych fantastycznych oszczerstw Gumplowicza o św. Stanisławie, fantazyj, powtórzonych sześć lat później w »Szkicach historycznych XI wieku«, jeżeli dalej się napotka w tych samych »Szkicach« tego rodzaju pochlebny sąd o Gumplowiczu, jak »była u niego bogata fantazja i taka bujna, że urągała wszelkiej kontroli, ale też był materjał na niepospolitego badacza« — tedy wpływ młodocianej niedojrzałej literatury na sędziwego badacza wydaje się być niezawodnym, lub, co gorsza, widocznym jest u młodych, jak u starca, ten sam cel: »oszczerstwem świadomem czy nieświadomem — nie rozstrzygamy — kalać narodową świętość«.

I rzecz ciekawa, choć smutna — mimo, że Wojciechowski narodową świętość głównego Patrona Polski obrzucił najhaniebniejszemi zarzutami antygregorjanizmu, politycznej zdrady na rzecz Czechów i juniora Hermana Władysława, a błog. Kadłubkowi insynuował pobożne oszustwo w przedstawieniu męczeńskiej śmierci św. Stanisława, »albowiem on sam już wierzył, a przynajmniej rozumiał, że tak jest dobrze i to pomagało do wiary« (»Szkice hist.« str. 341), mimo tak straszliwych zarzutów, publicystyka polska w znacznej części przyjęła ten werdykt i »Szkice historyczne« p. Wojciechowskiego z uwielbieniem. »Sprawa św. Stanisława stracona« — pisano za Wojciechowskim; »sprawa św. Stanisława stracona« — powtarzali uczeni, literaci, studenci, powtarzali młodzi nauczyciele gimnazjalni, gimnazjaliści, powtarzały pisma żydowskie, socjalistyczne, liberalno-radykalne, powtarzały feministki niewierzące z radością. Rewelacje Gumplowicza—Wojciechowskiego zwano »ściśle naukową hipotezą«, »osta-

tnim wyrazem nauki««. O domysłach Wojciechowskiego ogłoszono patetyczny werdykt: *Scientia locuta — causa finita*« (Smolka, Ankieta, patrz dalej str. 95).

Nie dziw, w sprawie werdyktu, odsądzającego Patrona Polski od czci i wiary, stanęła najwyższa instancja naukowa, krakowska Akademja Umiejętności, do pewnego stopnia po stronie Wojciechowskiego, już w r. 1905 ogłaszając za sprawą ówczesnego swego generalnego sekretarza, prof. Ulanowskiego, sprawozdanie z posiedzenia Komisji Akademji rzeczonej, uchwalającego nagrodę za najlepszą pracę historyczną. W sprawozdaniu tem, publikowanem dosłownie w krakowskim *Czasie* z dnia 20 maja 1905 r., czytamy, co następuje o »Szkicach histor. XI wieku«: »Prof. Wojciechowski zajmuje u nas całkiem wyjątkowe stanowisko. Każda jego praca budzi niezwykłe zainteresowanie, każda konstrukcja wywołuje podziw, a bystrość w tłumaczeniu zawiłych tekstów, oraz oryginalna metoda w rekonstruowaniu prawie nieznanych wypadków są wprost niedościgłe. Przedmiotem tych »Szkiców z XI wieku« — to szereg najtrudniejszych i nierozjaśnionych kwestyj, które dają prof. Wojciechowskiemu pole do wykazania w całej pełni tego wyjątkowego uzdolnienia do wkraczania z twórczą niemal intuicją w przeszłość najbardziej zagadkową. Być może, że z czasem, jeżeli zasób naszych źródeł historycznych się powiększy, niejedna hipoteza lub konstrukcja prof. Wojciechowskiego ulegnie modyfikacji. Nie zmieni się jednak przenikliwość, z jaką autor bada na podstawie tego, co na razie ma przed sobą, stosunki z XI wieku w Polsce. »Szkice« p. Wojciechowskiego pozostaną zawsze książką klasyczną, podającą najcenniejsze wskazówki metodyczne w sposobie, w jaki się zmusza małomowne teksty do wyjawienia tajemnic, szczelnie w nich zawartych, a przecież wydobywanych na jaw przez potężną inteligencję zżytego z epoką i materjałem historyka«. Zachwytu nad »Szkicami hist. z XI wieku«, jaki wyziera z przytoczonego sprawozdania z r. 1905, nie podzielali wszyscy członkowie Komisji Akademji Umiej. Nagrodę im. Barczewskiego za najlepszą pracę historyczną przyznali wprawdzie w r. 1906 prof. Wojciechowskiemu za jego »Szkice«, członkowie Komitetu Akademji Umiej. uważali jednak za konieczne zaznaczyć, że głosując jednomyślnie za przyznaniem nagrody dziełu Wojciechowskiego, nie godzą się

bynajmniej na wszystkie rezultaty dociekań zasłużonego autora. (Rocznik Akad. Umiej. w Krakowie za r. 1905/6, str. 131).

Entuzjastyczny panegiryk na cześć »Szkiców« z r. 1905 był zatem zdaje się więcej wylewem osobistych uczuć jego autora, t. j. prof. Ulanowskiego, niż zbiorowym sądem członków Akademji Umiej. Działalność zaś tego właśnie sekretarza generalnego Akademji semickiego pochodzenia nie należała do jasnych kart w dziejach Akademji. Ani pod względem naukowym, ani pod względem gospodarczym, ani pod względem towarzyskim nie był on tej instytucji chlubą. Prof. Ulanowski próbował nawet ś. p. Kardynała Puzynę skompromitować, zapraszając biskupa krakowskiego na uroczyste posiedzenie Akademji, na którem odznaczono dzieło, piętnujące św. Stanisława zdrajcą, a błog. Kadłubka pobożnym oszustem. Zapobiegł temu ks. Bandurski, wytykając generalnemu sekretarzowi brutalny nietakt wobec biskupa krakowskiego przez tego rodzaju zaproszenie.

II. Znaczenie ankiety w sprawie św. Stanisława.

Był to nie tylko brutalny nietakt wobec biskupa krakowskiego, ale co więcej — zgorszeniem dla całej wierzącej Polski było ogłoszenie sprawy św. Stanisława za straconą na podstawie naciągniętej interpretacji jednostronnego źródła, na dobitek w dwóch miejscach zepsutego. Toteż prawdziwą zasługą wobec nauki, wobec Kościoła i wobec prawdy historycznej była ankieta *Przeglądu Powszechnego* w r. 1909, ogłoszona w sprawie św. Stanisława i zaproszenie do zabrania w niej głosu najwybitniejszych naszych uczonych i historyków. Najgłośniejszymi badaczami i znawcami naszego ówczesnego średniowiecza byli wówczas, prócz prof. T. Wojciechowskiego, prof. Balzer, Smolka, W. Kętrzyński, Potkański, A. Semkowicz, a obecnie prof. St. Zakrzewski i Wł. Semkowicz. Zdanie A. Semkowicza w tej kwestji przytoczyliśmy powyżej, również i zdanie Potkańskiego, albowiem tenże, odrzucając całkiem naukową pracę takiego M. Gumplowicza w kwestji św. Stanisława, zakwestjonował tem samem jego wyniki naukowe, powtórzone przez T. Wojciechowskiego. Nie wziął udziału w ankiecie, niestety, prof. Balzer; z ust jednak jego najbliższych informowano mnie, że w kwestji naszej stanowczo był przeciwny opinji Wojciechowskiego.

Chcąc zrozumieć stanowisko Komisji Akademji Umiejętności, przyznającej nagrodę p. Wojciechowskiemu za »Szkice hist. XI wieku« i uczestników ankiety, członków po części owej Komisji, a mimo to zwalczających stanowisko T. Wojciechowskiego w sprawie św. Stanisława, musimy sobie uprzytomnić znaczenie i wartość badań T. Wojciechowskiego. Autor »Chrobacji«, »Rozpraw o Rocznikach polskich«, »O piaście i Piaście«, »Kościół katedralny w Krakowie« i t. d. zajmuje bez kwestji wybitne stanowisko w naszej historjografji. Posiadał niezwykłą intuicję, wybitny zmysł badawczy i pomysłowość w odsłanianiu zagadek historycznych. Długoletnie zajmowanie się źródłami do początkowych dziejów polskich, ustawiczne wnikanie w tajniki zamierzchłej przeszłości, bujna wyobraźnia mistrza, połączona z niesłychaną zręcznością w argumentowaniu, oraz z mistrzowstwem stylistycznem, olśniewała i porywała czytelnika, zwłaszcza niefachowego. Był w tym uczonym historyku równocześnie i poeta-fantasta, który tam, gdzie była pustka źródłowa, wypełniał ją w lot domysłem, rzekomą konstrukcją naukową, którą identyfikował z faktem. *Wahrheit* uczonego łączyła się w nim z *Dichtung* naiwnego poety. Ten sam uczony, który w nazwie Piastów odkrył misternie urząd majordoma w pierwotnej Polsce, tak się przegalopował w swych dowodach, że każe nam uwierzyć, iż Piast i Rzepicha są tłumaczeniem greckich nazw Filomena i Bancydy, bohaterów klasycznej sielanki świata starożytnego. Takim skokiem z twardego gruntu prawdy w majaki grząskie fantazji usiłuje wytłumaczyć genezę podania o Popielu i Piaście. I takich skoków fantastycznych w dziełach Wojciechowskiego jest pełno; i nie dziw, był przecież autodydaktem w nauce historji, nie krępował się hamulcem nowoczesnej metodyki historycznej, której mistrzami byli u nas taki Liske lub Smolka. Tem się tłumaczy olśniewanie odkryciami Wojciechowskiego niefachowców i literatów, a równocześnie sceptycyzm wobec nich u gruntownych rzeczoznawców, pracujących z Wojciechowskim na tej samej niwie naukowej. Pracownia Wojciechowskiego była reklamowana i modna, przed którą tylko drugorzędne gwiazdy plackiem padały, na którą prawdziwe słońca naukowe zapatrywały się sceptycznie. Wykazała to dowodnie dyskusja naukowa, zainicjowana przez *Przegląd Powszechny*. Wzięło w niej udział pięciu historyków i jeden filolog, prof. uniwersytetu Miodoński. Wśród historyków

było dwóch profesorów uniwersyteckich: Czermak i Smolka, dwóch członków Akademji Umiejętności: Smolka i W. Kętrzyński. Obok wymienionych poza ankietą zabrał równocześnie głos prof. uniwersytetu St. Krzyżanowski. Wspomnieć o nim przy omówieniu ankiety dlatego na wstępie należy, albowiem on, a nie kto inny, jeden z najsporniejszych punktów dyskusji naukowej o św. Stanisławie definitywnie rozstrzygnął i to na korzyść Wojciechowskiego. Mianowicie zapomocą facsimile z kodeksu Sędziwoja ustalił ostatecznie tekst kroniki Galla w ustępie zakwestjonowanym: »*Non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare* — Nie powinien był chrześcijanin na chrześcijaninach za jakikolwiekbądź grzech tak okrutnie się mścić«. St. Krzyżanowski wykazuje, że tekst autentyczny brzmi: *christus in christum*, t. zn. nie powinien pomazaniec mścić się tak okrutnie na pomazańcu, jak trafnie przyjmował Wojciechowski. Użycie wyrazu »pomazaniec« na określenie króla wykazuje dowodnie, zdaniem St. Krzyżanowskiego, że Gall był antygregorjaninem w przeciwieństwie do gregorjanina Stanisława. Stwierdzenie tego faktu dlatego jest ważne, iż Wojciechowski wykluczał możność, aby zatarg króla z biskupem miał jakikolwiek charakter kościelny.

Przypuszczenie to Wojciechowskiego uważam za jedną z największych jego pomyłek. W chwili, kiedy Grzegorz VII śle legatów do Polski celem organizacji Kościoła i koronacji króla, kiedy pisze do Bolesława listy specjalne, kiedy wydaje do całego świata katolickiego swe orędzia w sprawie reformy Kościoła, inwestytury, celibatu i t. d., odgraniczać Polskę kloszem od wpływów rzymskich jest stanowczym anachronizmem. Że zatarg biskupa z królem ma koloryt kościelny, na to wskazuje panegiryk łaciński na cześć Bolesława Śmiałego, napisany przez zaciekłego regalistę, który ostatniemi słowy lży biskupa Stanisława i o wszelkiego rodzaju rozpustę posądza. Panegiryk ten z pierwszej połowy XII wieku posłużył Kadłubkowi do skreślenia daleko jaśniejszego od Gallowego obrazu Bolesława i nie mógł absolutnie pochodzić z pod pióra Kadłubka, wielbiciela biskupa. (Krotoski »O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego z pierwszej połowy XII wieku«). W Polsce toczyła się taka sama walka między gregorjanami i antygregorjanami właśnie o celibat księży, jak w całym ówczesnym świecie katolickim. Gregorjanie polscy

pokroju Aronowego, który obyczaje zakonne narzucił klerowi świeckiemu, za zgodą dworu w r. 1088, dokonują uroczystej translacji ciała męczennika ze Skałki na Wawel i czynią temsamem pierwszy krok do kanonizacji biskupa. Smolka jest innego zdania i godzi się z nowym poglądem Wojciechowskiego, że to była tylko polityczna rehabilitacja zamordowanego biskupa. Uznaję za trafne spostrzeżenie Smolki, iż zamordowanie i kanonizacja Tomasza Beckerta w Anglji w r. 1172 dały pochop wielbicielom św. Stanisława do wznowienia starań o jego kanonizację, twierdzę jednak na podstawie źródeł XI wieku, że translacji w charakterze świeckim i politycznym wiek XI nie zna. W źródłach, rocznikach czy kalendarzach XI wieku roi się od różnych translacyj, wszystkie jednak one odnoszą się do ludzi świętych lub za świętych poczytanych. W każdym zaś razie zapiska w kalendarzu krakowskim pod dniem 27 września 1088 »Translatio st. Stanislai martyris« nie może mieć innego znaczenia, jak tylko takie, jakie jej pierwotnie przypisał T. Wojciechowski, t. j. musi być poczytana za pierwszy krok duchowieństwa krakowskiego w staraniach o kanonizację świętego i męczennika.

Pod wpływem trzeciej małżonki Władysława Hermana, słynnej z rozpusty siostry cesarza Henryka IV, namnożyło się w Polsce antygregorjańskich biskupów i arcybiskupów niemieckiego i polskiego pochodzenia, owych Eberhardów i Czesławów tyle, że nawet w Krakowie, tem ognisku leodyjskiej reformy kościelnej z czasów arcybiskupa Aroma, zapanowali około r. 1100 księża i biskupi żonaci, którzy z duszy i serca pamięć gorliwego biskupa gregorjańskiego, zwolennika celibatu, błotem obrzucili. Pod wpływem takich biskupów i takich księży pisał Gall o »grzesznej zdradzie« biskupa, pisał antygregorjański panegirysta z XII wieku swój paszkwil na biskupa a panegiryk na króla. Oni też udaremnili wczesną kanonizację biskupa-gregorjanina.

Jeżeli co do pierwszej interpolacji w tekście Galla nastąpiło wyjaśnienie na korzyść przypuszczenia Wojciechowskiego, ale nadające równocześnie kościelny koloryt wersji Gallowej wbrew twierdzeniom Wojciechowskiego, to druga interpolacja Wojciechowskiego w tekście Gallowym: *sed deferre Vladislao facto dolet inimico*, mająca rzekomo udowodnić zdradziecką umo-

wę biskupa z juniorem Władysławem, spotkała się u wszystkich członków ankiety z protestem i zaprzeczeniem.

Czermak, aczkolwiek idzie jak najdalej za Wojciechowskim, aczkolwiek nie godzi się, że Władysław Herman był w zgodzie z Władysławem czeskim i cesarzem Henrykiem IV i że biskup do tej zmowy należał — mimo to kwestjonuje, by była jakakolwiek podstawa do twierdzenia, że św. Stanisław brał udział w akcie wypędzenia Bolesława. Jeżeli zaś biskup popierał Władysława Hermana, to tylko bronił słusznych praw pokrzywdzonego brata królewskiego. Tak samo kwestjonuje Prochaska, by na podstawie Galla można wnioskować cośkolwiek o nieprzyjaźni Władysława Hermana do Bolesława. Miodoński wyrażenie »traditor« na wzór ks. Namysłowskiego, który widzi w traditorze »wyklinającego« biskupa, zgodnie z używanym w XII wieku zwrotem »St. Paulus traditor«, interpretuje przez »strofujący«; natomiast wyklucza zupełnie Władysława Hermana z tekstu Galla, a ustęp zakwestjonowany tłómaczy: »Władysław Węgierski boleje jednak, że Bolesław rozzuchwala się wstrętnym czynem«.

Wojciechowski twierdzi z całą stanowczością, że zwrotu Galla: *pontificem truncationi membrorum adhibuit*, nie można inaczej wyrozumieć, jak, że był wyrok, t. j. skazanie i egzekucja, że orzeczenie »adhibuit« wyklucza absolutnie własnoręczny udział Bolesława, albowiem wyrażenie »adhibere aliquem truncationi« jest wyrażeniem zupełnie odosobnionem. Otóż Miodoński, pod względem filologicznym daleko większa powaga niż Wojciechowski, wykazuje, że często używa się podobnych zwrotów bez żadnej myśli o zasądzeniu. (Zob. niżej str. 67).

Nie innego zdania jest Wojciech Kętrzyński. Zwrot: *pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit* wyraża zdaniem jego to tylko, że z polecenia króla zamordowano w sposób okrutny biskupa. Że Władysław Herman przyczynił się do wypędzenia Bolesława Śmiałego, to zdaniem W. Kętrzyńskiego fakt, ale niema śladu, by w tym buncie i spisku brał udział św. Stanisław, jest to tylko domysł Wojciechowskiego. Dalej faktem jest, że biskup został zabity, lecz »truncatio membrorum« nie zaszła wcale. Wedle Mistrza Wincentego i legend »ciało znaleziono nietknięte, całkiem bez śladu nawet blizny«. Jeżeli gdzie tradycja mówi prawdę, to tutaj ma miejsce. Skoro nie było pocięcia członków, nie było też i sądu, któryby miał wydać wyrok

podobny. Zabicie biskupa było aktem zemsty królewskiej, wedle samego Galla. Gall wiedział, jak było, królowi przypisuje »peccatum«, biskupowi »traditio«. Co jest »traditio«, nie wiemy; nie koniecznie znaczy zdradę na rzecz Czechów albo Władysława Hermana. Jak z Ledóchowskim i Duninem, tak było i ze św. Stanisławem: był zatarg z królem, ofiarą zatargu padł biskup, a król został wygnany. Sąd ten W. Kętrzyńskiego tembardziej waży na szali, iż to nie jest sąd wierzącego katolika, który z obowiązku winien bronić zarówno prawdy, jak i świętości Kościoła, lecz sąd ewangelika, zupełnie w tej sprawie wyznaniowo niezaangażowanego, tylko trzeźwo patrzącego na sprawę uczonego.

Najgruntowniej w ankiecie sprawę św. Stanisława poruszył prof. Smolka. Nie uznaje on tłumaczenia Miodońskiego wyrażenia »traditio« słowami »mentorstwo, karcenie, pouczanie«, »traditor« znaczy u niego tylko »buntownik«. Mianem tem zjazd biskupów niemieckich i włoskich, oddanych Henrykowi IV, napiętnował papieża Grzegorza VII w r. 1080 za wyklęcie króla niemieckiego. Taką samą zbrodnię stanu popełnił biskup Stanisław wobec swego władcy.

To, co mówi Wojciechowski długo i szeroko o wyroku na biskupa, skazaniu i egzekucji, to zdaniem Smolki jest tylko fantazja i niefortunny domysł. Ma Wojciechowski nawet wątpliwości, czy św. Stanisław był skazany na obcięcie kilku, czy wszystkich członków, bo »truncatio« nie koniecznie pociągała śmierć skazanego. Wprawdzie Wojciechowski mniema, że jeżeli się czyta Galla bez uprzedzenia, ma się wrażenie, że kara obcięcia spowodowała śmierć; mimo tego zastrzeżenia pojawiły się w naszej publicystyce wątpliwości, czy biskup wogóle został zabity. Wbrew pierwotnemu twierdzeniu swemu, że translacja z r. 1088 to pierwszy krok do kanonizacji biskupa, Wojciechowski w »Szkicach« twierdzi, że ta translacja była tylko uroczystem przeniesieniem ciała skazańca, zakopanego w ziemi pod gołem niebem, rehabilitacją zdrajcy, urządzoną przez Władysława Hermana, w którego usługach biskup poniósł hańbiącą śmierć. Wobec tych twierdzeń nawet taki wielbiciel »Szkiców hist.« Wojciechowskiego, jakim był prof. Abraham, nie może się pozbyć wątpliwości: »Czy mógłby Gall użyć słowa »traditor« na biskupa, gdyby się okazało, że ten biskup zginął jako otwarty stronnik ojca Krzywoustego?« Smolka nazywa to słusznie »apelacją od wyroku zabłąkanej na

manowce erudycyjnej pomysłowości do werdyktu chłopskiego rozumu«. Wbrew zasądzeniu św. Stanisława przez Wojciechowskiego, nawet prof. Abraham wyraża całkiem odrębną opinję, zadając sobie pytanie: »czy biskup nie był to człowiek szczególnie czystego serca, bo fakt zabójstwa, jak i Gallus podaje, wielce Bolesławowi zaszkodził«. (Zob. niżej, str. 93). Wojciechowskiego domysły przypominają, zdaniem Smolki, amplifikacje Długosza. W nowoczesnych amplifikacjach można widzieć trzy wspólne cechy z domysłami Długosza: 1) dobrą wiarę autorów, 2) brak wszelkich źródłowych podstaw, 3) anachronistyczne zabarwienie.

Przebieg katastrofy z r. 1079, jak go sformułował Wojciechowski, powstał z samych najdowolniejszych domysłów. Z 67 słów Galla, które opisują tę katastrofę, a z których 17 służy wyłącznie do usprawiedliwienia autora, że tak pobieżnie z tą rzeczą się załatwia, nie można budować śmiałych hipotez. Z 50 słów zatem wynikają tylko takie pewniki: 1) wypędzenie króla z Polski, 2) z powodu zabójstwa biskupa, popełnionego z okrucieństwem za czyn, zwany »traditio« (zdrada stanu), 3) zatarg biskupa z królem poprzedziły zaburzenia. Kto więc nie uznaje późniejszej tradycji, z wymienionych słów nie może nic więcej wysnuć. Na historję niema materjału w tych słowach, tylko na historyczną powieść. Nie godzi się też takiej powieści nadawać złudnych pozorów umiejętnego metodycznego badania; są to jedynie mniej lub więcej interesujące fantazje na temat historyczny. Wojciechowski padł ofiarą złudzenia, które mu odjęło trzeźwość sądu. Klasycznym tego dowodem jest interpretacja Wojciechowskiego słów: *sed deferre Vladislao facto (fastu) dolet inimico.* W zdaniu tem Wojciechowski odnosi wyraz »Vladislao« zamiast do Władysława Węgierskiego do naszego Władysława Hermana. I na takiej fantastycznej podstawie buduje autor »Szkiców« rzekomy pewnik o buncie juniora Władysława Hermana, o zdradzie biskupa, buduje dalsze fantazje o zwrocie polityki polskiej wobec rozłamu w Europie i t. d. Przeciw tego rodzaju interpretacji nauka musi założyć protest: w ten sposób można ze skąpych źródeł wszystko wyczytać wedle upodobania. Tego rodzaju interpretacja jest unikatem w dziedzinie hermeneutyki, albowiem każde ogniwo argumentacji jest oczywistą pomyłką. Chodzi tu głównie o znaczenie zwrotu »deferre alicui«, co znaczy: oddać cześć komuś. Król węgierski boleje, że jemu, Władysławowi, Bolesław oddaje

hołd wrogim gestem (witając go, jak wasala swego, z konia). Otóż Wojciechowski tłómaczy ten ustęp: »Trudno mu (Władysławowi Węgierskiemu) wybaczyć Władysławowi (Hermanowi), że stał się mu wrogiem«, z powołaniem się na słownik średniowiecznej łaciny (Du Cange t. II. 1369) deferre=excusare. Niestety, cytowany słownik absolutnie nie wykazuje, by »deferre« było synonimem »excusare«. Wojciechowski cytował z pamięci i popełnił impresjonalizm w hermeneutyce.

W ten niemiłosierny sposób zdruzgotał Smolka główną podstawę oskarżeń Wojciechowskiego przeciw biskupowi o zdradę na rzecz buntu Władysława Hermana. Ten twardy sąd ustalił ostatecznie obecnie prof. St. Zakrzewski z powołaniem się na dokument króla węgierskiego Kolomana z r. 1113, w którym wspomniana jest »villa Craco«, t. j. Kraków nad Wagiem na granicy Czech i Węgier. »Chronicon Pictum«, źródło węgierskie, mówiąc o walkach Władysława węgierskiego z Czechami, wymienia gród Korokon, który T. Wojciechowski w »Szkicach historycznych«, idąc za Turoczem, zniekształcającym często »Chronicon Pictum«, przyjął za Kraków (»Bolesław Chrobry Wielki«, str. 405—6). W ten sposób upada wszelka podstawa do podtrzymywania nieprawdopodobnej wieści o rządach czeskich w Krakowie między r. 1079 a 1080 i zdradzie biskupa na rzecz Czechów.

Ale i o zdradzie biskupa na rzecz Władysława Hermana niema mowy. Zdaniem Smolki bowiem, nic a nic nie przemawia, jakoby Władysław Herman podniósł bunt przeciwko bratu, jakoby był narzędziem czeskiego Władysława i Henryka IV. Władysław Herman był za panowania Bolesława Śmiałego prawdopodobnie księciem dziedzicznym na Mazowszu (Potkański »Przywilej z r. 1086«). Hipoteza Wojciechowskiego o jego buncie przeciwko bratu nie ma poparcia w źródłach. Między Bolesławem a Władysławem Hermanem nie było nienawiści; dowodem tego imię Bolesław, które dał swemu synowi. (Zob. niżej, str. 137). Hipotezy więc Wojciechowskiego o latach 1079—1086 są tak samo bezpodstawnemi domysłami, jak domysły o charakterze i przebiegu katastrofy Bolesława Śmiałego. Jaką bowiem wartość mieć mogą te wnioskowania i konstrukcje *ab ignotis de ignotis?*

Kto więc był sprawcą katastrofy królewskiej, jeżeli nie Władysław Herman, ani Władysław, ani Henryk IV, zapyta się czytelnik. Na to trafnie odpowiada wytrawny znawca tych czasów,

Smolka: »Panowie typu Sieciecha lub Skarbimira poczuli po pierwszy raz swą siłę, widzieli, że nawet takiego króla, jakim był Śmiały, można pozbyć się, jeżeli żelazna dłoń zanadto zaciąży. To była przyczyna, dla której na dworze Krzywoustego bezpieczniej było nie mówić o św. Stanisławie« (Zob. niżej, str. 102). I za grób sięga nienawiść Wojciechowskiego do św. Stanisława i tam nie szczędzi on Patrona Polski, zwiąc go wraz z Gumplowiczem — żonatym na podstawie »Monumenta Lubensia« z XIV wieku, w których niemiecki mnich maluje Polskę w najczarniejszych kolorach.

Wojciechowski wraz z całą plejadą przeciwników św. Stanisława dowiódł niewątpliwie, zdaniem Smolki i uczestników ankiety *Przeglądu Powszechnego*, że grzeszna zdrada biskupa Stanisława nie da się stwierdzić bez naciągania i mylnej z gruntu interpretacji źródłowych tekstów. »Ustalona powaga Wojciechowskiego w pierwszej chwili pokryła rażące błędy argumentacji. Ale ta firma i ten rezultat złożą się niezawodnie na skuteczniejsze w przyszłości ostrzeżenie. Trudno o lepszy i radykalniejszy środek na stuletnią gorączkę, która wprowadzała na widownię coraz to nowe widziadła. Dla ozdrowienia wystarcza jedno orzeczenie nauki, że »traditor episcopus« Galla nie uwłacza tak samo czci i pamięci Patrona Polski, jak »traditor regni« w uroczystym dekrecie 27 biskupów XI wieku nie czyni ujmy Grzegorzowi VII«.

Temi słowy lapidarnemi zamyka Smolka dyskusję w sprawie św. Stanisława i całkiem słusznie. Bez tła walki o wolność Kościoła Grzegorza VII i jego zwolenników kwestji św. Stanisława rozważać niepodobna; nie można zrozumieć ani tekstu antygregorjanina Galla, ani relacji gregorjanina Kadłubka. Nie rozumiał tego Wojciechowski i tak zaciekle rzucił się po ogłoszeniu ankiety w *Przeglądzie Powszechnym* na jego uczestników, piętnując ich mianem rzekomo pogardliwem »plemienia Kadłubka«. Wojciechowski z fanatyczną pasją ściga Kadłubka, pierwszego naszego uczonego i mistrza pochodzenia polskiego, jednego z najświatlejszych pod względem charakteru biskupów. Policzonego w poczet błogosławionych biskupa, a na koniec pokornego zakonnika pomawia nie tylko o pobożne oszustwo w »Szkicach«, ale go czyni wprost niepoczytalnym dlatego tylko, że jest wielbicielem św. Stanisława. Przytoczony przez Wojciechowskiego przykład, że Kadłubek kłamał świadomie i rozmyślnie, przykład o Bolesławie

Kędzierzawym a Fryderyku Barbarosie (»Szkice hist. str. 250) wykazuje, że Kadłubek podał właśnie coś przeciwnego, podał oględnie prawdę. Co bowiem Kadłubek pisze o Bolesławie Kędzierzawym? »Znalazł się wobec Fryderyka w trudnym dylemacie: albo ustąpić z tronu, albo przyjąć bitwę. Otóż Kędzierzawy, jako człowiek przemyślny, najprzód zwłoczył, a wkońcu bez bitwy triumfował nad Rudym Smokiem«, t. j. Fryderykiem. Otóż prawdy w tym ustępie widzi Wojciechowski tylko tyle, że bitwy nie było między Kędzierzawym a Fryderykiem. Niestety, nie chce widzieć Wojciechowski, że druga część dylematu, t. j. że Kędzierzawy nie ustąpił rządów na rzecz Władysława, Kadłubek przedstawił także zgodnie z prawdą. Że nie przedstawił upokorzenia Kędzierzawego w Krzyżkowie, tego nie można przecież nazwać kłamstwem. Jest to znowu rabulistyczne naciąganie źródła dla szkalowania niewygodnego świadka. Jakie zaś skarby prawdy zawiera kronika Kadłubka, wykazał nam znowu dowodnie nie kto inny, jak Wojciechowski w swej pracy o »Kazimierzu Mnichu«. Jak zaś nawet z bajek Kadłubkowych, zaczerpniętych z hestjarjuszy średniowiecznych zręczna krytyka wydobyć potrafi szczery kruszec prawdy, to wprost genjalnie wykazał taki znawca średniowiecza, jak Łaguna w swej pracy p. t. »Dwie elekcje«. Fanatyczne poniewieranie późniejszą tradycją jest przeciwne wszelkiej metodzie historycznej. I tego grzechu naukowego dopuścił się Wojciechowski wraz z całą plejadą młodzieńczych autorów, piszących już z wyraźną tendencją kalania świętości narodowej. Wojciechowski, pisząc »Szkice« o Bolesławie i Stanisławie biskupie, obawiał się, czy nie jest oszczercą, który kala narodową świętość? Ankieta, złożona z najpoważniejszych uczonych, wykazała, że sędziwy autor kalał narodową świętość, ale nie był oszczercą, albowiem na starość uwierzył w prawdziwość jednostronnych źródeł, a swe domysły poczytał za fakty — uległ złudzeniu starczemu.

III. Kwestja św. Stanisława po ankiecie „Przeglądu Powsz.“

Jasne i przekonywujące wywody ankiety w sprawie św. Stanisława zrobiły wrażenie na garstce fachowych uczonych, zajmujących się dziejami XI lub XII wieku, przekonały z pewnością

czytelników *Przeglądu Powszechnego;* reszta jednak świata inteligentnego pozostała nadal pod wpływem firmy Wojciechowskiego, zareklamowanej przez werdykt Akademji Umiejętności i uwierzyła w przesąd Wojciechowskiego, że sprawa św. Stanisława »jest stracona, przynajmniej w odniesieniu do tych źródeł, jakie obecnie posiadamy«. (»Szkice hist.« str. 249 przyp. — Plemię Kadłubka, *Kwartalnik hist.* 1910, zeszyt 1—2, str. 3).

»Pojęcie legalności« pisze słusznie tedy Smolka, »we fikcyjnym procesie św. Stanisława i w egzekucji, opisanej z tak niebywałą lokalną dokładnością — niczem Samuel Zborowski — wszystko to zohydza w oczach czytelnika »zdrajcę«, »skazańca«, »egzekuta«. To pewne. Nie mniej i to, że firma Wojciechowskiego, tak zasłużona i przez nikogo nie zaczepiana, nadaje nowożytnym jego amplifikacjom rzekomą cechę naukowych zdobyczy. Czekać tylko, jak ten »ostatni wyraz nauki« przejedzie w triumfalnym pochodzie do podręczników w postaci udowodnionych faktów«.

Przewidywania najwybitniejszego eksperta w sprawie św. Stanisława, jakim był bez kwestji Smolka, ziściły się w całej pełni. Sugestji Wojciechowskiego w kwestji św. Stanisława ulegli nietylko świeccy uczeni, ale nawet duchowni, piszący dzieje Kościoła polskiego. Zdrada biskupa czy na rzecz Czechów, czy zwłaszcza juniora Władysława Hermana stała się »pewnikiem naukowym«. Dzięki Wojciechowskiemu, najniedołężniejszy z Piastów Władysław Herman, pozbawiony wszelkiej energji i inicjatywy, wyrósł na groźnego juniora, który przeciw najbardziej wojowniczemu królowi polskiemu ma odwagę wszcząć bunt i z kraju go wypędzić. I na taki zuchwały krok zdobywa się książę, którego charakterystycznym rysem, zdaniem Wojciechowskiego, było, że go można było »wziąść«, którym zarówno »Sieciech jak Wratysław, jak arcybiskup Henryk, jak Judyta Salijska obracali w którą stronę ino chcieli« (»Szkice hist.« str. 333), którego, zdaniem Galla (II, 16), właśni poddani uważali za skończonego niedołęgę i szaleńca. Tego rodzaju monstrualny domysł Wojciechowskiego, nie poparty żadnemi źródłami, tylko karkołomnemi konjekturami tekstu zepsutego, przyjmuje się w naszej literaturze historycznej przeważnie za fakt historyczny. Czy to nie dowód fatalnej płytkości i pożałowania godnego braku zmysłu krytycznego u przeważnej części naszych historyków, literatów i publi-

cystów? Pod wpływem Wojciechowskiego przedstawia się biskupa Stanisława Szczepanowskiego na scenie w zbroi, na czele zbrojnych hufców, wygrażającego królowi w jego świetlicy monarszej na Wawelu, a przecież taki biskup w zbroi na czele buntującego się ludu, to anachronizm, to parodja biskupa gregorjańskiego, któremu imać się miecza świeckiego zabraniały surowo kanony kościelne, dekrety Grzegorza VII. Jak więc w XII wieku, tak i w XIX i XX stuleciu pamięć gregorjańskiego biskupa przeciwnicy Kościoła obrzucają błotem. Coś z wolterjańskiego »écrasez l'infame« da się odczuć w tej nienaukowej nagonce na świątobliwego Patrona Polski.

Ba nawet, jak Smolka przewidział, do podręczników szkolnych wciska się ta oszczercza propaganda przeciw biskupowi męczennikowi. Ubolewać można, że młody profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Roman Grodecki, w »Bibljotece Narodowej«, przeznaczonej dla szerokiej publiczności, w przekładzie »Kroniki Polskiej« anonima t. zw. Galla, »bez zastrzeżeń« przyjmuje stanowisko T. Wojciechowskiego (str. 96, przyp. 1) mimo ankiety w sprawie św. Stanisława. Z humorystycznej strony traktować należy sąd prof. Grodeckiego, gdy dodając do fantazji Wojciechowskiego swoje własne fantazje, pisze o tajemniczej śmierci Bolesława Śmiałego z rąk prawdopodobnie nasłanych z Polski siepaczy (!) niebawem po przybyciu jego na Węgry (r. 1079—1080) wbrew przyjętej powszechnie dacie zgonu nieszczęśliwego króla w r. 1081 (str. 96, przyp. 2).

Jeżeli jednak prof. Grodecki w »Zeszytach źródłowych do nauki historji w szkole średniej« (zeszyt 16, str. 26), podając źródło jednostronne o wygnaniu Bolesława, mianowicie tekst Galla, i to interpolowany stronniczo przez Wojciechowskiego — dodaje przytem, że te poprawki są naukowo uzasadnione przez Zengera[1] i Tad. Wojciechowskiego, tedy widocznie ankiety w sprawie św. Stanisława nie czytał. Wprost zdumienie zaś i zgorszenie wywołać musi jego końcowa uwaga: »Najwłaściwszą interpretację podał prof. Wojciechowski w »Szkicach historycznych z XI w.«, rozumiejąc, że powodem wygnania Bolesława Śmiałego na Węgry był bunt Władysława Hermana; epizod zaś z ukara-

1. Nie Zenger, lecz Saenger. G. »Zamietki k średniewiekowym łatinskim tekstam«.

niem biskupa krakowskiego Stanisława za zdradę, t. j. prawdopodobnie za współudział w spisku, był bezpośrednim powodem, który zmusił króla Bolesława do ustąpienia z kraju na obczyznę, gdzie go dosięgła być może śmierć z rąk nasłanych siepaczy«. Taka uwaga, umieszczona w książce, przeznaczonej dla szkół średnich, to nie tylko bezprzykładna lekkomyślność i wyraz jaskrawej stronniczości, to lekceważenie gorszące postulatów naukowych i prostej uczciwości, która przecież w kwestjach spornych, wątpliwych i drażniących sumienie miljonów domaga się pewnej rezerwy w sądach, a przedewszystkiem przestrzegania zasady *audiatur et altera pars*. Czy prof. Grodecki, układając zbiór źródeł dla szkoły średniej, zastanowił się choćby na chwilę, jaki skutek wywrze ta jego uwłaczająca świętości narodowej uwaga na młodzież szkolną, młodzież szkolną w przeważnej części u nas polsko-katolicką? Co ona sądzić musi po stronniczych uwagach profesora uniwersyteckiego o tym Kościele katolickim, który zdrajców politycznych wynosi na ołtarze, a pobożnych oszustów zalicza w poczet błogosławionych? Płytkość naukowa idzie tu w zawody z niesumienną lekkomyślnością.

Nieraz już u nas władze kościelne, a i szkolne wystąpić były zmuszone przeciw lekkomyślnemu oczernianiu świętości religijnych i narodowych ze strony radykalnych jednostek nauczycielskich — chwała Bogu — jeszcze sporadycznych. Obecnie na podstawie »Tekstów źródłowych do nauki historji w szkole średniej«, wydawanych przez profesorów uniwersytetu, będzie się urzędowo niemal szerzyło propagandę antyreligijną przeciwko Kościołowi katolickiemu wśród polsko-katolickiej młodzieży. Przecież to zbrodnia w dziedzinie wychowania, dokonywana lekkomyślnie na naszej młodzieży przez powagę naukową, profesora uniwersyteckiego pod auspicjami głośnego wychowawcy, profesora uniw. Kota, wydawcy tych »Tekstów źródłowych«! Przecież to gwałt dokonany na prawdzie historycznej albo przez bezprzykładną lekkomyślność, ignorując wyniki naukowe najpoważniejszych uczonych i specjalistów, albo przez fanatyzm zakapturzonych czy otwartych wrogów katolicyzmu. Przeciwko takiej zbrodniczej propagandzie w szkole społeczeństwo katolickie ma prawo i obowiązek zaprotestować; ma prawo zagwarantowane konstytucją, ma prawo i obowiązek żądać od władz szkolnych, by podobne środki naukowe, uwłaczające religji katolickiej, bezzwłocznie ze

szkoły były wycofane i w szkole zakazane. Twierdzę dziś z całą stanowczością, że kwestję św. Stanisława, niejasną z powodu braku źródeł, z powodu zepsutych rękopiśmiennie i jednostronnych źródeł, wyzyskali ludzie niesumienni jako bramę wpadową dla wrogiej Kościołowi katolickiemu propagandy. Przedstawicielami świadomymi tej antyreligijnej propagandy są protestanckie Pichlery, Angersteiny, radykalni Świeżawscy, socjaliści i żydzi Gumplowicze, nieświadomymi nasze Stefczyki, Wojciechowscy, Grodeccy, Boleścice-Kozłowscy i *tutti quanti*.

Jeżeli zaś sugestji renomowanej firmy naukowej, jaką był i jest jeszcze Wojciechowski, ulegają »bez zastrzeżeń« poważni historycy, profesorzy uniwersyteccy, jak prof. Grodecki, cóż dopiero mówić o amatorach historykach, w rodzaju Stanisława Aleksandra Boleścica-Kozłowskiego, który w r. 1922 opublikował pracę p. t. »Czasy św. Stanisława, biskupa krakowskiego i Bolesława Śmiałego, króla Polski«. Jest to studjum historyczne niefachowego historyka, który zabrał się do zawiłej kwestji św. Stanisława z niemałym nakładem pracy. Przestudjował olbrzymią literaturę tej kwestji poświęconą i stworzył dzieło tak chaotyczne i nienaukowe, jakich mało można spotkać w naszej literaturze historycznej. Rozpoczyna rzecz o czasach św. Stanisława od Karola Wielkiego, podaje streszczenie dziejów niemieckich, porusza dzieje czeskie, węgierskie, ruskie, wielkomorawskie, porusza niebo i ziemię w kwestji sporu króla z biskupem, parafrazuje dzieła Gumplowicza, Wojciechowskiego, nie całkiem chwali Galla, gromi relacje Kadłubka, posądza biskupa o *adulterium* z żoną Bolesława Śmiałego, twierdzi, że biskup był przeciwnikiem Grzegorza VII, że był może żonatym, ale mimo to »na zaliczenie w poczet świętych zupełnie zasłużył« (!) str. 26). To wystarcza chyba, aby scharakteryzować wartość naukową tego studjum bałamutnego. Sprawie św. Stanisława nie zaszkodził, nauce nie przyniósł zaszczytu i można wątpić, czy znalazłoby się wielu u nas czytelników, którzyby ten istny bałagan erudycji nienaukowej do końca przestudjowali. Wojciechowski napisał fantastyczną powieść historyczną o św. Stanisławie, ale wielce interesującą i fascynującą powieść; poczciwy Boleścic Kozłowski stworzył powieść chaotyczną, nieskończenie nudną w dodatku.

Poważnem studjum naukowem natomiast jest rozprawa Władysława Semkowicza p. t. »Sprawa św. Stanisława w świetle

nowego źródła ikonograficznego«, Kraków 1925, str. 55, z 6 rycinami. Autor »Rodu Awdańców« wyzyskał odkrycia naukowe uczonych szwedzkich, zwłaszcza Roosvala w dziele pomnikowem »Die Steinmeister Gottlands«, Stockholm 1918 i L. Tynella »Skanes medeltida dopfuntar«, Stockholm 1913—1921. Chodzi tu przedewszystkiem o chrzcielnicę w Tryde w Skonji, najdalej ku południowi wysuniętym cyplu półwyspu Skandynawskiego, najbardziej zbliżonym ku słowiańskim wybrzeżom Bałtyku, wprost naprzeciw Rugji i ujścia Odry. Tryde leży niespełna dwie mile od morza, a siedm od stolicy prowincji Lundu. Sławę zawdzięcza ta miejscowość zabytkom z dawnego romańskiego kościoła z połowy XII wieku, dziś już nieistniejącego, z których w Tryde przechowała się słynna chrzcielnica kamienna z dawnego kościoła. Chrzcielnica ta pokryta jest rzeźbami, przedstawiającemi niewątpliwie, jak to przyznali szwedzcy uczeni, a udowodnił p. Semkowicz, epizody z legendy o św. Stanisławie. Autorem tych rzeźb ma być, wedle p. Roosvala, rzeźbiarz między r. 1165 a 1200, przezwany przez uczonego szwedzkiego »Anonimus Majestatis«. Chrzcielnica ma kształt czary cylindrycznego kształtu, przechodzącej ku dołowi w odwrócony ścięty stożek, który zapomocą wałka łączy się ze stopą kształtu również ściętego stożka. Powierzchnię tak czary, jak i stopy, prócz wielu innych rzeźb, wypełnia 5 płaskorzeźb, związanych z legendą o królu i biskupie, a mianowicie na czarze: 1) wskrzeszenie Piotrowina, 2) przyprowadzenie kościotrupa przed króla, 3) rzekomy sąd króla nad biskupem, 4) na stopie chrzcielnicy scena przedstawiająca króla na tronie, wręczającego jakiś okrągły przedmiot osobie w długiej szacie przed nim stojącej, 5) scena piekła, w którem leżący na ziemi i łańcuchem do niej przykuty za szyję djabeł trzyma za pas pokutującego tu za swą winę króla. Że rzeźby rzeczone nie odnoszą się ani do św. Donata ani św. Fridolina, którzy wskrzeszali zmarłych na dowód świadectwa sądowego, ani do św. Aji, która z grobu świadczyła na rzecz poszkodowanego klasztoru, to dowodnie wykazał p. Semkowicz; odnieść je trzeba koniecznie do św. Stanisława biskupa.

Zdaniem p. W. Semkowicza, trzecia rzeźba przedstawia sąd króla nad biskupem, a tem samem ścisła interpretacja Galla o zabójstwie biskupa Stanisława znajduje w rzeźbie Anonima Majestatis jakoby potwierdzenie i wierne odzwierciedlenie. Zdaniem

mojem, scena ta na chrzcielnicy żadną miarą nie potwierdza ścisłej czy nie ścisłej interpretacji Galla. Biskup w tej rzeźbie jest otoczony aureolą świętości, czy może zatem potwierdzać uwagę Gallową o biskupie grzeszniku i zdrajcy? To jedno, a powtóre, zdaniem mojem, scena ta przedstawia nie tyle sąd, ile rozkaz króla, by jego siepak świętego biskupa porąbał; siepak jednak czy kat, trzymając topór spokojnie u nóg, rozkazu nie wykonuje, zgodnie z wersją Kadłubka. Szkoda, że autor, który czytał ankietę w sprawie św. Stanisława, czytał niepodejrzaną opinję W. Kętrzyńskiego, a zwłaszcza Smolki, uległ sugestji Abrahama i Wojciechowskiego, że zabójstwo dokonane zostało przez pocięcie członków na podstawie wyroku sądowego. Pocięcia członków nie było, bo ciało znaleziono po katastrofie nietknięte, biskup zginął od uderzenia w tył głowy, jak to stwierdza strzaskana z tyłu czaszka św. Stanisława w krakowskim relikwjarzu.

Prof. Semkowicz, przekonany przez uczonych szwedzkich o starożytności tej chrzcielnicy z XII wieku, mniema, że wieść o sporze biskupa Stanisława z królem Bolesławem dostała się do Szwecji za pośrednictwem Ryksy, córki Krzywoustego, wydanej około r. 1130 za króla Danji i Gotów zachodnich, Magnusa Nielsona, a w trzeciem małżeństwie około 1140 r. za Swerkexa I, króla szwedzkiego. Przypuszcza dalej, że fundatorami tej chrzcielnicy byli Zofja, córka rzeczonej Ryksy i jej małżonek Waldemar, król duński, albowiem figury królewskie na tej chrzcielnicy przedstawiać mają rodzinę królewską Ryksy, ba nawet jej ojca Krzywoustego (!). Autor słusznie domyśla się w translacji ciała św. Stanisława ze Skałki do katedry wawelskiej w r. 1088 zawiązku jego kultu, słusznie twierdzi, że ten zawiązek kultu kiełkował w ukryciu przez cały wiek XII. Myli się jednak, przypuszczając, że jeszcze za Hermana powstała legenda o Piotrowinie. Jak powstała ta legenda, wykazałem w mej pracy (»Św. Stanisław biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym«, str. 96); znał tę legendę niewątpliwie Kadłubek; że zaś jej nie cytował, świadczy, że jej nie uznawał tak samo, jak Komisja kanonizacyjna. Jest to echo dawnych sądów Bożych, na grobach zmarłych w XI wieku się odbywających. Za Hermana znano je dobrze i wiedziano, jak w rzeczywistości wyglądał proces o wieś Piotrawin; rozumiano te sądy Boże jeszcze na dworze Krzywoustego, zapomniano o nich całkiem gdzieś w XII wieku i dopiero w tym

wieku przekształcił się »sąd Boży« w »cudowne wskrzeszenie«. I z tego powodu wątpię, czy chrzcielnica w Tryde pochodzi z XII wieku, a jeżeli szwedzcy historycy sztuki mają rację, to tylko z końca XII wieku może pochodzić rzeczona chrzcielnica, kiedy tradycja ludowa starodawny zwyczaj oplotła bluszczem cudowności i archaiczną procedurę sądową przeobraziła. Dlatego też kwestjonuję, by kult św. Stanisława niewygasły, jak mniema p. Semkowicz, w Krakowie, mógł zawędrować do Skandynawji z dynastją piastowską, mianowicie z córką Krzywoustego Ryksą. Myli się bowiem p. Semkowicz wraz z Wojciechowskim twierdząc, że Krzywousty i jego potomstwo nie mieli powodu złorzeczyć Stanisławowi, że owszem, pamięć tego biskupa mogła im być miłą, o ile »tenże stracił życie w sprawie ich dziada Hermana« str. 39). Jeżeli bowiem Krzywoustemu pamięć biskupa była miłą, jeżeli rzeczywiście św. Stanisław stracił życie w sprawie Władysława Hermana, to jak mógł historjograf nadworny, którego celem jest »laus principum«, poświęcenie się biskupa dla sprawy juniora ojca Krzywoustego nazwać grzeszną zdradą? Ładnąby nagrodę otrzymał ze strony takiego »wilczego syna«, jakim był Krzywousty, za poniewieranie pamięci ojca, który zdradą grzeszną dostaje się do władzy! Logika w tym wypadku nie dopisała ani Wojciechowskiemu, ani za nim prof. Semkowiczowi, jak to już podniósł swego czasu prof. Abraham *(Kwartalnik hist.* XVIII, str. 572—4).

Kult św. Stanisława był przedewszystkiem kultem Piastów, zdaniem prof. Semkowicza (str. 39). Kultem Piastów stał się, zdaniem mojem, kult św. Stanisława dopiero w XIII wieku za sprawą bł. Kingi i duchowieństwa gregorjańskiego; nie był Piastów kultem ani w XII ani nawet w XI wieku. Translacja z r. 1088 nie była dziełem Władysława Hermana, ale dziełem duchowieństwa krakowskiego, jeszcze duchem gregorjańskim przejętego, była dziełem przedewszystkiem sprytnej Niemki Marji Judyty, trzeciej małżonki Władysława Hermana, która uczczeniem biskupa męczennika usiłowała zniesławić pamięć króla zabójcy, a temsamem skompromitować jego antyniemiecką politykę; translacja ciała św. Stanisława była świętem pojednania między gregorjanami a antygregorjanami, jak to wykazałem w mej pracy (»Św. Stanisław Biskup i jego zatarg z królem Bolesławem«, str. 169—180). Translacja była dziełem także Sieciecha, i, kto wie, czy nie gło-

wnie Sieciecha, który przez uczczenie ofiary zemsty królewskiej pragnął usprawiedliwić swój bunt przeciw królowi. Nie przez Piastowiczównę tedy, a żadną miarą nie przez Ryksę w pierwszej połowie XII wieku dostał się kult św. Stanisława do Skonji. Przed kanonizacją nie było mowy o tem, by w Skandynawji przedstawiano biskupa Stanisława w aureoli świętości, jak to widzimy w trzeciej rzeźbie na chrzcielnicy trydejskiej, przedstawiającej rozkaz królewski porąbania biskupa. Między Skandynawją a ujściem Wisły od niepamiętnych czasów, od czasów wikińskiego grodu Truso, panowały zawsze żywe stosunki, zwłaszcza w XIII wieku, kiedy o Gdańsk zawrzały zawzięte boje czy to między książętami pomorskimi, czy to zniemczałego mieszczaństwa z księciem Mestwinem, czy między Brandenburczykami a księciem Wielkopolski, Bolesławem Pobożnym, czy między Pomorczykami a Czechami i wreszcie krzyżakami. Było o co walczyć, handel gdański niósł posiadaczom grube korzyści i dlatego pobożni niemieccy zakonnicy nie wahali się wyrżnąć przeszło 10.000 ludzi Niemców czy Pomorzan w Gdańsku, by się temi korzyściami z nikim nie dzielić. W tych czasach zapewne powędrował świeży kult kanonizowanego św. Stanisława na kończyny skandynawskie — nie za pośrednictwem Piastów, lecz kupców.

Rozważając wkońcu przyczyny opóźnienia kanonizacji św. Stanisława, p. Semkowicz wyraża przypuszczenie, że tkwiły one w stosunkach rodowych ówczesnego rycerstwa krakowskiego, przedewszystkiem wpływowego już wówczas możnowładztwa, że wśród niego musieli być z jednej strony zagorzali zwolennicy biskupa, z drugiej strony zdecydowani jego przeciwnicy (str. 42). Przyznaję, że autor »Rodu Awdańców« jest w swoim żywiole i trafnie wnioskuje, gdy w Awdańcach wraz z protoplastą ich komesem Michałem i biskupem poznańskim tego samego imienia, protektorem kronikarza Galla, widzi przeciwników św. Stanisława. Takim samym przeciwnikiem był niezawodnie i ów przepotężny wojewoda Krzywoustego, Skarlimir, główny sprawca intryg przeciw Zbigniewowi i jego oślepienia, a później sam oślepiony przez Krzywoustego. Trafny wyraził pogląd p. Semkowicz, że do zwolenników św. Stanisława zaliczyć wypadnie ród Toporczyków z Sieciechem na czele. Rację ma, gdy do partji Sieciechowskiej zalicza także ród Powałów z Wojsławem, piastunem młodocianego Krzywoustego, na czele. Ale za fantazję i to fantazję błędną po-

czytuję jego przypuszczenie, że ten Wojsław wpajał w chłopięcą duszę książęcego syna kult dla pamięci Stanisława, który to kult Bolesław przelał potem na córkę swą Ryksę, a ta zapewne przeszczepiła ten kult na ziemię skandynawską. Bolesław Krzywousty był tak samo, jak Awdańce w latach 1112—13, latach powstania kroniki Galla, przeciwnikiem św. Stanisława i poczytywał go wraz z Gallem za grzesznego zdrajcę i buntownika. Podnosząc z całem uznaniem trafność wywodów p. Semkowicza o kulcie św. Stanisława u Toporczyków, ich gałęzi Starych Koni, Turzynitów i Łabędzi w XII wieku, godząc się na jego przypuszczenia o niechęci do św. Stanisława u Awdańców, Gryfitów i Rawiczów, tylko z zastrzeżeniami przyjąć możemy wniosek jego, jakoby przeciwnicy Toporczyków udaremniali kanonizację św. Stanisława w XII wieku. Kanonizację św. Stanisława w XII wieku udaremniło ówczesne duchowieństwo, przeważnie żonate, wrogie postulatom gregorjańskim i dlatego św. Stanisławowi wrogie, że był w Polsce pionierem celibatu; udaremnił dalej kanonizację ród książęcy Piastów dlatego, że nie myślał uznać wolności Kościoła, jak tego żądał biskup, wyklinający króla za gwałty niechrześcijańskie. Kanonizacja św. Tomasza Becketa w r. 1172 ani na rodowe stosunki naszego rycerstwa ani na ród Piastów chyba nie wywarła takiego wrażenia, jak sobie przedstawia p. Semkowicz; wywarła ona wrażenie na odradzające się wtedy już pod wpływem zakonów cysterskich i norbertańskich duchowieństwo polskie i dopiero wtedy, gdy na stolicach biskupich zasiędą biskupi w rodzaju Kadłubka, Iwona i Prandoty, a na dworach Piastowskich poważny wpływ uzyskają bł. Kingi, Salomeje, św. Jadwigi, bł. Jolanty i t. d., wtedy dopiero nastaną czasy umożliwiające kanonizację gregorjanina Stanisława.

Prof. Semkowicz nie przestudjował całej literatury w kwestji św. Stanisława; gdyby ją w całości był opanował, nie byłby uległ tak bardzo wpływom Wojciechowskiego, który tragedji na Skałce nadał wyłącznie charakter świecki. Kto chce stosunki XI, XII lub XIII wieku oświetlić tylko momentami świeckiemi, bez uwzględnienia potężnych wpływów kościelnych, ten z reguły musi zejść na rozdroża fantazji. I w tych majakach fantazji ugrzązł po części subtelny umysł tyle poważanego badacza, jakim jest bezwątpienia p. Semkowicz. Fantazją bowiem i to przestarzałą fantazją a nie naukowym pomysłem jest rzekoma walka

kultu św. Florjana z kultem św. Stanisława; fantazją jest również, jakoby legenda o św. Aji z Mons wpłynęła na wytworzenie legendy o Piotrowinie. Chrzcielnica w Tryde nie jest dowodem kultu św. Stanisława w XII wieku, conajwyżej jest dowodem rychłego kultu polskiego Świętego w Skandynawji po kanonizacji. Przed kanonizacją kult św. Stanisława w obcej ziemi nie jest do przyjęcia mimo całej subtelnej argumentacji p. Semkowicza. Autor »Rodu Awdańców« usiłował pogodzić aureolę świętości biskupa Stanisława z wersją Galla o zdrajcy biskupie, na posiekanie członków sądownie skazanym. Daremny to trud: sąd zwolenników Galla wyklucza sąd zwolenników Kadłubka.

Biskup Stanisław był i jest grzesznym zdrajcą w oczach regalistów i wrogów Kościoła; albo był, jest i pozostanie męczennikiem i ofiarą w obronie zasad chrześcijańskich w oczach gregorjan i zwolenników Kościoła. *Tertium non datur.*

IV. Factum męczeństwa św. Stanisława biskupa.

Z poprzednich rozdziałów wynikają następujące fakta: Bez uwzględnienia późniejszych źródeł, na podstawie samego Galla, nie podobna skonstruować faktycznego przebiegu tragedji na Skałce. Tylko na podstawie samowolnej nieuzasadnionej konjektury zepsutego tekstu Gallowego (I, 28) zdołali Gumplowicz, a za nim Wojciechowski skomponować bunt Władysława Hermana przeciw bratu. W rozdziale 28 pierwszej księgi niema mowy o Władysławie Hermanie, lecz o Władysławie Węgierskim. Ustęp ten, opisujący ucieczkę Bolesława do Węgier w obszernie objaśnionem tłumaczeniu Smolki brzmi: »Gdy Władysław (węgierski) usłyszał, że Bolesław przybywa, poniekąd cieszy się z przyjaciela, poniekąd pozostaje miejsce na gniew (obok radości); poniekąd cieszy się, mianowicie z przyjęcia (że przyjmuje) brata i przyjaciela, lecz boleje, że tenże jego Władysława uszanował wrogiem zachowaniem się«. Domagał się bowiem Bolesław, by Władysław, jako wasal jego, ucałował go siedzącego na koniu. Tem zrażony Władysław zboczył z drogi, nie powitał Bolesława i dopiero później zeszli się ze sobą, jak bracia. Tą anormalną atoli butą zbiegły do Węgier Bolesław ściągnął na siebie nienawiść Węgrów, wskutek czego rychlej dosięgła go śmierć«. Tak opisuje Gall ko-

niec Bolesława Śmiałego. Wersja »Żywota mniejszego« św. Stanisława z r. 1230 głosi, że Bolesław popadł w obłąkanie i sam sobie życie odebrał. Że był dziedzicznie obciążony po dziadku, wspominałem w cytowanej pracy (»Św. Stanisław Biskup i jego zatarg« str. 151), że był dziedzicznie obciążony także po babce, na to zwrócił uwagę prof. St. Zakrzewski. Niema żadnej źródłowej podstawy do twierdzenia o buncie Władysława Hermana; przeciwnie, nadanie długo oczekiwanemu synowi imienia »Bolesława« świadczy, jak szanował Władysław Herman pamięć brata. Był bunt rycerstwa krakowskiego z Sieciechem na czele i ten bunt pozbawił Bolesława tronu. Nie darmo w Sieciechu upatruje Władysław Węgierski sprawcę nieszczęść w rodzie piastowskim i usiłuje go pojmać przy interwencji wojennej na rzecz Władysława Hermana w czasie buntu Zbigniewa (Gall II, 4). Nie darmo przecież wtedy otwarcie z całą pewnością głoszono w Polsce, że »Sieciech dąży wszelkiemi sposobami do wygubienia całego rodu Piastów« (Gall II, 16). Władysław Herman był tylko parawanem rządów Sieciecha w Polsce, które były zapowiedzią późniejszych rządów Lisów, Gryfitów i t. d., »igrających książętami, jak kraszankami«. Wykluczone są również dzięki odkryciom prof. St. Zakrzewskiego rządy Czechów w Krakowie w latach 1080—86. Identyfikowanie węgierskiego Krakowa nad Wagiem z polskim naszym Krakowem było źródłem tej niefortunnej hipotezy, w tym celu stworzonej, by wykazać koniecznie zdradę biskupa na rzecz Czechów.

Wobec tego zarzut politycznej zdrady czy na rzecz Władysława czeskiego, czy na rzecz juniora Władysława Hermana, podtrzymywany po dziś dzień przez zwolenników Wojciechowskiego, pozbawiony jest wszelkich podstaw; fakt bowiem, że Władysław Herman po bracie obejmuje władzę w Polsce nie jest żadnym dowodem; w Polsce bowiem po Bolesławie Śmiałym faktycznie nie Władysław Herman rządził, lecz Sieciech.

Faktem jest, że Gall, nazywając króla »pomazańcem« narówni z biskupem, należał do obozu antygregorjańskiego, żarliwi bowiem gregorjanie uważali za grzech świeckich władców nazywać pomazańcami. Opinja Galla jest opinją stronniczą, wyrazem opinji kół dworskich, wrogiej aspiracjom gregorjańskim, wrogiej wyklinaniu książąt przez biskupów, zwłaszcza za czasów słabego papieża Paschalisa II, korzącego się przed butną polityką Henryka V w r. 1111.

Faktem jest, że kronika Galla nie jest najstarszem źródłem do katastrofy na Skałce; posiadamy wcześniejsze źródła. »Kalendarz krakowski« stary z r. 1100, wedle T. Wojciechowskiego (»O rocznikach polskich«, *Pamiętnik Akademji Umiej.* w Krakowie, wydz. hist. filoz. IV, str. 228) podaje pod dniem 11 kwietnia: »Święty Stanisław, krakowski biskup zabity umarł« (MPH, II, 919), a pod dniem 27 września: »Translacja św. Stanisława męczennika« (MPH, II, 932). Uroczysta translacja jest, wedle zwyczaju średniowiecznego, niczem innem, jak pierwszym krokiem do kanonizacji (T. Wojciechowski: »O rocznikach polskich«, l. c., str. 167, przypisek, Dr. K. Szkaradek-Krotoski: »Św. Stanisław biskup i jego zatarg«, etc., str. 172—73). »Translatio« w stylu kalendarskim oznacza dzień przeniesienia ciała Świętego lub pojedynczych części jego na miejsce późniejszego pochowania (Grotefend: »Zeitrechnung des deutschen Mittelalters«, Hannover 1892, t. I). Na żadne polityczne translacje czyichkolwiek zwłok w kalendarzach średniowiecznych nie było miejsca. »Rocznik krótki«, ułożony około r. 1135 wedle W. Kętrzyńskiego (»O rocznikach polskich«, Rozpr. Akad. Umiej., wydział hist. filoz., t. XXXIV, str. 182) podaje: »Błogosławiony Stanisław umęczony jest« (MPH, II, 795). Rocznik kamieniecki, przechowujący dawny rocznik z połowy XII wieku, wedle W. Kętrzyńskiego (Rozpr. Akad. Umiej., t. XXXIV, str. 221) głosi: »Umęczony jest św. Stanisław, biskup krakowski, 11 kwietnia«. Najstarsze zatem nasze roczniki i kalendarze, podając wieść o śmierci biskupa krakowskiego, mówią o jego świętości i męczeństwie. Ujemnie o biskupie mówią tylko dwa źródła: kronika Galla mówi o jego »grzesznej zdradzie«, a łaciński panegiryk ku czci Bolesława Śmiałego z XII wieku, w heksametrach ułożony, o rozpuście biskupa. Kadłubek przechował nam ustępy z tego panegiryku, by w nim zawarte oszczerstwa przeciw biskupowi odeprzeć. Oba te źródła o antygregorjańskiem zabarwieniu posłużyły Gumplowiczowi i Wojciechowskiemu do ogłoszenia sprawy św. Stanisława za straconą. Na podstawie Galla zrobili biskupa zdrajcą na rzecz Czechów czy Władysława Hermana, na podstawie panegiryku przedstawili go jako przeciwnika celibatu i kto wie czy nie żonatego biskupa.

Zdaniem Wojciechowskiego, jedynem źródłem do katastrofy na Skałce jest Gall (»Szkice«, str. 251). Nad prawdomównością i odwagą pisania prawdy u Galla unosi się poprostu autor »Szki-

ców«, wspominając o niej co chwila: »Gall miał odwagę pisać prawdę« (»Szkice« 256); »Z uczestników buntu wymienił tylko Stanisława, bo ten widocznie nie miał tak potężnych krewnych, iżby się potrzebował obawiać zemsty« (str. 255); »Był człowiekiem sumiennym (Gall), kiedy nie mogąc napisać całej prawdy, przynajmniej nie starał się jej ukryć« (str. 245); »Gallus milczy przez 12 lat o jakichbądź sprawach, dlatego, bo to były dzieje haniebne, które nie dałoby się skoloryzować jakąbądź frazeologją« (str. 317); »Gall nie chciał zataić prawdy, ale ją zakrył« (str. 338); »Gallus dopisał wiadomość czy anegdotkę, że Bolesław nie chciał zsiąść z konia, aby tamtego powitać, dołączył jeszcze drugą, że z tego powodu spotkała go rychła śmierć. Nie umiem tego wyjaśnić, trzebaby wiedzieć, na kogo Gallus miał wzgląd, albo kogo się obawiał, że i tutaj nie opowiedział szczegółów, które widocznie znał« (str. 283); »Gallus powiedział nie wiele, tylko tyle, ile rozumiał, że »wolno powiedzieć«, ale co uważał że wolno, to też wypowiedział jasno i niedwuznacznie, bez żadnej ogródki, a dodajmy z niezwykłem jakby ponadgallowem (!) poczuciem sprawiedliwości« (»Plemię Kadłubka«, str. 17); »Że Gallus nie pisał o buncie Hermana wyraźnie, a tylko pośrednio i ubocznie, to łatwo wyrozumieć ze względu na Krzywoustego, syna i spadkobiercę szczęśliwego buntownika Hermana. Należało to bowiem do rzędu tych prawd, o których »długo byłoby mówić«, a nie wchodziło w zakres tego, co wolno powiedzieć, a jednak Gallus, jako sumienny kronikarz, chociaż okrył prawdę osłoną, to przecież nie zataił« (»Plemię Kadłubka« str. 24).

Przytoczona apologja prawdomówności i odwagi mówienia prawdy u Galla zakrawa poprostu na drwiny ze zdrowego rozumu i podziwiać poprostu należy łatwowierność tylu uczonych i mniej uczonych ludzi u nas, którzy na tego rodzaju plewę prawdomówności Galla w oświetleniu Wojciechowskiego dali się złapać.

Oczywiście z uwielbieniem dla Galla idzie u Wojciechowskiego w parze bezwzględne nieuznanie i lekceważenie Kadłubka, zarówno jego kroniki, jak i osoby, jak to już wyżej zauważyliśmy. Nie wytrzymuje krytyki sąd zmienny Wojciechowskiego o Kronice Kadłubka. Co jednak najwięcej dziwić musi fachowego historyka, to ta okoliczność, że mimo tak ujemnego sądu o przedstawieniu tragedji na Skałce przez Kadłubka, z tego nicowanego Kadłubka Wojciechowski czerpie hojną dłonią przy skreśleniu

factum biskupa Stanisława. Z frazeologicznego zwrotu Kadłubka: »W pobliżu ołtarza pomiędzy infułami Bolesław ojca w uściskach córki i syna prawie we wnętrznościach matki morduje«, wydedukował Wojciechowski, że sąd nad biskupem odbył się na Wawelu między dwoma infułami, t. j. katedrą i kościołem św. Michała, a nie na Skałce (»Szkice« 312—13). Mniejsza o fantastyczność tego wniosku, ale czyż godzi się z zasadami metody naukowej wysnuwać wnioski tak daleko idące z frazesów źródła rzekomo podejrzanego? Jest to dziwna sprzeczność u Wojciechowskiego, że liczy się z każdym frazesem kronikarza rzekomo oszukańczego w sprawie św. Stanisława i że tych frazesów nadużywa do nienaukowych domysłów i fantazyj. Przyznajemy, że wersja Kadłubkowa o śmierci biskupa razić musi trzeźwo patrzącego badacza swą legendarną cudownością, razić musi jego przedstawienie porąbania ciała biskupa, zabitego przez króla, a następnie przedstawienie cudownego zrośnięcia się porąbanych członków. Jeżeli jednak Kadłubek wierzył naiwnie w cud zrośnięcia członków, to spowodowała to opinja zwolenników królewskich wraz z Gallem, którzy fakt zabójstwa biskupa przez króla w uniesieniu przy ołtarzu w kościele usiłowali zatuszować wykonaniem rzekomo legalnego wyroku na biskupie buntowniku-zdrajcy.

Jaki przebieg miała katastrofa na Skałce dnia 11 kwietnia 1079, przedstawiłem obszernie w mej pracy »Św. Stanisław biskup i jego zatarg« etc. (str. 144—147). Stwierdziłem tam, że faktu pocięcia członków nie było. Faktem jest, że św. Stanisław zginął od cięcia w tył głowy, stwierdza to strzaskana z tyłu czaszka św. Stanisława, wedle świadectwa Polkowskiego, biskupa Pelczara i samego Wojciechowskiego (»Szkice« str. 310). Zatem Gall pisał nieprawdę, głosząc, że król ukarał biskupa obcięciem członków. Ciało św. Stanisława nie było wcale pocięte. Podnosi to słusznie tak poważny badacz, jak W. Kętrzyński, niekatolik, — inaczej nie mogła powstać legenda o cudzie zrośnięcia członków. Legenda ta powstała pod wpływem twierdzenia zwolenników króla, że za bunt legalnie pokaran jest biskup na zwykłą wonczas karę obcięcia członków, — ponieważ współcześni widzieli »ciało bez najmniejszej blizny nawet«, więc uwierzyli w cud. Cudu tego Komisja kanonizacyjna nie znała tak samo, jak cudu z Piotrowinem; była krytyczniejsza od późniejszych pokoleń. W bulli kanonizacyjnej niema wzmianki o rzeczonych cudach.

St. Krzyżanowski, który tekst kroniki Galla w części ustalił, wykazał dowodnie, że Gall, nazywając króla »pomazańcem«, należał temsamem do obozu antygregorjańskiego; biskup zaś, posługując się klątwą, był temsamem gorliwym zwolennikiem reformy gregorjańskiej. Stąd niechęć Galla do biskupa wraz z dworem Piastów i znaczną częścią żonatego duchowieństwa, stąd też niezgodne z prawdą przedstawienie. Mimo to opieranie się na Gallu w sprawie biskupa uchodzi za naukowe, choć nasi uczeni zwolennicy Galla, przysięgający na obcięcie członków biskupa, każą nam wierzyć temsamem w cud zrośnięcia się członków, bo ciało współcześni katastrofy na Skałce widzieli nietknięte. Czas jest z tym pseudonaukowym upiorem się uporać. Czas jest, by się nim poważna nauka polska przestała kompromitować.

Dr. K. Krotoski.

GŁOS DRA WOJCIECHA KĘTRZYŃSKIEGO.

Mówiąc o św. Stanisławie, musimy sobie uprzytomnić, że mamy tylko jedno źródło piszące o nim, które wogóle zasługuje na uwagę. Jest to kronika t. zw. Galla anonima. Tekst jej polega tylko na jednym rękopisie pergaminowym z XIV w., znajdującym się obecnie w bibljotece Zamoyskich w Warszawie, który jest nadzwyczaj niedbale przepisany, a zatem pełen błędów i opuszczeń. Tekst zawarty w rękopisie Sędziwoja z Czechla jest bezpośrednią jest kopją, kodeks zaś t. zw. szamotulski zawiera przeróbkę tegoż.

Dr. Tadeusz Wojciechowski pisząc o św. Stanisławie w swoich »Szkicach historycznych jedenastego wieku« łączy śmierć jego z buntem Władysława Hermana przeciw seniorowi Bolesławowi, który jeszcze przed swojem wygnaniem kazał biskupa krakowskiego sądownie zasądzić na *truncatio membrorum;* śmierć zatem św. Stanisława była karą legalną za jego zdradę.

Jak wiele innych hipotez, tak i hipoteza p. Wojciechowskiego nie wynika wcale z koniecznością z słów kroniki przez niego przytoczonych, o których naprzód wypowiem kilka uwag.

Nie wolno poprawiać tekstu warszawskiego, który ma *quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare,* na podstawie rękopisu Sędziwoja na *in christianum* i stąd wyprowadzać wnioski, albowiem *in christianum* jest błędem kopji.

Drugie zdanie Galla anonima, na którem się Wojciechowski opiera, brzmi w rękopisie warszawskim: *partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed deferre Wladislavo facto dolet inimico,* druga połowa jego nie posiada należytego sensu, a także tłumaczenie p. Wojciechowskiego: »cieszył się Władysław węgierski na przyjazd Bolesława jako brata i sprzymierzeńca, ale chowa też w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi (Hermanowi) że stał mu się wrogiem«, nie jest ścisłem,

albowiem *deferre* może znaczyć *parcere, accusare, reum facere, Rücksicht oder Achtung beweisen* i t. p.[1]

W zdaniu tem jest *deferre* źle odczytanym wyrazem, a *facto* ze względów paleograficznych wątpliwym. Przypuściwszy, że należy czytać *fato*, wtedy musimy koniecznie całe zdanie w ten sposób poprawić, jak to uczynili panowie Finkel i St. Kętrzyński w najnowszem wydaniu Kroniki: *sed de terrae Bolezlavi fato dolet inimico;* jeżeli zaś z p. Wojciechowskim zachowamy *facto* i to jest także moje zdanie, w takim razie należy czytać *sed de fratre* (w skróceniu *de fre) Wladizlavo facto dolet inimico.* Sens jest teraz jasny: Władysław węgierski witając Bolesława jako brata i przyjaciela, ubolewa zarazem nad tem, że Władysław wygnawszy brata Bolesława, tem samem stał się jego przeciwnikiem.

Ale co stąd wynika? Rację ma p. Wojciechowski, że Władysław Herman niewątpliwie przyczynił się do wyrzucenia z kraju króla Bolesława; ale żeby w tym buncie i spisku miał udział biskup krakowski Stanisław,[2] absolutnie żadnego śladu, żadnej wskazówki w Gallu anonimie nie znajduję. Wolno p. Wojciechowskiemu łączyć jedno z drugiem, ale jest to w takim razie domysł, jakich dotąd było wiele innych.

Że zaś postępowanie króla z biskupem bardzo mu zaszkodziło, że było jedną z przyczyn katastrofy, oznacza autor kroniki niedwuznacznie temi słowy: *Qualiter autem rex Bolezlavus de Polonia sit eiectus, longum exsistit enarrare, sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim multum sibi nocuit etc.*

Twierdzi p. Wojciechowski w dalszym toku swojej rozprawy, że biskup Stanisław został sądownie ukarany obcięciem członków *(truncatio membrorum).*[3]

Nie będąc prawnikiem, nie wchodzę w to, czy *truncatio membrorum* była u nas używana jako kara w sprawach politycznej natury, wiem tylko o oślepianiu, ale zdaje mi się, że wy-

---

1. Ob. słowniki Du Cange'a, Forcelliniego, Brinchmeiera, Drumelius'a i t. p.

2. »Szkice historyczne«, str. 175: Kto przystąpił do buntu Hermana, o tem jest tylko jedna wiadomość pewna, że tak uczynił biskup krakowski Stanisław.

3. »Szkice historyczne«: Sąd i egzekucja biskupa: obcięcie członków... odbyło się w Krakowie. Str. 279, 308—310.

rażenie kroniki *cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit*, nie posiada tego znaczenia, jakie mu p. Wojciechowski przypisuje, że raczej jest retorycznym frazesem, wyrażającym fakt, że z polecenia króla zamordowano w sposób okrutny biskupa.

Faktem jest, że biskup został zabity, lecz *truncatio membrorum* n i e z a s z ł a w c a l e !

Wspominają wprawdzie oprócz Galla anonima o niej i legendy, ale pomimo to według kroniki mistrza Wincentego[4] i owych legend *zelo devotionis quidam patrum accensi, sparsas membrorum minutias colligere gestiunt. Pedetentim accedunt, c o r p u s i n t e g e r r i m u m, e t i a m s i n e c i c a t r i c u m n o t a m i n e r e p e r i u n t, tollunt, asportant, apud minorem s. Michaelis basilicam... recondunt.*

Jeżeli gdzie tradycja mówi prawdę, to ma to tutaj miejsce. Były w pierwszej chwili wieści o rozszarpaniu ciała biskupa, a te szeroko rozszerzyły się po świecie; gdy zaś składano ciało jego do trumny i do grobu, przekonano się, że ciało było całe i bez wszelkich śladów trunkacji. Wiedzieli o tem współcześni, mógł wiedzieć o tem biskup Wincenty i wielu innych, bo zwłoki świętego istnieją dotychczas.

Skoro zaś nie było trunkacji członków, nie było też i sądu, któryby miał wydać wyrok podobny.

Zabójstwo biskupa zatem było aktem nie sądu, lecz zemsty królewskiej, co Kronika sama przyznaje mówiąc: *neque regem v i n d i c a n t e m s i c s e*[5] *turpiter commendamus...*

Nie ulega wątpliwości, że autor Kroniki polskiej wiedział dokładnie, co zaszło pomiędzy królem a biskupem, ale nie chciał umyślnie tego powiedzieć i dlatego mówi półsłówkami, przypisując jednemu *traditio*, a drugiemu *peccatum*. Do czego *peccatum* się odnosi, wiemy: co zaś należy rozumieć przez *traditio*, nie da się łatwo określić. Po tym wyrazie nie jesteśmy koniecznie zmuszeni domyślać się zdrady politycznej, czy to na korzyść Czechów, jak jedni twierdzą, czy to na rzecz Władysława Hermana, jak mniema p. Wojciechowski.

Traditio może być każdy ostry zatarg z królem, a *tradi-*

4. Kronika Wincentego, II, 20.
5. *Vindicare se* = zemścić się.

torem mógł być w jego oczach każdy, który przeciw niemu, przeciw jego woli i intencji działał. I księża Dunin i Ledóchowski, arcybiskupi gnieźnieńsko-poznańscy, pokutowali na fortecy i w więzieniu za sprawy, które w oczach rządu pruskiego uchodziły za zbrodnie, w oczach zaś społeczeństwa były czynami zacnemi, bo jeden i drugi walczył za swoje przekonania. Tak niewątpliwie było i z św. Stanisławem; był zatarg z królem, to nie ulega wątpliwości; ofiarą jego padł biskup, ale i król nie wyszedł z niego bez szwanku.

Zatarg pomiędzy królem Bolesławem a biskupem Stanisławem pozostaje i nadal zagadką, o rozwiązanie której niejeden jeszcze na próżno się pokusi. Czy niema zatem nadziei, aby była kiedyś rozwiązana? Sądzę, że możliwość istnieje, ale tylko wtedy, jeżeli nam się uda znaleźć nowy a lepszy tekst Kroniki Galla anonima, oraz odszukać bullę papieską, rzucającą klątwę na Polskę, o której wspominają katalogi biskupów krakowskich. W bulli takiej musiała być wzmianka nie tylko o zbrodni samej, ale też o jej motywach. Jeżeli te warunki się spełnią, wtedy tylko będzie można spodziewać się wyjaśnienia ciemnej dotąd zagadki.

GŁOS WIKTORA CZERMAKA.

Nie jestem mediewistą i źródłowem badaniem wieków średnich wogóle mało się zajmowałem. Nie mniej przeto jako historyk z zawodu, miłośnik i badacz dziejów polskich, nauczyciel wreszcie historji polskiej na uniwersytecie, z obowiązku i konieczności poprostu zastanawiałem się niejednokrotnie nad tym niezmiernie interesującym i ważnym a dziwnie zagadkowym problematem historycznym, który się spełnił na ziemi naszej, w Krakowie, w r. 1079. Śledziłem z najżywszem zajęciem postępy historjografji na tem polu i przyznaję, iż sam fakt pojawienia się studjum o św. Stanisławie, pióra prof. Wojciechowskiego, mego byłego nauczyciela i mistrza, a uczonego tak niezwykłej zasługi, powagi, fakt zwłaszcza podjęcia przezeń tezy, zaznaczonej ongi jeszcze przez Czackiego, a rozwiniętej obszerniej przez Stefczyka, próba dokładniejszego uzasadnienia tejże tezy, — wywarła na mnie silne wrażenie. Przyznaję też, że pod wrażeniem wywodów znakomitego znawcy średnich wieków, zacząłem wierzyć w prawdopodobieństwo tego, co mi się w studjach dawniejszych badaczy wydawało nieprawdopodobnem. Powiem więcej, pod wrażeniem dzieła prof. Wojciechowskiego pozostawałem nadal i pozostaję poniekąd jeszcze obecnie; nasunęły mi się później rozmaite wątpliwości co do szczegółów jego argumentacji, ale jak dawniej, tak i dzisiaj nie czuję się na siłach, aby wystąpić do polemiki z mediewistą tej miary, co mój były profesor. Idę owszem w uległości dla jego wywodów tak daleko, że chcę się narazie i chwilowo pogodzić zupełnie — mimo (jak powtarzam) pewnych wątpliwości — z jego hipotezą, że istniała zmowa między Wratysławem czeskim a Władysławem Hermanem, — zmowa, poparta przez Henryka IV, a mająca na celu, jeśli nie obalenie Bolesława Śmiałego, to uszczuplenie jego władzy i stanu posiadania (nie konieczne zrzucenie onego z tronu) i że biskup, św. Stanisław, do tej zmowy należał. Ta hipoteza ma posłużyć za punkt wyjścia dla

uwag, które rzucam poniżej. Przy rozważaniu dziejów tej całej sprawy nasunęło mi się parę myśli, które jeśli nie przydadzą się do lepszego onej wyjaśnienia, to mogą się przyczynić do uspokojenia wszystkich, wahających się z przyjęciem poglądów prof. Wojciechowskiego dlatego, że mogłyby one zachwiać ich wiarę w świętość czynów i całego wogóle życia kanonizowanego przez Kościół biskupa.

Oto treść tych rozmyślań.

Wiadoma rzecz, że Gallus napiętnował akt współdziałania biskupa z Władysławem Hermanem wyrazem *traditio*, a jego samego mianem *traditor*. Prof. Wojciechowski wytłumaczył łacińskie te słowa polskiemi wyrazami: »zdrada« i »zdrajca«. Nie chcę wchodzić tu w kwestję, poruszaną już także w nauce, czy nie możnaby lub nawet nie należało słów: *traditio* i *traditor* tłumaczyć inaczej, a nie przez wyrazy: »zdrada« i »zdrajca«; owszem nawet i z tem się na razie chcę pogodzić, że tłumaczenie prof. Wojciechowskiego jest jedynie dopuszczalne.

Lecz nasuwa mi się oto pytanie: czy to, co gorącemu zwolennikowi Bolesława Śmiałego i jego syna Mieszka wydawało się aktem zdrady, musiało też za taki akt uchodzić w oczach innych współczesnych ludzi; czy przeciwnie św. Stanisław nie mógł obstawać po stronie Władysława Hermana przeciw Bolesławowi Śmiałemu w tem przeświadczeniu, że spełnia akt godziwy, legalny, zgodny z głosem jego sumienia i z duchem prawa zwyczajowego, obowiązującego wówczas w całej Polsce, co więcej, uznawanego w całej Słowiańszczyźnie? Czy zwłaszcza głównie interesowany Władysław Herman, wyłamując się z pod posłuszeństwa braterskiego, podnosząc zbrojną rękę na Bolesława, nie czuł się poniekąd w swojem prawie?

Władysław Herman był rodzonym, młodszym bratem Bolesława Śmiałego; w r. 1079 liczył już lat 38 i dawno miał zatem za sobą pełnoletniość. Czyż nie uderzyło to nikogo, że mimo, iż pełnoletni, po chwilę zegnania brata nie miał żadnego widocznego udziału w dziedzictwie ojcowskiem? Nie dzierżył udzielnie żadnej części ojcowizny, choć miał do niej już od kilkunastu lat zupełne prawo. Jakie było bowiem prawo dziedziczenia w rodzinie Piastowskiej XI wieku i następnych, aż po w. XIV, o tem obecnie dostatecznie już wiadomo. Wyjaśnił je już przed 10 laty znakomicie i szczegółowo prof. Balzer w dziele: »O następstwie tronu

w Polsce« (Kraków 1897). Oto, jak ten uczony badacz sformułował treść Piastowskiego prawa dziedziczenia: »Naczelna zasada dziedzicznego prawa Piastowskiego jest, że prawo następstwa przysługuje synom zmarłego poprzednika, i to nie tylko jednemu z nich, ani nawet kilku pomiędzy nimi, ale wogóle wszystkim, jakich pozostawił. Prawo to jest tak silnem, że poprzednik nie może go przez osobne zarządzenia ani uszczuplać, ani tem mniej usunąć. To też, ilekroć po księciu pozostanie większa ilość potomków męskich, widzimy, iż wszyscy bez wyjątku dziedziczą po nim ojcowiznę. W jednym tylko wypadku syn mógł być usuniętym od następstwa na korzyść innych braci, a mianowicie wtedy, jeśli się poświęcił zawodowi duchownemu; wszelako i w tym wypadku zdarzało się niejednokrotnie, że książe, piastujący godność duchowną, łączył zarazem w swem ręku rządy w jednej z dzielnic, otrzymanych spadkiem po ojcu« (str. 13—14). Taka była zasada Piastowskiego prawa dziedziczenia, i wogóle prawa dziedziczenia w rodzinie tak u Polan, jak u wszystkich Słowian owych czasów, w myśl starodawnego słowiańskiego prawa zwyczajowego (str. 17—18). Wywodzi też trafnie prof. Balzer, że prawo to uważano w rodzinie Piastowskiej zawsze za obowiązujące, nie tylko w XII i XIII w., ale także w X i XI wieku, a nie dopiero w XIII. Jeżeli niekiedy ziemia polska cała znajdowała się czasowo pod rządem jednostek w XI wieku, to dlatego, że albo był w danej chwili przy życiu faktycznie tylko jeden członek rodziny Piastowskiej, albo, że jeden z członków tej rodziny gwałtem usunął od ojcowizny i władzy resztę uprawnionych do dziedzictwa ojcowskiego, albo, że bracia spadkobiercy pozornie nie przeprowadzili podziału ziemi, zadawalając się gospodarką t. zw. »niedzielną«, życiem »na wspólnym chlebie« — przynajmniej do czasu (str. 8—13).

Jakże się stało, że — jakby ze źródeł wnosić można — po śmierci Kazimierza Odnowiciela, który pozostawił trzech synów: Bolesława, Władysława Hermana i Mieszka, jedyny Bolesław Śmiały objął rządy nad całą Polską? Prof. Balzer domyśla się, że źródła nie opowiedziały dokładnie całego przebiegu tej sprawy, i przypuszcza, że wszyscy bracia uzyskali odrazu udział w ojcowiźnie, dodając, że »nie da się tylko rozstrzygnąć napewno, czy nastąpił podział na dzielnice, czy też utrzymaną została wspólność majątkowa«. Oświadcza się jednak »z większem prawdopodobień-

stwem za przypuszczeniem pierwszem«, to jest, że wszyscy bracia uzyskali odrazu udział w ojcowiźnie i że nastąpił zatem podział na dzielnice. Stało się to chyba na krótko: bo w źródłach niema najmniejszego śladu, aby w pierwszych czasach rządów Bolesława, już po przedwczesnej śmierci Mieszka, Władysław Herman rzeczywiście dzierżył jakąś dzielnicę i rządził w niej jako samodzielny posiadacz i władca. Niema żadnego śladu, mimo że Władysław Herman już od r. 1065 był pełnoletnim, nawet wedle naszej dzisiejszej normy pełnoletności. Niema też z drugiej strony najmniejszego śladu, aby przyszło między braćmi do jakiegoś układu o wspólne rządy. Jest to rzecz tak dziwna i szczególna, że prof. Wojciechowski nie mogąc inaczej wytłumaczyć tej anomalji, posunął się do przypuszczenia, że Kazimierz Odnowiciel przed śmiercią swą musiał ustanowić instytucję senioratu tak, że po nim sam Bolesław jako senior objął rządy w Polsce. Ale dla poparcia tej hipotezy nie mógł przytoczyć żadnego zgoła dowodu źródłowego; bo gołosłowna wzmianka u Galla, iż po śmierci Kazimierza »zapanował w Polsce pierworodny Bolesław« jest stanowczo za mało mowna (Szkice str. 157).

Czy nie stało się to tylko poprostu zapomocą aktu zwykłej uzurpacji, czy nie było dziełem przemocy śmiałego i gwałtownego Bolesława nad słabowitym i mało energicznym Władysławem? Bolesław może zatrzymywał udział Władysława w swojem władztwie wbrew woli legalnego dziedzica aż po rok 1079; i dlatego nic nie słychać o podziale Polski na dzielnice przez dwie dziesiątki z okładem lat rządów tego króla, który doprowadziwszy do koronacji, z tytułu królewskiej władzy poczuwał się tem więcej do prawa wykonywania supremacji nad bratem. Mógł się uważać za przełożonego nad Władysławem jako monarcha koronowany, ale nie mógł sobie przypisywać prawa do posiadania jego dzielnicy.

A Władysław Herman może godził się z tym stanem rzeczy — do czasu. Zerwał się do walki o swoje prawa dopiero w 38 roku życia, gdy poczuł za sobą silną pomoc postronną. Inna rzecz, czy spełnił akt rozsądny, akt polityczny, a inna, że mógł się czuć w swojem prawie. A więc i św. Stanisław, stając po stronie Władysława Hermana przeciw Bolesławowi Śmiałemu mógł nie tylko mieć przeświadczenie, że staje w obronie wykonania odwiecznej zasady prawnej, że, co więcej, s t a j e w o b r o n i e p o k r z y w d z o n e g o. Mógł i on mieć krótki wzrok jako polityk; ale jasny

wzrok jako chrześcijanin i jako stróż nietykalności prawa, na którem się opierał spokój i porządek w rodzinach. Władysław Herman posunął się za daleko w zapalczywości: bo zabrał dla siebie nie tylko część ziemi polskiej, ale całą ojcowiznę i zegnawszy Bolesława Śmiałego z tronu i z kraju, popełnił nadużycie i gwałt ze swojej strony. Ale nie mamy najmniejszego dowodu na to, niema najmniejszej podstawy do twierdzenia, że św. Stanisław brał udział w akcie zegnania z tronu Bolesława Śmiałego. Bolesław był królem, miał władzę w ręku, siedział na tronie, gdy św. Stanisław zginął z jego rozkazu; — któż ośmieli się twierdzić, że przyłożyłby był rękę do zegnania z tronu króla, że rzeczy doszłyby były do tej ostateczności, do jakiej doszły — gdyby św. Stanisław pozostał przy życiu, na swej stolicy biskupiej do końca roku 1079.

A dodam, że w chwili kiedy św. Stanisław podawał dłoń pomocną Władysławowi Hermanowi, obaj byli już ludźmi starszymi. Władysław Herman miał w r. 1079 lat 38 życia, a św. Stanisław, którego daty urodzin nie znamy, nie był niezawodnie o wiele młodszym, jeżeli nie był starszym. O życiu tych dwóch ludzi po rok 1079, o ich wzajemnym stosunku do siebie nie wiemy prawie nic zgoła. A któż wie, jak się układał ten stosunek w ciągu ostatnich lat kilkunastu przed katastrofą krakowską? Władysław Herman był człowiekiem ułomnym, słabowitym, a przytem pobożnym *(Ducem Vladislaum, p i u m et mansuetum virum.* Gallus: *Mon. Pol.* I, 443).

Nie brał udziału w wyprawach wojennych Bolesława, więc przesiadywał bez dłuższych przerw zapewne w Krakowie i musiał częściej, niż Bolesław, stykać się z biskupem: łatwiej więc mogły się między nimi oboma wytworzyć węzły ściślejszej sympatji, może głębszej przyjaźni. A to byłby jeden więcej wzgląd, któryby upoważnić mógł do przypuszczenia, że św. Stanisław, obstając po stronie Władysława, działał w dobrej wierze i chęci.

Starając się usprawiedliwić postępowanie św. Stanisława, nie jestem przeto bynajmniej za zbyt pospiesznem potępianiem króla Bolesława. Król śmiały i energiczny, dbały o dobrą sławę swego imienia i państwa, świadomy też pewnie znaczenia jedności dla utrzymania Polski w całości i mocy, dążył może do utrzymania tej jedności w imię wyższych politycznych celów. Nie chciał dopuścić do rozdziału ojcowizny na pomniejsze dzielnice,

przewidując, że rozdrobnienie może przynieść osłabienie i spowodować upadek; więc opaźniał spełnienie legalnych pretensyj Władysława jak mógł najdłużej. Ale św. Stanisław mógł działać w imię zasady: *pereat mundus, fiat iustitia,* którą mu i religja wskazywała, i naraził się na zbyt gwałtowny wybuch gniewu Bolesława, który się zakończył krwawym aktem ciężkiej niesprawiedliwości.

Utrzymuje się dotychczas uporczywie legenda, że zegnany z tronu król strawił resztę życia na pokucie. Tkwi i w tej legendzie także ślad poczucia, iż po stronie Bolesława była w tej sprawie — wina.

GŁOS ANTONIEGO PROCHASKI.

Rzadko który z historyków, w pytaniach zasadniczych, których zbadaniu poświęcił niemal całe życie, u schyłku swej działalności naukowej, zmienia zdanie swe i poglądy tak radykalnie, jak to uczynił profesor Wojciechowski w kwestji św. Stanisława. Zazwyczaj nowe źródła, akta, kroniki, w oczy bijące dowody, podkopujące cały dotychczasowy pogląd na zasadnicze pytanie, są powodem zmiany zdania, jeżeli ono ostać się ma w nauce, a nie być tylko hipotezą. Najprzychylniejsza krytyka oceniła ten zmieniony sąd p. W. o św. Stanisławie jako hipotezę, jednakże i od niej wymaga nauka realnej podstawy.

Toż i przy ocenie hipotezy p. W., hipotezy, która zakwestjonowała słuszność czci największego patrona Polski, zapytywał każdy o jej podstawę. Najmniejszej nowej wzmianki annalistycznej, żadnego nowego aktu nie znajdujemy w szkicu p. W., aby mógł być podstawą do rzucenia werdyktu, uwłaczającego czci Świętego. Jeżeli zaś zapytamy o podstawę, jakiej p. W. użył do swego werdyktu, to bardzo trafną znajdziemy odpowiedź na pytanie w poprzednim artykule dr. Krotoskiego, że jest nią interpretacja tekstu Galla i jedna odmienna od ogólnie przyjętej lekcja w ustępie, w którym annalista mówi nie o Świętym, ale o zabójcy tegoż, królu Bolesławie. Należy zbadać tę podstawę hipotezy.

Najważniejszy ustęp małomównego Galla (M. P. I, 422) tak p. W. tłumaczy: Jako zaś Bolesław był z Polski wyrzucony, długoby było o tem mówić, tyle tylko ujdzie powiedzieć, że nie godziło się pomazańcowi karać pomazańca cieleśnie za jakibądź grzech. To bowiem zaszkodziło mu wielce, że gdy biskupa za zdradę skazał na obcięcie członków, więc do grzechu dodał grzech. (Szkice, str. 252).

Tłumaczenie to nie oddaje wiernie myśli Galla. Najpierw bowiem w najstarszym kodeksie Galla czytamy: *non debuit chri-*

stianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare, nie można tedy tego zdania odnieść do biskupa. Bezpośrednio następujące zdanie dowodzi, że lekcja *christianos* jest poprawna. Czytamy bowiem: *illud enim multum sibi nocuit, cum peccato peccatum adhibuit, cum pro tradilione pontificem truncationi membrorum adhibuit.* Przyjąwszy lekcję *christianum* w znaczeniu pomazańca, należałoby podnieść jakąś nielogiczność tekstu przy czytaniu następnego, a zacytowanego zdania i zapytać, jakiżto grzech spełnił Bolesław przed zasądzeniem Świętego, wszakże o tym grzechu nic Gall nie mówił? Wobec najstarszej lekcji *christianos* zarzut nielogiczności odpada, tekst jest poprawny i daje myśl jasną: król Bolesław mścił się cieleśnie najpierw na poddanych *(christianos)*, to był jego pierwszy grzech, a dodając grzech do grzechu skazał biskupa.

Gdybyśmy jednak ustęp tłumaczyć mieli w taki sposób, że owe zdanie *non debuit christianus in christianos peccatum corporaliter vindicare* wzięlibyśmy jako ogólną zasadę, którą autor wysuwa, aby ją zaraz uzasadnić przez podany przykład mściwości króla na biskupie dokonanej, że mianowicie król mszcząc się za grzech biskupa, grzech grzechem leczył, czem wykroczył przeciwko chrześcijańskiej zasadzie ze szkodą własną, to w takim razie mielibyśmy znowu trudność w tem, że właśnie Kadłubek, jak dalej dowodzimy, dobrze tutaj znający Galla, rozwinął ową myśl o zemście Bolesława na własnych poddanych, przez opowiadanie o pastwieniu się króla na niewiernych żonach swego rycerstwa. Zauważyć przytem należy, że Gallusowe *christianos* w znaczeniu poddanych odpowiada Kadłubkowemu c. 20 *bellum in s u o s transtulit*, innemi słowy, że także znający tekst Galla Kadłubek rozumiał i rozwinął go w sposób wykluczający i lekcję *christianum* i interpretację prof. Wojciechowskiego.

Jeżeli nie można się zgodzić na konjekturę najstarszego tekstu, proponowaną przez p. W., a co za tem idzie na interpretację Galla, to tem mniej przyjąć można tłumaczenie drugiego miejsca oddanego przez p. W. słowami: cieszył się Władysław Węgierski na przyjazd Bolesława, jako brata i sprzymierzeńca, ale też chowa w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi Hermanowi, że stał mu się wrogiem. W oryginale opiewa ten ustęp: *cum audisset Wladislaus Boleslaum advenire, partim gaudet ex amico, partim restat locus irae; partim ex re-*

cepto quidem fratre gaudet et amico, sed deferre Wladislao fato dolet inimico.

Na tłumaczenie p. W. żadną miarą zgodzić się nie można i odnieść wyraz *Wladislao* do Władysława Hermana, gdyż znowu musielibyśmy zarzucić Gallowi brak logiki. Najpierw bowiem nie wspominał Gall poprzednio ani słówkiem o Władysławie Hermanie, powtóre zapytać musielibyśmy, dlaczego Władysław Węgierski przy spotkaniu Bolesława miałby żywić gniew, z powodu, że Władysław Herman stał się mu wrogiem, wszakże Bolesław nie był temu winien, a wreszcie już przed przybyciem Bolesława wiedział król Węgierski o nieprzyjaźni Władysława Hermana (dodajmy, jeżeli wogóle jaka była). Błędne koło stworzył nam p. W. każąc odnosić wyraz *Wladislao* do Władysława Hermana, a stworzył je, tłumacząc wyraz *deferre* mniej odpowiednio przez w y b a c z y ć, oznacza on bowiem u c z c i ć: *honorem referre* (ob. Du Cange), a już samo rzetelne znaczenie tego słowa wyklucza odnoszenie następującego wyrazu *Wladislao* do Władysława Hermana. Jeżeli tedy prawidłowo postępując, oddamy wyraz *deferre,* przez *honorem referre, dolet* zaś odniesiemy do *Wladislao,* odpada i zarzut nielogiczności i jasno rozumiemy tekst, mówiący, że Władysław Węgierski częścią cieszy się z przyjazdu Bolesława, jako z przyjazdu przyjaciela, lecz żywi też i urazę, bo musi uczcić tego, który zarządzeniem losu (nieszczęściem *fato)* stał się mu nieprzyjacielem. Ostatni wyraz *inimico* tłumaczy się tem, że Bolesław był klątwą obłożony, co Gall świeżo wyrazem *fato,* a poprzednio wyrazem *traditor* zaznaczył.

Że tłumaczenie p. W. jest mylne i że jedynie tłumaczenie powyżej podane jest możliwe, o tem przekonać się można także i z porównania całego ustępu Galla z temi źródłami, które najwcześniej z niego korzystały. Tym najwcześniejszym historykiem był nie kto inny, jak mistrz Wincenty, tak niesłusznie przez p. W. lekceważony Kadłubek. Że mistrz Wincenty czerpał tutaj z kroniki Galla, pouczyć się można z porównania ustępów, w których obaj annaliści opowiadają o przyjęciu Bolesława przez Władysława Węgierskiego. Opiewają one:

Gallus c. 28 MP. I. 423.
Wladislaus, ut vir humilis, (Boleslaum) propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam expectabat. At contra Boleslaus

Winc. c. 20. MP. II. 297.
Vladislao devotam illi exhibente reverentiam immo pedestri veneratione occurente, Boleslaus tanto supra se fastu rapitur, ut digno

humilitatem regis... non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit. Hunc inquit alumpnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me osculari... illum osculo dignari contempsit. Iste inquit nostrarum opus manuum est, non autem competit opifici, ut suam colat creaturam.

I pokorę Władysława i hardość Bolesława opowiadają obaj annaliści niemal temi samemi zwrotami, jest przeto uzasadnionym wniosek, że Kadłubek korzystał z Galla. Jeżeli zaś zauważymy, że właśnie tekst Galla rozpoczyna się od owego zdania o podwójnej grze uczuć w sercu Władysława Węgierskiego z powodu przyjazdu Bolesława, zrozumiemy łatwo, że stanowi niejako tezę, dla której uzasadnienia obaj autorowie, Gall i czerpiący z niego Kadłubek rozwijają, w całym tym ustępie o przyjęciu Bolesława w Węgrzech, myśl o trudności stanowiska króla Węgierskiego względem przybywającego w gościnę swego przyjaciela, a zarazem hardego wygnańca. Gdyby Władysław Herman, jak to niefortunnie chce mieć p. Wojciechowski, był bodaj w części przyczyną tych trudności króla Węgierskiego, to jeżeli nie sam Gall, to z pewnością Kadłubek, który jest obszerniejszy, byłby bodaj jednem zdaniem podniósł i rozwinął myśl w kierunku proponowanej przez p. W. interpretacji. Ale u Galla, ani u korzystających z niego niema mowy o Władysławie Hermanie, a Kadłubek walkę uczuć w sercu Władysława Węgierskiego, później Świętego, oddaje wyrazami *aegre dissimulat, tamen ne fortunae dicatur fuisse socius non amicus etc.*, zapuszcza się więc głębiej aniżeli Gall w psychologję uczuć tego króla, a przecież o Władysławie Hermanie ani wspomina, jakby to niewątpliwie był uczynił, gdyby w ustępie odnośnym Gallus, z którego tutaj Kadłubek korzystał, miał Władysława Hermana na myśli. Niewątpliwie Kadłubek, który dobrze znał łacinę, zrozumiał Galla trafnie tak, jakeśmy wyżej ustęp sporny wytłumaczyli, a we wniosku tym mamy potwierdzenie dowodu naszego, że tłumaczenie p. W. nie jest rzetelne.

Godząc się na prawidłową interpretację omówionych wyżej ustępów Galla, musimy przyjąć w konsekwencji, że i ów wyraz *traditor* nie może mieć u Galla znaczenia zdrajcy stanu, lecz sprawcy odpadnięcia kraju od króla na skutek klątwy biskupiej. Tę tu miał Gallus na myśli, kładąc wyraz ostry i potępiający *traditor* i dodając, że nie chce usprawiedliwiać biskupa. Kadłubek i tutaj może posłużyć za dowód posiłkujący, że takie tylko, jak

wyżej podano, ma znaczenie użyty wyraz *traditor*, gdy mianowicie mówi o Bolesławie, że ten *illum (Stanislaum episcopum) astruit proditionis originem* i skoro dalej gani tych, którzy dali wiarę Bolesławowym skargom i biskupa mieli za sprawcę odpadnięcia kraju od króla.

Z powyższego rozbioru wypływa najpierw, że lekcja *christianum* w znaczeniu pomazańca nie może być przyjętą, z powodu, że następujące po tym wyrazie zdanie wyklucza znaczenie pomazańca, a natomiast dowodzi, że lekcja *christianos* jest poprawną; powtóre, że interpretacja p. Wojciechowskiego ustępu Galla o podwójnej grze uczuć króla Węgierskiego z powodu przybycia Bolesława w odniesieniu powodów tychże do Władysława Hermana jest mylną, z powodu mylnego tłumaczenia wyrazu *deferre* i z powodu braku logiki i zdrowego sensu, gdybyśmy ustęp odnieść mieli do Władysława Hermana. Cały po kwestjonowanem zdaniu następujący ustęp Galla niemniej jak i korzystającego zeń Wincentego dowodzi, że tłumaczenie, jak je wyżej podaliśmy, jest rzetelne, i że nie może być mowy, aby można było odnosić owo kwestjonowane miejsce Galla do Władysława Hermana. W rezultacie ostatecznym przekonywujemy się dowodnie, że hipoteza profesora Wojciechowskiego, zbudowana na fałszywej konjekturze i na mylnem tłumaczeniu Galla, nie może być przez naukę przyjętą.

GŁOS DRA ADAMA MIODOŃSKIEGO.

Prof. T. Wojciechowski zaznacza, że słowa Galla (I, 27) o św. Stanisławie i katastrofie królewskiej są pełne »ciemnych zagadek«, dlatego też »zależy wiele i prawie wszystko na trafnej interpretacji tego ustępu« (Szkice historyczne str. 252, 253). Pozwalam więc sobie dodać kilka uwag filologicznych do łacińskiego tekstu kroniki i wyznaję, że przedkładam cierpliwemu czytelnikowi tylko próbę egzegetyczną w najogólniejszych zarysach.

Przekazany nam tekst kroniki Galla nie opiera się na poprawnej podstawie rękopiśmiennej, możnaby zatem, ale nie koniecznie trzeba dopatrywać się jakiegoś większego skażenia także w miejscu nas obchodzącem. Czy autor z umysłu wyraził się tutaj niejasno, prawie tajemniczo? Nie przypuszczam. Jak przedmiotowo, z jaką otwartością stara się sądzić ludzi, świadczy wymownie jasno sformułowane zdanie jego o sprawie Zbigniewa (III, 25), wypowiedziane przecież za życia Bolesława Krzywoustego, którego chwałę pragniemy upamiętnić. Mówiąc o r. 1079, pominął rzeczywiście szereg wypadków, poprzedzających upadek Bolesława Śmiałego, ale wypadało mu wobec doniosłego zatargu króla z biskupem być rzetelnym sprawozdawcą i powiedzieć wyraźnie, choćby najkrócej, za co ten biskup zginął, tem bardziej, że mógł mieć dokładne wiadomości o całem zajściu, gdyby zaś ich nie miał, nie powinien był posługiwać się zagadkowem i obosiecznem wyrażeniem o dostojniku Kościoła ten, który wielokrotnie podnosi umiłowanie prawdy i sprawiedliwości,[1] a o zabijaniu biskupów i księży w Polsce w r. 1030 donosi z e ł z a m i.[2] Ze starożytnej prozy sztucznej przyjmuje nasz autor zasadę paralelizmu w ukła-

1. Np. II, 31: ut veritatem historiae teneamus.

2. I, 19: Insuper etiam a fide catholica deviantes, quod sine voce lacrimabili dicere non valemus, adversus episcopos et sacerdotes Dei seditionem inceperunt eorumque quosdam gladio quasi dignius peremerunt, quosdam vero quasi morte dignos viliori lapidibus obruerunt.

daniu zdań, a nawet poszczególnych ich części, przyczem dobiera wyrazów tak samo się rozpoczynających i szuka rzeczywistego lub pozornego rymu. Prócz tego w ślad za prawami stylu średniowiecznego używa t. zw. *cursus*, to jest wprowadza do swojej prozy pewną harmonję przez zastosowanie rytmicznego spadku, dla którego normą był akcent, nie iloczas. Należy jednak stwierdzić, że ten paralelizm zewnętrzny z prozaicznym rytmem nie jest dla Galla stałą, wszędzie i równomiernie stosowaną regułą, nie zmuszał go przeto do poświęcania treści dla formy. Wogóle zaś przy objaśnianiu Galla wypada liczyć się z charakterystycznemi cechami jego łaciny, mianowicie (pomijając wpływy klasyczne) z wybitnem oddziaływaniem Pisma św. i Ojców Kościoła, nie mniej z właściwościami dykcji średniowiecznych kronikarzy. Starałem się też rozglądnąć w innych działach literatury na przejściu z XI do XII wieku. Z tego okresu dostarczyli mi niejednego przykładu trzej rozgłośni pisarze, których studja lub produkcja piśmiennicza rozwijały się przeważnie we Francji, mianowicie: Hildebert (1056—1133), arcybiskup w Tours; Petrus Lombardus, biskup paryski, z pierwszej połowy XII wieku; Ioannes Sarisberiensis (1120—1180), biskup w Chartres. Wreszcie nie uważałem za właściwą rzecz ani za metodyczną zamykać oczu na świadectwo Kadłubka, zwłaszcza tam, gdzie popiera je Długosz; wiele nadto zarzutów, jakie spotykają Kadłubka, odpadnie po należytem zrozumieniu jego języka i stylu.[3]

---

3. Oto dla ilustracji jedno niewątpliwie bardzo ważne miejsce. Kadłubek (MPH. II, str. 296) pisze, że św. Stanisław poniósł śmierć: *prope aram, inter infulas.* Prof. T. Wojciechowski (j. w. str. 312) na podstawie wyrażenia »inter infulas« domyśla się, że to było »miejsce na Wawelu, pomiędzy katedrą, jako jedną infułą, a jeszcze drugim kościołem, także infułackim«. Przez »infulae« rozumiemy jednak »oznaki pontyfikalne«. Por. Kadłubek (j. w. str. 336, 1) *antistes Simon,* institis ac *infulis pontificalibus* insignitus (= Gall II, 49 Quippe *Simon... infulis indutus sacerdotalibus* sequebatur). Ioann. Sarisber., Migne, epist. 304 (r. 1171), str. 356: cum beati martyris (arcybiskupa św. Tomasza) corpus... *pontificalibus* indueretur. Mnich Priefling. MPH. II, 142, 6 (o św. Ottonie): de scrinio suo, in quo *pontificales* eius libri et *infulae* servabantur, aliqua de *vestimentis sacerdotalibus* latenter assumens; tamże 142, 33: Ille vero *pontificalibus infulis uti sancto altari astant decoratus* (por. MPH. I, 505, 1). Infulae były także oznaką pogańskich kapłanów, por. Kadłubek, str. 344 (= Justin. 24, 8, 3); str. 309 (= Justin. 18, 7, 9). Zwrot Kadłubka »inter infulas« stoi na równi z »infulis insignitum, vestitum« (w stroju ponty-

Na pytanie, czy Gallus, określając czyn biskupa jako *traditio*, myślał o zdradzie lub wogóle jakimkolwiek podstępie z jego strony, daje przeczącą odpowiedź porównanie tych miejsc, gdzie »traditio« ma wprawdzie powyższe znaczenie, ale uwydatnione osobno przez synonim lub inny dodatek, nie mówiąc już o sytuacji i całem tle opisywanych zdarzeń, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do semazjologicznej funkcji tego wyrazu. Na to zwrócił także uwagę ks. Fr. Namysłowski w rozprawie: »Św. Stanisław »traditor« czy zdrajca?« Kraków 1908, str. 46.[4] Proszę porównać następujące przykłady z Galla: II, 37 Zbignevi litterae captae... quibus multae traditiones *et insidiae* sunt prolatae; II, 48, tot traditiones *et insidias* (Pomoranorum) memorantes; III, 23, quae (dies) traditionem *et infidelitatem* Bohemorum *revelabit;* II, 44, ille Bolezlavi filius spiritalis traditiones *fecit* multimodas, *dignas sententiae capitalis;* II, 16, utpote *signum* traditiones *suspicantes* (ustęp rozpoczyna się słowami: Interea namque Ze-

---

fikalnym) na wzór znanych starożytnych połączeń, w których przyimek »inter« ma znaczenie »otoczony czemś«. Np. Livius I, 26, 11 verbera... inter illa pila et spolia hostium; Suetonius, Vitellius 11: Urbem denique ad classicum introiit paludatus... inter signa atque vexilla; Tacyt, ann. 1, 64 neque librare pila inter undas poterant (»stojąc w wodzie«). Por. Draeger, Hist. Syntax I², § 273, str. 608. Jeżeli nadto uwzględnimy dalsze objaśnienie Kadłubka: non *temporis* inspecta *reverentia,* musimy twierdzić, że także zdaniem jego biskup zginął w czasie odprawiania pontyfikalnej Mszy św. Słowa Długosza (str. 372, wyd. krak.): »pontifici sancto *missarum solennia* consummanti« są tylko parafrazą powyższych zwrotów Mistrza Wincentego. Nie sprzeciwia się też temu tłumaczeniu wyrażenie Kadłubka i Długosza: »in maternis *paene* visceribus«. Mowa tu o samem wnętrzu Kościoła, bo *paene* służy tylko do złagodzenia przenośni: tak jakby, że tak powiem. Np. Cicero, rep. 1, 45 divini paene est viri; leg. 2, 4 incunabula paene mea; Phil. 2, 17 voce paene litterarum i t. d. Kadłubek j. w. str. 272, 6: immortales Poloniae titulos zodiacis paene signis inseruit. Prof. T. W. ustanawia różnicę pomiędzy »ad aram« a »prope aram«, dodając, że prope aram »można rozumieć ogólniej: w pobliżu Kościoła«. Proszę jednak porównać, co mówi Ioann. Sarisberiensis o męczeństwie św. Tomasza: epist. 304, str. 356 M.: Certe *in Ecclesia* (immolatus est)... *coram altari,* inter consacerdotes; tamże: *coram altari prostratus* effusum manibus *impiorum* obtulit proprium (por. Długosz: Rex *impius... prosternit* et interimit *sc.* Sanctum Stanislaum). Czem się różni »coram altari« od »prope aram«?

4. Takich podpór i dodatków nie potrzebowałby wyraz *proditio,* por. Gallus II, 16.

theus multas, ut ferunt, ipsis pueris *insidias praetendebat).* Kilka razy czytamy *per traditionem* w znaczeniu zdradziecko, podstępnie: I, 17, a Bohemis in colloquio p. t. *captus* (Mescho); II, 36, Kosle *castrum concrematum.* Qui reputans, aliquem p. t. *hoc fecisse;* II, 46, pro Pomoranis p. t. sua *castra capientibus* remeavit; tak samo o »castrum« II, 47.

Podobnych środków językowych używa Gall, kiedy przez *traditor* chce napiętnować osobę zdrajcy lub wogóle wichrzyciela politycznego: I, 18, traditores eam (matrem Kazimiri) *de regno* propter invidiam *eiecerunt;* nieco niżej mówi o nich: *malitiosi* veriti, ne matris *iniuriam* vindicaret, *in eum* (Kazimirum) *insurrexerunt* eumque in Ungariam secedere coegerunt; II, 29, Erat enim ipse Swatobor in Pomorania *carceratus,* et *a quisbusdam a regno suo traditoribus subplantatus;* III, 23, Ad hoc enim detrimentum et dedecus bellica gens Bohemorum *traditorum factionibus* est redacta; III, 26, sicut *perfidus hostis et traditor;* gdzieindziej o znaczeniu świadczy sam związek przedstawionych faktów: III, 21, (Borivoy) regnum acquirere sine bello puerili simplicitate verbis traditorum... se credebat. Wreszcie przytaczam II, 6, traditores eiusdem *castri* Pomoranos, oraz przysłówek *traditorie:* III, 20, qualiter prius Borivoy *expellendo* traditorie *deceperunt,* taliterque eum iterum *decepturi* traditorie receperunt; por. II, 4, nos se *patriam* Bohemicis vel alienis nationibus tradidisse. Godzi się też zauważyć, że pod względem użycia »traditio« w znaczeniu zdrady zgadza się Gallus z pisarzami starożytnymi i z średniowiecznymi kronikarzami, którzy tego rodzaju szkodliwe, wrogie wydanie określają szczegółowo przez wymienienie osoby lub rzeczy wydawanej, albo przez inne znamienne dodatki. Nieprzyjaciele Grzegorza na synodzie w Briksen r. 1080 pozbawiają go tronu papieskiego: velut *regni* traditorem (T. Wojciechowski, j. w. str. 281). W Kronice węg.-polskiej czytamy ciekawe zestawienie przeciwieństw: plus canes quam homines, plus iniquitatem quam iustitiam, plus *traditionem* quam *concordiam* (MPH. I, 502, 3). A jak w piśmiennictwie chrześcijańskiem przedewszystkiem i najczęściej do Judasza[5] odnosi się termin »traditor« (np. Sedulius, Pasch. op. 5, 2, traditor *execran-*

5. Stwierdził to prof. O. Hey w Monachium na podstawie materjału kartkowego z całej łacińskiej literatury starożytnej, jaki zebrano do Thesaurus l. latinae.

de; 5, 3, *venalis* ac *perfide,* tune traditor, *latro, fere proditor),* tak też mianują go np. Nadania Bolesławów (MPH. I, 520, 6): cum *Juda* traditore. Prócz wymienienia samego nazwiska mamy do czynienia z jakimś wiele mówiącym epitetem: Augustinus, civ. Dei I, 17, Nam si *Judae* factum merito detestamur eumque veritas iudicat... *sceleratae* illius *traditionis* auxisse potius quam expiasse commissum (przez powieszenie się). Sedulius, Pasch. oper V, 3 p. 276, 17 H.: mellaque venenis adiungis et *saeva* Domino *traditione* blandiris?

Niema zatem u Galla mowy o rzeczywistej zdradzie. Pierwszą myślą, jaka mi przyszła przy czytaniu tekstu łacińskiego, niezależnie od ks. Fr. Buczysa [6] i senatora G. E. Saengera,[7] było to, że Gall nie mógłby kary za zdradę stanu nazwać haniebną zemstą,[8] bo zbrodnia przeciw państwu nie jest osobistą krzywdą króla. Natomiast zachodzi pytanie, czy król nie rozumiał przez »traditio« jakiegokolwiek ostrzejszego wystąpienia, czy sprzeciwienia [9] się ze strony biskupa, tak, że należałoby pojmować zdradę w znaczeniu mniej ścisłem, swobodniejszem? Takie użycie wyrazu byłoby oczywiście bardzo dowolnem, zupełnie subjektywnem. Sądzę więc, że Gall byłby skorzystał w takim razie z jednego ze słów, które się same przez się jasno tłumaczą, a używał ich gdzieindziej dosyć często: np. rebellis (= wogóle oporny: Cyprjan, ep. 43, 5 contra episcopos rebellarunt), perfidus, perfidia, contrarietas, periurus, seditio, albo też oczekiwalibyśmy zwrotu *quasi* pro traditione; pro traditione, *ut dicebat,* aby uwidocznić subjektywne zapatrywanie króla.

Lecz powie ktoś. Mimo tych wszystkich względów posądzam biskupa o występek polityczny, co więcej, odnalazłem rękopis z wyraźną lekcją: pro traditione *regni!* Bardzo dobrze. Należałoby jednak wyjaśnić, dlaczego autor wymienia tylko biskupa, kiedy do buntu należeć miał Władysław Herman, Wratysław

6. Ks. Fr. Buczys: »Św. Stanisław, biskup krakowski« (rozprawa dokt.), Kraków 1902, str. 105.

7. G. E. Saenger: »Uwagi do średniow. tekstów łacińskich« *(Żurn. minist. nar. ośw.,* Petersburg 1905, maj) str. 128.

4. »Vindicantem se turpiter«. Por. Gall II, 34 Boleslavus in dubio magno pependit, utrum prius de recenti contumelia se debeat continuo vindicare.

9. Por. A. W. w »Słowniku apolog.« III, str. 576; ks. Fr. Buczys, j. w. str. 108.

czeski, a popierał ich Henryk IV? Jeżeli Gall miał odwagę wymienić Władysława Hermana w następnym zaraz rozdziale, opisującym przyjęcie Bolesława przez Władysława węgierskiego, jeżeli tam według poprawki G. E. Saengera[10] *(de fratre* Wladislavo facto dolet inimico) wymieniony jest Władysław Herman jako nieprzyjaciel, to racjonalniej (a powiedzmy zarazem — i uczciwiej) było mówić o nim w tym właśnie ustępie, w którym figuruje i rzekomy zdrajca Stanisław. Zdaje mi się, że to zewnętrzne, formalne wyodrębnienie sprawy biskupa, oddzielenie jej od akcji konspiratorów ma głębsze uzasadnienie wewnętrzne: widocznie chciał Gall zaznaczyć, że biskup nie brał udziału w zmowie przeciwników politycznych, uważał jednak okrutny los arcypasterza za moment rozstrzygający w walce materjalnej, skierowanej przeciw królowi, i dlatego wysunął sprawę biskupa na pierwszy plan. Sam Gall zgóry uprzedza czytelnika, że nie będzie mówił w jaki sposób, wśród jakich okoliczności wygnano króla (qualiter... sit eiectus), bo to wymagałoby długiego wywodu (longum existit (=est) enarrare). Po takiem zastrzeżeniu zupełnie naturalnem jest oświadczenie: podam tylko rzecz najważniejszą, którą uważam jako za »summa rei«, za właściwe źródło złego, tej rzeczy nie wolno mi pominąć, o niej muszę tu wspomnieć (hoc dicere licet).[11] Tej samej zasady koncentracji, ograniczania się do najistotniejszych faktów, trzyma się autor i gdzieindziej: II, 16, (pod koniec) *Qualiter* autem hoc contigerit vel *qualiter* de exilio redierit, *prolixum* (= longum) et taediosum *est edocere, sed hoc dixisse sufficiat,* quia postea non sibi licuit ullum dominium exercere; III, 18, *Quamdiu* ibi steterit vel *quantam* per terram incendia vel praedas fecerit, *non est opus per singula scriptitando demorari, sed summam rei* nobis... *sufficiat* explanari. Wynikałoby stąd, że lakoniczność relacji Galla o tragedji r. 1079 nie jest wymuszona jakimś naciskiem lub ubocznemi względami. Tłumaczenie, przyjęte przez profesora T.

---

10. Por. j. w. str. 126.

11. Takie znaczenie słowa »licet« nie jest obce jęz. łacińskiemu. Prócz znanych zwrotów Cycerona (licet mirari, cernere) por. np. Propertius, II, 17, 15 nunc licet (muszę, trzeba) in triviis sicca requiescere luna; II, 9, 51 mihi si media liceat pugnare puella. Petr. Lombard., *Comment. in Psalmos,* str. 658 M.: Unde colligere licet (= colligendum) exemplaria variare.

Wojciechowskiego (str. 252): »tyle jednak u j d z i e powiedzieć« nie przedstawiałoby żadnej trudności tylko wtedy, gdyby Gall był powiedział nie »longum«, ale »*periculosum* existit enarrare«.

Wspomniany wyżej senator G. E. Saenger poświęca tej kwestji ciekawe studjum, odrzuca myśl o politycznych intrygach biskupa, czyta jednak: pro traditione *moechorum* (j. w., str. 128), domyślając się, że król wywarł zemstę na biskupie, którego oszczercy posądzali o zakazane stosunki z królową. Co o tej kombinacji należy sądzić, wskazują uwagi prof. A. Brücknera w *Kwartalniku historycznym*, 1906, str. 532 n.

Na inną drogę prowadzi nas objaśnienie ks. F. Namysłowskiego. Przez *traditio* rozumie on t. zw. klątwę, przekazanie króla »w administrację szatana«, przytaczając na poparcie tego tłumaczenia miejsca z Pisma św. (I Cor. 5, 5 i I Tim. 1, 20), oraz kilka przykładów z XI i XII wieku (j. w., str. 68—70 i 104). Sam czcigodny autor wyznaje, że »tego rodzaju przekaz ukrywający się pod wyrazem »traditio-traditor« b a r d z o j e s t r z a d k i w piśmiennictwie historyczno-kościelnem« (str. 68), wszędzie jednak, na co kładę główny nacisk, spotykamy w y r a ź n y dodatek *satanae:* i t a k i e g o u z u p e ł n i e n i a k o n i e c z n i e w y m a g a l i b y ś m y u G a l l a.[12] Do wymienionych przez autora miejsc dołączam kilka charakterystycznych: Eugippius, Vita S. Severini 36, 2 Cum beatus Ambrosius... servum Stiliconis, auctorem falsarum epistolarum deprehensum, dixerit oportere *tradi satanae*, ne talia in posterum auderet admittere sqq.; Joannes Sarisb., epist. 289 (Migne str. 330): eis, qui meritis exigentibus *Satanae traditi sunt, indulget communionem fidelium.* Joann. Cornub. (Patrol. 199, 1044): tradendos esse Satanae; Petrus Lomb. (Patr. 191, 1571—2).

---

12. Klątwę mogłyby oznaczać także słowa: pro traditione *maledictorum;* »tradere maledicta« = maledicere. Dr. Antoni Prochaska *(Przegląd Powszechny* 1909, str. 200) pisze: ...»ów wyraz *traditor* nie może mieć u Galla znaczenia zdrajcy stanu, lecz s p r a w c y o d p a d n i ę c i a k r a j u od króla n a s k u t e k k l ą t w y b i s k u p i e j. Tę tu miał Gallus na myśli«. Rzecz jasna, że wyraz traditor tego wszystkiego, cośmy podali rozstrzelonym drukiem, obejmować sam przez się nie może. Zgodziłbym się tylko na znaczenie »rzucający klątwę«, gdyby szanowny autor wskazał mi drugi niewątpliwy przykład takiego użycia słowa tradere bez żadnego bliższego określenia.

Jak rozpowszechnione jest słowo »anathematizo« w literaturze chrześcijańskiej, zwłaszcza od czasów polemiki z Arjanami, świadczy zestawienie u A. Funcka (Archiv. für lat. Lexik., III, 425). W literaturze kościelnej prawo obywatelstwa zyskuje sobie także *excommunicatio*. O »wyobcowaniu« szwaczki Pauli za agitację przeciw biskupowi czytamy u św. Cyprjana, epist. 42 *Abstinuimus a communicatione...* Paulam sarcinatricem; dlatego to w tem znaczeniu występuje również samo *abstentus:* np. Cyprjan, de domin. orat. 18; epist. 41, 2 i t. d.

W średniowiecznych kronikach i pismach urzędowych na określenie wyklęcia służą dwa techniczne terminy: *excommunicatio* i *anathema*. Gallus I, 19 Gaudentius, sancti Adalberti frater... dicitur eam (terram) anathemate percussisse. Nadania Bolesławów (MPH. I, 520, 6) sit anathema Maranatha. Kadłubek i Długosz: tandem anathematis gladium intentat; regem ipsum anathematisat (obok »denuntiavit excommunicatum«, Długosz, str. 366, wyd. krak.). Thietmar (MPH. I, 250, 6) terribili excommunicatione damnavit; Kronika węg.-polska (j. w. 504, 1) excommunicationi et indignationi sanctorum apostolorum Petri et Pauli subdimus eos. W krótkiej bulli papieża Eugeniusza III z r. 1146 powtarza się kilka razy: ipsum excommunicationis vinculo innodavit; eum ab eadem excommunicatione absolvatis; causam excommunicationis; causa, pro qua excommunicatus est (MPH. II, 9). Por. list Henryka do Eugenjusza III r. 1147: per sententiam excommunicationis; Petrus Lombardus (Migne tom 191, 1572): de privatione ecclesiasticae communionis. W stylu kancelaryjnym przez »anathema« lub »excommunicare« oznacza się t. zw. poena spiritualis. By nie gromadzić za dużo przykładów, podam kilka formułek z dyplomów francuskich, redagowanych za czasów Galla, ogłoszonych w zbiorze pism Hildeberta (Patrol. lat. tom 171): str. 322 (rok 1106) anathemati subiectus maledictionem Dei incurrat; str. 319 (r. 1120) vinculo anathematis innodantes; str. 315 (r. 1120) interdicens sub anathemate; str. 320 (bez daty) sub anathematis vinculo pontificali auctoritate constrinxi. W dyplomie z r. 1125 (str. 317) tę samą myśl wyrażono przez opisanie: canonicae ultioni subiaceat et a sacratissimo corpore et sanguine Domini nostri Jesu Christi aliena fiat (persona).

Ale już czas na przedstawienie rzeczy z innego punktu widzenia.

Słowo *tradere* tak samo, jak greckie παραδιδόναι, może odnosić się do przekazywania czegoś zapomocą żywego słowa, a więc przez nauczanie lub dawanie wogóle jakichś przepisów i poleceń,[13] pojawia się też jako równoznaczne z *docere, instituere* w całej literaturze rzymskiej począwszy od epoki klasycznej, używa szczególniejszego przywileju w języku Pisma św. i autorów chrześcijańskich, potem drogą dziedzictwa przechodzi do terminologji szkół średniowiecznych, nie mówiąc o dalszych jego kolejach. Treść nauki bywa albo formalnie uwydatniana, albo też pomijana. Por. Mnich Priefling. II, 4 (MPH. II, 131) Quibus servandae fidei *regulam* tradens; Petrus Lombardus, tom 191, 1524 *veritatem* integre tradere; Ioannes Sarisber., Metalog. I, 13 tradit ergo *prima elementa* sermonis ars ista; I, 20 Seneca se *artem* comparandae memoriae traditurum facillime pollicetur. Paralelnie biegną zwroty bez określenia przedmiotu: Św. Paweł, I Cor. 11, 2 *sicut* traditi (= praecepi) vobis, praecepta mea tenetis; Ioann. Sarisber., Metalog. I, 11 Horum autem tria sunt genera, *sicut* Carnotensis senex Bernardus... suis *auditoribus* tradere consuevit; Petrus Lombardus, tom 191, 1629 quasi noviter tradit illis dicens (= monet, praecipit dicens). Przypominam też bardzo dawny przepis: »Cavete ne catecumenorum quisquam quae vobis tradita sunt exaudiat«. Ioann. Cornub. (Patr. 199, 1045): tradunt=docent; tamże 1084 accepi (= didici) vel tradidi (= docui). Nic dziwnego, że już u Kwintyljana spotykamy absolutnie użyte *tradens* w znaczeniu: nauczyciel (III, 6, 59 si qua est in iis culpa tradentis). Dzięki uprzejmości prof. O. Heya i K. Weymana mogę z pisarzów kościelnych przytoczyć dwa przykłady, w których *traditor* = nauczyciel. 1) Opus imperf. in Matthaeum (Ps. — Chrysost.) homil. II (Migne, Patrol. gr. 56 col. 639): ex hoc (mowa o przyzwaniu uczonych w Piśmie przez Heroda) apparet maxime, quia diabolus turbabatur in Herode, quoniam *traditores* legis interrogat: 2) Origen. in Matth. 63 (Migne, Patr. gr. 13, 1700): (o mądrych dziewicach) vasa animarum suarum ab hoc verbo (t. j. doctrinae) impletes a *doctoribus* et *traditoribus*, qui illud venundant sq.[14]

13. Por. św. Cyprjan, epist. 13, 4 *mandatorum*, quae *nobis* vel *per se* vel per apostolos suos tradidit; Hildebert, Vita b. Mar. Aegypt. x (str. 1337 Migne): *Affatu* tali tradens *mandata sodali* (= str. 1340).

14. Ks. Fr. Namysłowski (j. w. str. 60) przytacza z X wieku glossę

Wiadomo, że gr. *παράδοσις* (= traditio) w popularnym języku Epikteta oznacza naukę ustnie podawaną, t. j. *διδασκαλία*. Por. Dissert. II, 23, 40 *ἐπεὶ διὰ λόγου καὶ τοιαύτης παραδόσεως ἐλθεῖν ἐπὶ τὸ τέλειον δεῖ*. Podobnie występuje »traditio« (z dod. *praeceptorum*) u Kwintyljana. Ioan. Sarisb., Polycr. str. 387 M.: ut in *traditionibus* suis se ipsos... linguis obiciant detractorum (o naukach filozofów); tamże 409: secundum *traditionem* eorum (sc. Phrygum) »podług wykładu«. W łacinie biblijnej, naśladowanej przez pisarzy chrześcijańskich, przez *traditio (traditiones)* rozumie się w pierwszym rzędzie naukę Chrystusa i Apostołów, względnie różne przepisy i polecenia, prócz tego ustanowienia lub rozporządzenia płynące z innego także źródła, często też czytamy obok traditio jego synonim, np. *mandatum, institutio, dispositio*. Por. II, Thes. 2, 14 state et tenete traditiones, quas didicistis, sive *per sermonem*, sive per epistolam nostram; tamże 3, 6 non secundum traditionem, quam acceperunt a nobis. Cyprjan, epist. 55, 24 ille post Dei traditionem... humanam conetur ecclesiam facere; epist. 63, 1 (episcopos) evangelicae veritatis ac *dominicae traditionis* tenere rationem nec ab eo quod *Christus magister* et *praecepit* et gessit humana et novella institutione decedere, tenże epist. 43, 3. 55, 28. Victor Vitensis 2, 101 fides nostra evangelicis et apostolicis traditionibus... fundata. Cyprjan, epist. 43, 6 qui *mandatum* Dei reiciunt et *traditionem* suam statuere conantur; epist. 45, 1 divinae *traditionis* et ecclesiasticae *institutionis* sanctitas; epist. 74, 3 humanam *traditionem* divinae *dispositioni* anteponere; ep. 59, 5 qui (episcopi) contra dispositionem et traditionem evangelii fiunt. Ostatni przykład dlatego także jest ważny, bo dwa rękopisy z IX wieku opuściły »et traditionem«, na co prócz prostej pomyłki mogła wpłynąć i ta okoliczność, że kopiści uważali »traditionem« za zbyteczne po równoznacznem »dispositio«. Jakoż można wskazać szereg miejsc, gdzie semazjologiczną funkcję naszego traditio spełnia np. *exhortatio, magisterium, praeceptum:* Cyprjan, epist. 58, 7 ut non evangelicis exhortationibus et praeceptis ac monitis caelestibus ad omnia inveniatur armatus; epist. 67, 4 quod postea secundum divina magisteria (= nauki, rady), obser-

traditor, objaśniającą niem. fersêlâre (Verse-Lehrer). Przypuszczam, że w literaturze kościelnej znajdzie się jeszcze więcej dowodów na tego rodzaju użycie wyrazu traditor.

vatur in actis apostolorum; ep. 73, 20 per omnia evangelica et apostolica praecepta rationem divinae dispositionis... ostendere.

Poprzestaję na tych przykładach, bo w późniejszej literaturze chrześcijańskiej powtarzają się przeważnie te kategorje semazjologiczne, jakie ostatecznie w ślad za tłumaczami Pisma św. i za Tertuljanem ustalił jeden z twórców języka kościelnego — św. Cyprjan. Jak silna była zachowawczość tej dykcji, wskaże porównanie kilku analogicznych wyrażeń Piotra Lombarda i hagjografów Ebbona oraz Herborda. Pierwszy z nich naśladuje dawny zwyczaj w Zbiorze objaśnień do listów św. Pawła (z r. 1140), Ebbo zakonnik i Herbord scholastyk w żywotach św. Ottona. Ten właśnie charakter pism i ich autorów tłumaczy nam przejęcie typowych zwrotów chrześcijańskiego początku: Por. *Petrus Lomb.* (tom 191, 1629): succenset eis Apostolus, quia... immemores erant *traditionum* eius; 1636 non eius (św. Pawła) *traditionem* servabant; 1639 non ex *auctoritate traditionis,* quam neglexerant, suadet veritatem (por. tamże: *auctoritate praecepti* utitur apostolus); 1529 compositis verbis suam *traditionem* (= doctrinam) commendabant (pseudo-apostoli); 1560 qui secundum *traditionem* (= disciplinam) Salvatoris evangelizat. *Ebbo* 3, 13 (MPH. II, 64, 32) ad conservandam rectae *fidei traditionem* cohortabatur (por. Gall I, 4 nec culturam veri Dei nec *doctrinam fidei* cognoscebat); Herbord (MPH. II, 92, 23) evangelicis *traditionibus* se submiserunt.

Rozważywszy to wszystko, wyobrażam sobie, że najmniej wątpliwości, czy trudności językowych przedstawia pojmowanie »traditio« jako nauki, w znaczeniu co dopiero określonem (= admonitio, monitus), »traditor« jako n a u c z y c i e l a. Miejmy na uwadze, że mówi tu osoba duchowna o biskupie, bardzo więc stosownie nazywa jego arcypasterskie upomnienie tym wyrazem, jakiego używano od dawna o nauce, o poleceniach Chrystusa i Apostołów. Gall podnosiłby tu zatem ten sam moment, co Kadłubek i Długosz: strofowanie króla.[15]

15. Gdyby chodziło o domysły, możnaby czytać: pro *contradictione* (contradictorem): z powodu *Veto.* Por. MPH. II, 44, 14, nos omni remota contradictione monitis tuis obtemperare parati sumus; 133, 16 verbum Domini praedicabat et cum multa contradictio fieret i t. d. Zmiana da się paleograficznie bardzo łatwo wytłumaczyć, jeśli się uwzględni, że *con* skracano przez c z kreską poziomą u góry, albo przez odwrócone c lub znak podobny do arabskiej dziewiątki. Kopista mógł takie c (zbliżone do o) łatwo opuścić po poprzedniem *pro.* Możnaby dalej po

Jakkolwiek notatka Galla o roku 1079 jest bardzo zwięzła, nie brak w niej wyjaśnienia, za co św. Stanisław karcił Bolesława Śmiałego. Król mianowicie, który był przecież chrześcijaninem, postępowaniem swojem wobec poddanych chrześcijan pogwałcił zasadę sprawiedliwości chrześcijańskiej. Taką myśl zawierają słowa kroniki według rękopisu warszawskiego (non debuit christianus in christianos... vindicare). Prof. T. Wojciechowski przyjmuje lekcję rękopisu Sędziwoja (in christianum), sądzi, że »christianus« oznacza tutaj pomazańca, i tłumaczy odpowiednio: »nie godziło się pomazańcowi karać pomazańca cieleśnie za jakibądź grzech«, to jest za grzech choćby największy.[16] Najwyraźniej więc czyn biskupa byłby napiętnowany jako grzeszny, występny! Na czem opiera się powyższe tłumaczenie wyrazu christianus? »U Du Cange'a (pisze prof. T. W. j. w. str. 253) nie znajduję takiego wykładu, ale jest inny, bardzo bliski: christiani interdum, qui *clericatum* aut *ordines ecclesiasticos* susceperunt, nude dicuntur. Otóż wiadomo, że pomazanie przy koronacji było także ordo, i dawało królowi godność osoby duchownej«. Atoli terminologja i praktyka Kościoła nie dopuszcza takiego wnioskowania, nie uznaje bynajmniej »króla pomazańca« za osobę duchowną we

»traditione« uzupełnić dla większej dobitności »morum« lub »praeceptorum«. Jeżeli na te konjektury nie kładę żadnej wagi, czynię to dlatego, bo mi zależało przedewszystkiem na interpretowaniu takiego tekstu, jaki nam rękopisy przekazują. Nie mogę jednak powstrzymać się od jednej uwagi: czy pod »traditio (traditor)« nie kryje się pierwotne *traductio (traductor)*? W Piśmie św. i u pisarzy kościelnych oznacza »traductio«: strofowanie, krytykę, karcenie, a nieraz naganę publiczną, do czego dołącza się odcień: wydawania kogoś na publiczną wzgardę (= diffamare). Por. 4 Esd. 16, 65—66 Dominus... traducet vos omnes; et vos confusi eritis, cum processerint peccata vestra coram hominibus; Tertull. Marc. IV, 35 non odies fratrem tuum in animo tuo; traductione traduces *(ἐλεγμῷ ἐλέγξεις)* proximum tuum (= Levit. 19, 17). Wulgata przekłada: *publice argue*. W niektórych przekładach przedhieronimowych zamiast oczekiwanego *traductio* czytamy *traditio:* np. Numeri (cod. Ashburnh.) 5, 18 in manu autem sacerdotis erit *aqua traditionis* (czytać należy *traductios* = *gr.τό ὕδωρ τοῦ ἐλεγμοῦ*). Por. H. Rönsch, Itala und Vulgata, str. 326, 383; tenże: Semasiol. Beiträge zum lat. Wörterb. I, 72. III, 82, i Collectanea philologa, str. 13; 100. Nadto Ph. Thielmann w Arch. für lat. Lexik. VIII, 252.

16. Gall III, 25: *quodlibet* facinus perpetrare, quo mortis periculum evitaret; I, 9: nec diem a rege constitutum qualibet occasione praeteribat.

właściwem tego słowa znaczeniu. Wystarczy przytoczyć świadectwo Piotra Lombarda (Patr. lat. 1902, 1901), zawarte w ustępie »De ordinibus ecclesiasticis«, wyliczającym te osoby, które mogły spełniać »ministerium spirituale«: § 1. Septem sunt spiritualium officiorum gradus sive ordines; § 2. In sacramento ergo septiformis Spiritus septem sunt gradus (= ordines) ecclesiastici, scilitet: ostarii, lectores, exorcistae, acolyti, diaconi, subdiaconi, sacerdotes; omnes tamen clerici vocantur, id est sortiti«. To też G. E. Saenger (j. w. str. 126) dla usunięcia trudności semazjologicznej zmienia »christianus« na »christus[17] (= unctus) Domini« (non debuit christus Domini in christo Domini sq.), nie przywiązując większej wagi do innej konjektury, jaka mu najpierw przyszła na myśl (chrismarius in chrismario).[18] Zważywszy jednak, że dla tak zwanych »nomina sacra« ustaliły się w rękopisach pewne, powszechnie znane, niemal stereotypowe skrócenia,[19] i przez to odczytywanie ich było bardzo łatwe, wydaje mi się nieprawdopodobnem, aby pierwotne christus dn̄i (= Domini) przeobraziło się w oczach kopistów na christianus. Nie zapominajmy też o tem, że takie właśnie połączenie liczby pojedynczej dwu tych samych rzeczowników, jak »christianus in christianum (christus Domini in chr. D.)« można uważać za wyraz stosunku wzajemności i niezgodnie z wyraźną intencją Galla tłumaczyć: chrześcijanin chrześcijaninowi nie powinien był wymierzać n a w z a j e m takiej a takiej kary! Por. MPH. II, 89, 17. Apud christianos (mówią poganie) fures sunt et omnia genera scelerum et poenarum *christianus* exercet *in christianum*. Najwięcej jednak uderza mię w interpretacji prof. T. Wojciechowskiego tłumaczenie zdania »illud enim multum sibi (= ei) nocuit« (= To b o w i e m zaszkodziło mu wielce), czyli pojmowanie *enim* jako spójnika u z a s a d n i a j ą c e g o. Przez to wypacza się myśl, jaką chciał wyrazić kronikarz. Gall stawia zasadę, że król chrześcijański nie powinien był wogóle (non debuit) popełniać pewnych czynów, bez względu na skutki, jakie one za sobą pociągną: niewątpliwie więc w tym wypadku byłby Bolesław źle

17. Por. Długosz, str. 371, wyd. krak.

18. Co do konstrukcji: »peccatum in christianos vindicare« por. Iustinus; 37, 3, 8, Mithridates facinus in auctores vindicavit.

19. Por. L. Traube, Nomina sacra (Monachium 1907), str. 170, passim.

postąpił, chociażby krok jego nie przyniósł mu żadnej materjalnej szkody. Z tego powodu sądzimy, że wskazanem jest inne objaśnienie: *enim* ma tu znaczenie partykuły autem, *dé*, dodaje więc do poprzedniego zdania nowy moment, wskazuje, że prócz wspomnianego już przewinienia (non debuit... vindicare) obciąża króla nowy występek. Takie użycie enim właściwe jest później łacinie począwszy od II wieku po Chr.,[20] a u Galla pojawia się częściej np. I, 29: Illum enim puerum rex Ungarorum W. m. p. nutriebat (dla odmiany po »habuit autem«, jak I. 27: po »qualiter autem«); II. 17 Erat enim castrum novum ita altum (por. Kadłubek str. 317, 13 Est autem oppidum Cozli); II. 47: Erat enim iste Gnevomir; por. I, 2 Erant enim hospitii domestici sq.

Wymienione co dopiero względy skłaniają nas do oddania pierwszeństwa lekcji *christianus in christianos*. Pod wpływem następnego wyrazu »peccatum« mógł przepisujący przez pomyłkę zamiast liczby mnogiej położyć pojedynczą, albo też — i to uważam za racjonalniejsze objaśnienie — z powodu wzmianki o śmierci biskupa, a więc jednego chrześcijanina,[21] przemieniono christianos na christianum, nie zastanawiając się dokładniej nad związkiem całego zdania.

---

20. Pierwsze przykłady występują w łacińskich tłumaczeniach Pisma św., uskutecznionych w drugiej połowie II wieku (Archiv. f. lat. Lexik. VIII, 265 i 506). Z innych autorów por. np. Victor Vitensis, Hist. persec. Afric. prov. I, 40 Proculus... frustatim sibi comedens linguam in brevi turpissima consumptus est morte. Tunc enim sanctus Ualerianus... foris... iussus est pelli. Podobnej zmianie funkcji uległo »nam«. Por. K. Sittl: Die lokalen Verschiedenheiten d. latein. Sprache (Erlagen 1882), str. 139. Pan A. W. (Słown. apolog. III, 566) przekłada trafnie: »tem zaś wielce sobie zaszkodził«.

21. Takim samym argumentem posługuje się prof. T. W., by bronić lekcji »in christianum«. Przekład swój: »więc do grzechu dodał grzech« rozumiał autor »Szkiców« z pewnością w ten sposób, że król do grzechu biskupa dodał własny grzech, to znaczy na grzech biskupa użył jako środka także grzechu; nie ma więc powodu mówić o nielogiczności tekstu, jak to czyni Dr. A. Prochaska *(Przegl. Powsz.* 1909, str. 197). Jak w zakresie medycyny mówiło się »medicamina vulneri, fomenta corpori adhibere«, tak w zastosowaniu do chorób duszy pisze Cicero: remedia morbis animorum adhibere — a np. św. Hieronim (epist. 125, 14): vitium vitio peccatumque peccato medicantur (por. także G. E. Saenger, j. w. str. 127). To byłaby przenośnia. W zwykłem, naturalnem użyciu znaczy

Występek króla wobec jego własnych poddanych chrześcijan określono tu bardzo ogólnikowo wyrazami *corporaliter vindicare*. Co znaczą te słowa? Z przykładów, zebranych w najobszerniejszym słowniku łacińskim (Thesaurus I. latinae s. v. corporalis, corporaliter), należy wnosić, że przez corporaliter vindicare nie rozumiano żadnych tortur (cruciatus). Kara, jaką zakonnikom przepisywał św. Benedykt (Reg. 23 vindictae corporali subdatur, tamże 71 corporali vindictae subiaceat), to tylko chłosta (= verbera 2 i 30; plagae virgarum 28), której nie szczędzono i siostrom zakonnym (Hildebert str. 904: Melius est enim vobis *flagellari* in praesenti manu abbatissae praesidentis, quam damnari in futuro voce Dei iudicantis). W liście Grzegorza W. (epist. 3, 37, (38 u Migne'a) obostrzenie kary uwydatniono osobno przysłówkiem »destrictissime« (= severissime, gravissime): d. ac corporaliter in eundem sceleratum festinet vindicare Iudaeum (seductorem). Synonimem wyrażenia corporaliter vindicare jest zwrot »corporaliter castigare« (Grzegorz W., epist. 3, 40 (41): corporaliter castigatum in monasterium eum privatum communione, ubi poenitentiam peragat, tradere festinabis). A zatem w zastosowaniu do biskupa, który przecież został zamordowany, byłoby takie określenie kary niedokładnem, spodziewalibyśmy się wyrażenia: non debuit corporaliter, nedum ense (morte) vindicare; w odniesieniu zaś do poddanych chrześcijan byłoby niewłaściwem, bo Gallus nie mógł potępiać lekkich kar cielesnych w świecie chrześcijańskim. Bardzo podobnem do zakwestjonowanych słów Galla jest zdanie Piotra Lombarda (191, 1637): »Omnes enim inimici Ecclesiae... prosunt, quia si accipiunt potestatem *corporaliter affligendi*, exercent eius patientiam«. Kiedy mowa o nieprzyjaciołach Kościoła, wystawiających wiernych na próbę, zwrot corporaliter affligere oznacza wprawdzie jakieś katusze i pastwienie się nad ludźmi, ale pojęcie takie oddane jest słowem affligere graviter, supplicio vindicare. Nie chcąc tedy przypisywać zwrotowi Galla znaczenia niezwykłego i wyjątkowego, zamiast »corporaliter vindicare«, czytam:

»peccato peccatum adhibere« to samo, co »p. p. addere«, jak to niżej objaśnimy. Chciałbym też podkreślić, że oba wspomniane znaczenia słowa »adhibere« dają dobrą myśl w odniesieniu do lekcji christianos: a) dodał do dawnego własnego grzechu nowy grzech; b) zamiast pokutą, leczył własny grzech grzechem, wypędzał szatana belzebubem.

corporali *vi* vindicare, przez co uwydatni się rodzaj gwałtownej, nienaturalnej kary, wymierzanej przez Bolesława poddanym chrześcijanom (por. Kadłubek str. 296, 7—8). Por. Sallustius, Iug. 31, 18 *vindicandum* in eos... non manu (= nen ense) neque *vi*... verum quaestionibus). Ulpian, dig. 43, 16, 1, 29 vim sine *corporali vi* locum non habere.

Drugą winą króla był brak upamiętania, dodanie do owej immanitas nowego, okropnego grzechu, targnięcia się na życie św. Stanisława: *peccato peccatum adhibuit*. Że adhibere w znaczeniu addere nie jest niczem niezwykłem, nie potrzebuję udowadniać. Na wzór Cycerona sam Gall łączy adhibere z biernikiem pojęcia oderwanego, I. 4: Deus omnipotens visum prius Meschoni corporalem restituit et postea spiritalem adhibuit (= addidit; G. E. Saenger j. w. str. 127 niepotrzebnie zmienia adhibuit na adtribuit). Por. Marbodi Vita S. Roberti (Patrol. 171, 1514): cum suis adderet (inna lekcja: adhiberet) quisque virtutibus, quidquid in altero vidisset imitabile. Za przykładem Pisma św. lubują się Ojcowie Kościoła w podobnej parataksie rzeczownika peccatum: Ambrosius, epist. 51, 12 Noli peccato tuo aliud peccatum addere; Hieron. II, Os. 8, 11 peccatis peccata coniungere; Salvian., gub. Dei VI, 9, 46 malis mala addimus et peccatis peccata cumulamus; podobnie »peccata peccatis congeminare, adicere, superponere« i t. d. Por. G. Landgraf w Archiv. f. lat. Lex. V, 181. Wreszcie bardzo znamienna jest analogja wyrażenia Grzegorza VII w liście okólnym do biskupów, pisanym w r. 1076: vulnerique pro medicina vulnus adhibere (u X. F. Namysłowskiego, j. w. str. 117).

Autor Szkiców (str. 308—9) twierdzi z całą stanowczością, że zwrotu Galla »pontificem *truncationi* membrorum *adhibuit*« nie można rozumieć inaczej »jak tylko, że był wyrok, t. j. skazanie i egzekucja«, że »orzeczenie adhibuit wyklucza absolutnie własnoręczny udział Bolesława«. Dlaczego? Przedewszystkiem wyrażenie »adhibere aliquem truncationi« jest zupełnie odosobnionem, wyjątkowem. Jeżeli jednak ma oznaczać wydanie na śmierć, to wolno zwrócić uwagę, że bardzo często pisarze łacińscy używają takich zwrotów, jak »ad mortem dare, morti dare aliquem, dedere morti, mittere (admovere) leto, tradere in letum« i t. p. w znaczeniu zwykłego interficere, occidere bez żadnej ubo-

cznej myśli o zasądzeniu lub wysłaniu na miejsce stracenia.[22] Horatius, Sat. II, 3, 197 Mille *ovium* insanus (Aiax) *morti dedit,* inclitum *Ulixen* - Et *Menelaum* una mecum se *occidere* clamans. Znana stara formułka pogrzebowa: »Ollus Quiris *leto datus*« mówi to samo, co: »Ille Quiris mortuus est«. Tak samo miejsce prostego sepelire zajmuje opisanie »tradere sepulturae«: np. Iustinus, XII, 2, 15; III, 5, 11. Thietmar, MPH. 1, 300, 27 ab Everhardo antistite traditur sepulturae; Ioann. Sarisb. epist. 304, str. 358 M. Zresztą zauważono już dawniej (Słow. apol. III, 566), że razi w tekście Galla dwukrotne użycie orzeczenia adhibuit. Toż G. E. Saenger (str. 127) mniema, że Gall napisał: t. m. *adtribuit.* Przez to nie usuwa się trudności, bo adtribuere w tem połączeniu również jest niezwykłe. Poprawnie powiedzielibyśmy »truncationem militibus adtribuit« lub »pontificem militibus truncandum adtribuit«. Por. Cicero, Catil. 4, 13 attribuit nos trucidandos Cethego; tenże Sest. 66 cuius negotii publici cogitari... curatio potuit, quae non esset attributa. Mojem zdaniem pozostają dwa sposoby objaśnienia wcale naturalne. Gall mógł napisać: pontificem *truncatione* membrorum adhibuit,[23] naśladując Cycerona: Verr. 6, 70 imperat... ut is (vir) victu ceterisque rebus quam liberalissime commodissimeque adhiberetur. To samo pojęcie uwydatniłoby samo *habuit* (truncatione h.) tem bardziej, że Sallustius, którego pisma Gall pilnie czytał, używa podobnie słowa habere: Iug. 64, 5 milites... laxiore imperio quam antea habere; 92, 2 milites modesto imperio habiti. Aby jednak datiwu truncationi nie naruszać, czytam: *truncationi habuit,*[24] to znaczy »truncavit« na wzór zwrotów Gelliusa, w których również zamiast samego słowa występuje habere w połą-

---

22. Stan rzeczy zmienia się oczywiście przez dodanie datiwu lub innego określenia: Caesar, b. civ. I, 76, 1 neu Pompeium *adversariis* ad supplicium tradant. Gall I, 13 morti deditos de manibus lictorum eripuit. Por. Ph. Thielmann: Das Verbum dare im Lateinischen, Lipsk 1828, str. 120—124.

23. Dosłownie: przyjął, potraktował go. W takim razie zamiast »peccato peccatum adhibuit« czytalibyśmy np. p. p. applicuit.

24. Dwa człony kończą się wyrazem złożonym i niezłożonym (peccatum *adhibuit:* truncationi *habuit)* tak samo, jak u tegoż Galla I, 28: gaudet et *amico:* dolet *inimico;* II, 42: *communita: munita.* Co do kadencji rytmicznej zgadza się *hábuit* nie z orzeczeniem środkowego członu

czeniu z datiwem rzeczownika słownego: N. A. 4, 12, 1 sive quis arborem suam vineamque *habuerat derelictui* (= dereliquerat, zaniedbał); tamże 20, 1, 40 clientem *divisui habuisse* (= divisisse).

Nieraz już stawiano sobie pytanie, jakie stanowisko zajął Gallus wobec sprawy św. Stanisława, jak mianowicie pojmować zdanie jego: Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus. Uważam tę kwestję za zbyt ważną, aby ją pominąć; należyte wyjaśnienie rzuci światło także na wartość Galla jako człowieka. Za punkt wyjścia niech nam posłuży sąd jego o oślepieniu Zbigniewa przez Bolesława Krzywoustego: III, 25 Quid ergo? *Accusamus* Zbignevum et *excusamus* Bolezlavum? *Nequaquam*. Opinja wyrażona negatywnie brzmiałaby: Neque excusamus Zbignevum, neque per omnia commendamus Bolezlavum. Zastrzeżenie, że nie całkiem pochwala Bolesława, wyjaśnia się dalszem oświadczeniem autora: Sed qui Bolezlavum in hoc, quod tale quid egerit, accusamus, in hoc tamen, quod digne poenituerit et satis humiliaverit, collaudamus. Jego zatem osobiste zapatrywanie jest takie: »Oskarżam Zbigniewa i Bolesława, ale Bolesława tylko do pewnego stopnia«. Gdyby więc opinja o św. Stanisławie i Bolesławie Śmiałym była wyrażona tylko temi słowami, któreśmy powyżej wypisali, nie byłoby trudno dostrzec, iż Gall obie strony gani, chociaż nie obie jednakowo. Ale cała rzecz zmienia się przez dodanie ważnego zdania: sed hoc in medio deseramus (= relinquamus). Takiego wyrażenia używa się zwykle wtedy, jeżeli pisarz n i e r o z s t r z y g a, pozostawia pewną kwestję otwartą. Np. Sallustius, Catil. 19, 4: *sunt qui* ita dicant, imperia eius iniusta... *alii autem*, equites illos... voluntate eius Pisonem aggressos sq. *Nos eam rem in medio relinquemus*. Widzimy, że Sallustius nie przechyla się na żadną stronę, ale też oba zapatrywania przytacza w formie twierdzącej; natomiast Gall dwie opinje podał najpierw w formie przeczącej, a potem dorzucił jeszcze »in medio deseramus«. Jest to wskazówka, że Gall pozbawił całą formułkę »in medio deserere« jej właściwego znaczenia, czyli (co na jedno wychodzi) nie miał zamiaru wyrażać wątpliwości, które z dwu przezeń przytoczonych

---

(adhibuit), lecz ze słowem zdania głównego *nócuit*. Podobny stosunek rytmiczny przedstawia zdanie Galla: I, epistola: »securus nauta poterit... *navigáre*, qui nauclerum habet peritum, qui scit... *gubernáre*«.

zapatrywań jest słuszniejsze. Zwrot »in medio deserere« znaczy tu tyle, co »relinquere, omittere« (por. II, 39 Sed, quid eundo... egerit, ommitamus; II, 43 Nunc autem Pruzos cum brutis animalibus relinquamus); było zaś to pełniejsze wyrażenie bardziej na rękę autorowi, bo mieściło w sobie wyraz akcentowany na trzeciej zgłosce od końca (médio), potrzebny dla rytmicznej eufonji (in médio dese-ramus: fuerit disse-ramus). Zresztą tam, gdzie autor chce zaznaczyć wahanie się pewnej osoby i niepewność, używa słów »in dubio pendere« (II, 34: Bolezlavus in dubio magno pependit, utrum... an; II, 2: in dubio enim pependit, utrum christianorum lues an paganorum ibi exstiterit). Otóż Gall — jak sądzę — mówi tylko tyle: »Są dwie opinje o biskupie i królu, jedni uniewinniają biskupa, drudzy bronią króla. Lecz my (neque enim = nos autem neque) nie zajmujemy się tutaj ani uniewinnianiem, ani obroną, to nie jest naszem zadaniem, nie wchodzi w zakres naszego tematu. Pomińmy tę kwestję i mówmy o innej materji«. W tym samym duchu wyraża się Gall gdzieindziej: II, 23 Nos autem de peccato tractare vel iustitia materiam non habemus, sed res gestas... recitamus; II, 33 Sed de miraculis sileamus nostramque materiam teneamus; III, epilog: Non est tempus quanta fecit enarrandi singula... Nos ad laudes, non ad fraudes damus hic munuscula. Nie można stąd wnosić, jakoby Gall rzeczywiście powstrzymywał się z wypowiedzeniem własnego zdania w sprawie św. Stanisława. Przecież widoczna to rzecz, jak surowo krytykuje króla i zaraz na początku potępia go za podeptanie prawa chrześcijańskiego. Dramat rozdzierający serce naszkicowano tu zaledwo kilku wyrazami, lecz biją one w duszę jak grom. Jeszcze w ostatnich słowach, na pozór przedmiotowych, obcy nam pisarz nie oszczędził królowi słusznego zarzutu haniebnej zemsty (vindicantem sic se turpiter).

Przechodząc do Władysława Hermana, o którym wspominaliśmy w pierwszej części uwag, chciałbym tutaj przedstawić rzecz, jak ją już dawniej objaśniałem. Władysław, król węgierski, przyjmując u siebie Bolesława, mimo wdzięczności i przyjaźni umocnionej węzłami pokrewieństwa, musiał przecież zdawać sobie sprawę z faktu, że szuka u niego schronienia król, zabójca biskupa, obłożony nadto klątwą Grzegorza VII. Jeżeli papież w piśmie z dnia 2 stycznia 1080 r. ostro przygania Wratysławowi, że obcuje z wyklętymi (Szkice str. 282), czyż mógł mieć zupełnie

spokojne sumienie św. Władysław, którego głębokiej pobożności złożył Gall wyraźny hołd (I. 27: affluentem pietate). Walka uczuć musiała się rozgrywać w jego duszy tem bardziej, że i sami jego poddani nie zachowywali się całkiem obojętnie wobec Bolesława. Czytamy u Galla (I. 28), że ludność wiejska na Węgrzech nie słuchała króla wygnańca, to jest odmawiała mu prostych usług. Najbliższe otoczenie Władysława miało powziąć nienawiść do Bolesława za to, że królowi ich chciał narzucić upokarzającą formę powitania (Gall I. 28), jak gdyby naprawdę to tylko miało być źródłem i przyczyną oburzenia. Przeciwnie, możemy wnioskować z Długosza, że dwór węgierski przyjmował Bolesława ozięble i z niechęcią, bo go raził gość »exul [25] et parricida«. Chciałbym więc szukać w zakwestjonowanem zdaniu: »sed... dolet inimico« (I, 28) jakiegoś echa owych skrupułów, nie tyle może wskazówki, co sądził Władysław o występku naszego króla, bo sąd jego w tej mierze nie mógł być chwiejnym, ile raczej zaznaczenia, jakie wrażenie wywarło na nim przybycie Bolesława do Węgier po takiej właśnie katastrofie.

Przedewszystkiem zdaje mi się, że słowu *deferre* nie można w tem miejscu przypisywać znaczenia »oddawać cześć«, bo dla uzyskania możliwego sensu musielibyśmy przeprowadzić większą zmianę tekstu łacińskiego,[26] a prócz tego uważam, że Władysław, oczekując Bolesława z wielką uniżonością i czcią, jak stwierdza prócz Galla Kadłubek, czynił to w swej skromności i dobroduszności (humilis et mansuetus) niewątpliwie dobrowolnie, gdyż do okazania takiej czołobitności nikt go nie zmuszał. Władysław uczuł się dotkniętym dopiero później przed samem spotkaniem, przekonawszy się o nieograniczonej bucie Bolesława, lecz mimo to wkrótce zapomniał o urazie. Przyczyną nieporozumienia była ta okoliczność, że Władysław zdaleka, zsiadłszy z konia, oczekiwał wygnańca z pokornem uszanowaniem, ten zaś, biorąc skromność za dowód poczucia równości, uniósł się pychą i oświadczył, że Władysława, którego wychował i osadził na tronie węgierskim, nie może witać jako równorzędnego władcy. Zachodzi

25. Długosz, str. 380, wyd. krak.: propterea quod exul esset et parricida, clandestina submurmuratione in suas interdum aures penetrante.

26. »Dolet deferre« nie mogłoby znaczyć: »żywi urazę, bo musi uczcić«.

więc pytanie, czy ze względu na ten charakterystyczny epizod nie dałoby się słów Galla w ten sposób ukształtować: »se effere (= efferri) vero facto dolet inimico«: (cieszy się, że wita brata i przyjaciela),[27] boleje jednak, że Bolesław rozzuchwala się wstrętnym czynem. Ten sam zarzut podnosi Kadłubek (297, 22): quem non malitiae conscientia facit humilem, sed sceleris audacia reddit contumacem; por. tamże 298, 2. Skrócenie partykuły uero (u⁰) odczytano jako Wladislavo, poczem z powodu poprzedniego quidem zmiana na »sed efferri« byłaby zupełnie uzasadniona. Atoli tego rodzaju interpretacja okazuje się błędną, bo Gall mówi na samym początku rozdziału nie o rozgoryczeniu, jakiego doznał Władysław podczas przyjęcia (o tej chwilowej zresztą przykrości wspomina osobno w dalszym ciągu słowami »aegre tulit«), lecz podnosi uczucie bolesne, które obok radości obudziło się w sercu Władysława zaraz na pierwszą wiadomość o pojawieniu się brata na ziemi węgierskiej. Radość z przybycia krewnego, któremu zawdzięczał tron, jest całkiem naturalna, Władysław jednak wolałby witać swego przyjaciela i protektora w innych, przychylniejszych warunkach; teraz mimo tych wszystkich względów musi czuć także głęboki żal, że Bolesław przybywa do niego po dokonaniu strasznego czynu. Wyraz tej myśli odnajduję w słowach Galla: *sed deferri sibi facto dolet inimico:* lecz boleje nad tem, że Bolesław przybywa doń wskutek wrogiego czynu. Przez »fato inimico« (por. I, 29 fortuna inimica) wyraziłby autor to samo, tylko oględniej: że wrogi los sprowadza brata do niego. Deferri alicui (= devenire, deverti ad aliquem) powiedziano na wzór znanych konstrukcyj: ire sorori (Silius 15, 327), vertite vos Christo (= ad Christum) u Kommodiana, venit abbatissae (= ad abbatissam) u Grzegorza z Tours i t. p. Por. Archiv. f. lat. Lexik. VIII 74—76. Miejsce pierwotnego »sibi« zajęło później imię własne Wladislavo, które dla objaśnienia zaimka dopisano najpierw na brzegu. Nie jest to jedyny glossem w tem zdaniu. W dwu członach: »partim gaudet *ex amico*, partim restat locus irae« dodatek ex amico jest nieodpowiedni, bo mamy tu do czynienia tylko z ogólnikowem określeniem dwu rodzai

27. Ex recepto quidem fratre gaudet et amico (1, 28). Wyraz »partim« przed »ex recepto« jest wtrętem przepisywacza, jak słusznie zauważył G. E. Saenger (j. w. str. 136).

uczuć bez wymieniania ich pobudek. G. E. Saenger (j. w. str. 136) czyta: ex animo. Najprawdopodobniej stało się tak, że najbliższy wyraz fratre objaśnił ktoś dodatkiem *ex amita*, aby uwydatnić, że Bolesław był bratem ciotecznym Władysława. Glossem źle odczytany dostał się potem na niewłaściwe miejsce.

Taką interpretacją wykluczamy oczywiście wzmiankę o Władysławie Hermanie w tekście Galla I, 28.

GŁOS PROF. STANISŁAWA SMOLKI.

I.

Wezwany do udziału w dyskusji o św. Stanisławie, nie mogę się od niego uchylić. Należę nie od wczoraj do grona współpracowników *Przeglądu Powszechnego;* od lat 37 studjami nad średniowieczną epoką wypełniłem przeważną część mojego zawodu naukowego; w tym roku wreszcie mija właśnie 30 lat, jak mimochodem dotknąłem kwestji św. Stanisława i własną o niej wyraziłem opinję. Gdybym zachował milczenie wobec toczącej się dyskusji, równałoby to się niemal wyznaniu, że nie chcę zabrać w niej głosu, ponieważ mnie przekonały wywody najznakomitszego u nas badacza średniowiecznej epoki. Ja zaś nigdy się z tem nie kryłem, co o nich sądzę. Zapytywano mnie nieraz, dlaczego z mojem mniemaniem nie występuję publicznie. Mniejsza o to, czy osobiście miło mi toczyć polemikę z czcigodnym autorem »Szkiców historycznych XI wieku«, ze starszym towarzyszem zawodu, którego niespożytym zasługom naukowym nieraz należny hołd oddawałem — piórem i słowem. Mojem zdaniem nietrudno skruszyć kopję o jego »Faktum biskupa Stanisława«; łatwo wykazać kruchość domysłów, na których wsparł się ten ostatni z werdyktów, rzekomo naukowych, potępiających patrona Polski — ostatni z ich długiego szeregu. Ale też na tem koniec. Próżno natomiast kusić się o naukowe wyjaśnienie zagadkowego faktu, który od stu lat zgórą zajmował u nas tylu znakomitych badaczy, bez żadnej — śmiem to twierdzić — korzyści dla nauki, a nawet nie bez ujmy dla jej powagi. Impuls do tych dociekań wychodził niemal zawsze z motywów obcych nauce i nic wspólnego z nią nie mających. *Man merkt die Absicht...* To wrażenie, którego zwykle doznawałem, odczytując obfitą już literaturę tego przedmiotu.[1] Dlatego też milczałem.

1. Pomiędzy historykami, który pisali o św. Stanisławie, jeżeli kto był

Dyskusja, która toczyła się w poprzednich zeszytach *Przeglądu*, wydała sporo cennych przyczynków do rozjaśnienia kwestji; mogę z nich niemało korzystać.[2] Nie przekroczono tu granic, które zakreśliła natura źródeł, nie pomnożono też na szczęście pokaźnego już inwentarza domysłów o nieznanym przebiegu zagadkowego faktu, choć możnaby go jeszcze dalej powiększać, w miarę rozciągliwości fantazji i dowolności w przystosowaniu skąpych świadectw źródłowych do wytworu własnej imaginacji. W kwestji, w której mamy do czynienia z jedynym, niezmiernie ubogim tekstem, a do tego jeszcze niezawodnie skażonym, pierwszorzędne znaczenie należy przyznać krytyce filologicznej, metodycznej interpretacji, opartej na zasadach umiejętnej hermeneu-

---

wolny od tendencji, to właśnie autor »Szkiców historycznych XI wieku«. Twierdzę to stanowczo, z głębokiem przekonaniem, opartem na pozytywnych podstawach. Nie popełnię niedyskrecji, jeżeli stwierdzę, że Tadeusz Wojciechowski pisał trzy ostatnie rozdziały tej książki nie bez bolesnego uczucia i nie bez przezwyciężenia, a z przeświadczeniem, że nie może uchylić się od tego »obowiązku«, skoro doszedł do takich rezultatów w badaniu. Otrzymałem jeden z pierwszych gotowych egzemplarzy książki z rąk samego autora, podczas druku zaś nieraz rozmawiałem z nim o mającej niebawem wyjść książce. Tendencji — »sympatycznej« czy »niesympatycznej« — niema bezwarunkowo w badaniach Tadeusza Wojciechowskiego; pozwoliłem sobie użyć tu wyrazów, ujętych w przytoczniki, ponieważ i one weszły już do »literatury przedmiotu«. Brak tendencji nie broni jednak badacza od innych niebezpieczeństw, niemniej szkodliwie oddziaływających na niezależność sądu. Mistrz w tworzeniu hipotez, olśniony blaskiem złudnych spostrzeżeń i wniosków, które mu wiążą się w harmonijną pozornie całość i w subjektywnem jego mniemaniu nabierają znaczenia naukowej prawdy, musi niekiedy walczyć z niesłychanemi trudnościami, żeby zachować równowagę autokrytycznego, trzeźwego sądu. Ileż pouczających przykładów tego rodzaju widzimy w historji nauki. To niewyczerpane źródło, i rzeczywistych odkryć o trwałej dla nauki wartości, posuwających ją naprzód, ale też nieuniknionych omyłek, bronionych nieraz z pewnym odcieniem sekciarskiej zaciętości, nawet bez jakichkolwiek motywów religijnej lub politycznej natury.

2. Rozprawy o świętym Stanisławie, pomieszczone w poprzedniej dyskusji, cytujemy według paginacji niniejszego wydania. Sama cyfra rzymska i arabska będzie oznaczać księgę oraz rozdział kroniki Galla, np. I. 28 = Galli Chronicon, lib. I, cap. 28. Inne źródła cytuję według publikacyj, w której należy odszukać przytoczone ustępy; M. P. H. = Monumenta Poloniae historica »Szkice historyczne XI wieku« Wojciechowskiego, cytuję, bez powtarzania tytułu: l. c. z podaniem stronicy.

tyki. Tu zaś odezwał się, z prawdziwym pożytkiem dla rzeczy, fachowy głos filologa, który ma ustalone w nauce imię jako pierwszorzędny znawca późniejszej łaciny.

Uznając to ze szczerą radością, muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że nie podzielam zgoła opinji prof. Miodońskiego w jednym z najważniejszych punktów jego interpretacji 27 rozdz. I księgi Galla. Nikt wprawdzie nie zaprzeczy, że *traditio* może znaczyć: nauczanie, a więc chyba także i mentorskie karcenie, *traditor* zaś: nauczyciel, a więc w danym razie i mentor.[3] U Galla jednak, wyrazy te nie mogą mieć powyższego znaczenia w klasycznym ustępie: »Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. Interpretacja ta musi przegrać sprawę przed trybunałem, którego i w hermeneutyce nie trzeba lekceważyć, przed forum »chłopskiego rozumu«. W średniowiecznej łacinie często *traditor* = *donator, traditio* = *donatio;* nikt jednak nie pomyśli o takiem znaczeniu tych wyrazów u Galla I, 27. Co prawda, w tej kwestji za nic nie można ręczyć; może na tym gruncie powstanie kiedyś jeszcze jedna »hipoteza«.

Prof. Miodoński zestawił dokładnie wszystkie ustępy, w których Gallus użył wyrazu *traditor* (wyżej str. 55); nie pominął ani jednego; mimo skrzętnego szukania, nie znaleźlibyśmy ani jednego miejsca więcej. Jasne jest zupełnie znaczenie każdego z tych sześciu ustępów, toż samo (identyczne) w pięciu ustępach, z osobnem zabarwieniem w szóstym, a to ze względu na genitivus, zależny od *traditores* (II, 46: traditores eiusdem castri Pomoranos).

Po śmierci Mieszka II *traditores* wypędzają z Polski królowę wdowę (Rychezę); wkrótce potem, gdy dorósł syn Mieszka i Rychezy, Kazimierz, gdy objął w Polsce rządy, zrzucają go z tronu, obawiając się, żeby nie pomścił krzywdy matki, »veriti, ne matris iniuriam vindicaret, in eum insurrexerunt eumque in Ungariam secedere coëgerunt« (I, 18).

Pomorzanie powstają przeciw własnemu księciu, Świętoborowi, i trzymają go w więzieniu — »erat enim ipse Suatobor in Pomorania carceratus et a quibusdam a regno suo traditoribus subplantatus« (II, 29).

---

3. Gallus II. 33 używa w tem znaczeniu wyrazu *corrector*.

Wojna domowa w Czechach po wygnaniu Borzywoja II; Bolesław Krzywousty przyjmuje u siebie najmłodszego z braci, Sobiesława, i wspiera go przeciw starszemu (średniemu) Władysławowi. Sobiesław, młode, niedoświadczone pacholę, wstawia się podczas wojny u Bolesława: »praedas capi, incendia fieri, terram destrui Boleslavo supplicans prohibebat, quia regnum acquirere sine bello puerili simplicitate verbis t r a d i t o r u m sine victoriis se credebat« (III, 21).

Wichrzyciele, buntujący się przeciw własnym książętom, stając po stronie to jednego, to drugiego z braci, którzy ze sobą walczyli o panowanie w Czechach, doprowadzają państwo czeskie do zupełnego upadku — »ad hoc enim detrimentum et dedecus bellica gens Bohemorum t r a d i t o r u m factionibus est redacta« (III, 23).

Świętopełk, książę pomorski, spokrewniony z Bolesławem Krzywoustym i osadzony przezeń na książęcej dzielnicy, podnosi rokosz, nie przysyła Bolesławowi posiłków na wojnę i nie wpuszcza jego rycerzy do swoich zamków: »immo sicut perfidus hostis et t r a d i t o r viribus et armis sua seseque prohibuit« (III, 26).

W każdym z pięciu przytoczonych ustępów, Gallus używa wyrazu *traditor, traditores,* mówiąc o buntownikach, którzy powstali przeciw panującemu księciu, *contra dominum naturalem,* jak wyrażała się średniowieczna łacina (np. I, 19; II, 16). Naturalna to w niej funkcja semazjologiczna tego wyrazu, obca zupełnie klasycznej łacinie. W feudalnym świecie przeniewiercą był każdy wassal, który zachowywał się nieprzyjaźnie względem lennego pana, ponieważ winien mu był wierność, zaprzysiężoną przy objęciu lenna; obu łączył stosunek etyczny, polegający na obowiązku wierności z jednej strony, obrony z drugiej. Przeszło to do romańskich i germańskich języków, ukształtowanych na gruncie feudalnego świata: *traicion, haute trahison, high treason, Hochverrat.*

Na tem tle łatwo pojąć, że w rok po śmierci św. Stanisława, w r. 1080, schizmatycki synod w Brixen napiętnował Grzegorza VII *velut regni traditorem,* w dekrecie podpisanym przez 19 włoskich biskupów, 7 niemieckich, jednego burgundzkiego. W pojęciu tego zgromadzenia, papież był tylko pierwszym biskupem w państwie, zobowiązanym, jak oni wszyscy (wassale), do wierności względem

Cesarza. Wystąpił przeciw niemu, rzucił na niego klątwę, zasłużył zatem na destytucję: *traditor regni.*[4]

Nie bez słuszności też zaznaczył to prof. Miodoński, że Gallus posługuje się zawsze albo synonimami albo też podobnemi »środkami językowemi«, »podpórkami« *(insidiae, infidelitas* i t. p.), ilekroć używa wyrazu *traditio* w znaczeniu, odpowiadającem naszemu pojęciu zdrady (a zarazem klasycznemu pojęciu *traditio).*[5] Niema tego w kronice Galla I, 27. Wiemy, jak tam rozumieć wyraz *traditor:* nie inaczej, jak zawsze, w I, II i III księdze, od początku kroniki aż do końca. A bezpośrednio przed tym wyrazem czytamy o czynie biskupa, który nań ściągnął srogą »zemstę« króla, bez żadnych dodatkowych określeń: »pro traditione pontificem trun-

---

4. Por. Wojciechowski l. c. 281, Giesebrecht: Geschichte der deutschen Kaiserzeit III, 502 nn., 1153 n., Waitz: Deutsche Verfassungsgeschichte V. 112—116. Inna rzecz, że upadek Bolesława Śmiałego, uwolniwszy Henryka IV od niebezpiecznego przeciwnika, mógł niemało ośmielić go do zuchwałego kroku na schizmatyckim synodzie w Brixen; pod tym względem ma Wojciechowski słuszność, mojem zdaniem. Nie wpływa to jednak na sąd o katastrofie r. 1079, a najmniej już na interpretację wyrazu traditor.

5. Prof. Miodoński podaje (wyżej str. 55) dokładny wykaz ustępów, w których Gallus używa wyrazu *traditio.* Wszędzie spotykamy tam rzeczywiście tak nazwane przezeń »podpórki«, albo też sam już sens zdania pozwala stwierdzić, że Gallus mówi o podstępnem, zdradzieckiem działaniu. Wszystkie przytoczone ustępy (z wyjątkiem jednego) odnoszą się do wojen, do różnorodnych fortelów wojennych, nie oświetlają więc znaczenia *traditio* w I, 27. Jedno tylko miejsce (II, 37) tyczy się zdradzieckich knowań Zbigniewa: »Zbignevi litterae captae cum nuntiis sunt allatae, quibus multae t r a d i t i o n e s et i n s i d i a e sunt prolatae«, przyczem należy pamiętać, że Zbigniew, starszy brat Krzywoustego, był równorzędnym mu, udzielnym księciem i nie podlegał jego władzy (II. 7, 17, 21). Rozczytując się w Gallu, znajduję tylko trzy miejsca, gdzie wyraźnie jest mowa o zdradzie w właściwem tego słowa znaczeniu. Dwa miejsca odnoszą się do Sieciecha, który według Galla nadużywał nieograniczonego zaufania Władysława Hermana, zmierzając do zdradzieckiego zamachu na dynastję Piastowską; Gallus używa tu wyrazów *insidiae, factio* (II, 16). W tym samym rozdziale wspomina o podejrzeniach, które spotykały Wojsława. To ochmistrz młodocianego Bolesława Krzywoustego; miał powierzoną sobie opiekę nad dorastającym księciem, był zaś krewnym Sieciecha, podejrzywano go zatem, że czyha zdradziecko na zgubę Bolesława: »Suspectus p r o d i t i o n i s ob Zethei consanguinitatem«. A zatem: *proditio.* Gallus miał widocznie poczucie, że bez dodatków, uwydatniających pojęcie z d r a d y, sam wyraz *traditio* nie miałby tego znaczenia.

cationi membrorum adhibuit«. Cóż tu znaczy *traditio?* Du Cange objaśnia: *traditio — laesae majestatis crimen.*

Pomijamy zupełnie, co o tem pisał po 120 latach Kadłubek, a za nim żywot św. Stanisława i cała późniejsza historjografja. Zapomnijmy, że, według Kadłubka, św. Stanisław ostro strofował króla, że wkońcu rzucił nań klątwę i popełnił tem: *crimen laesae majestatis.* Pozostańmy na gruncie samego Galla, który nam nic nie mówi, co zaszło między biskupem a królem. Oświadcza tylko: »neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. Podstawmy zatem zamiast *traditio* synonim: *crimen laesae majestatis,* a zrozumiemy »ohydną zemstę« króla, który takiego czynu nie puszczał płazem, »ut erat ferus«, jak Gallus mówi w poprzednim rozdziale (I, 26). Gallus nie znał terminologji rzymskiego prawa; Włoch czy Francuz, Prowansalczyk czy Lotaryńczyk, nie miał w swoim słowniku na crimen laesae majestatis innego wyrażenia, jak *traditor* i *traditio.*[6]

Od stu lat wysilano się na domysły, z kim to traditor episcopus wchodził w zdradzieckie porozumienie, na zgubę kraju,

---

6. Skąd Gallus pochodził, to jest i będzie zawsze przedmiotem nierozstrzygniętej kontrowersji, dopóki uczeni będą zajmować się tą kwestją. Sprzeczne domysły opierają się na rozmaitych ustępach kroniki i wyrażeniach kronikarza; do jednego z nich lub do innego, według subjektywnego mniemania, przywiązują piszący o tym przedmiocie większą lub mniejszą wagę. Jedno tylko przypuszczenie nie da się, według mnie, uzasadnić: jakoby Gallus urodził się w Polsce. Kiedy urodził się, nie wiadomo; przybył zapewne do Polski około r. 1086 (por. Wojciechowski l. c. 291). Młodość jego przypada w każdym razie jeszcze na te czasy, kiedy »kluniackie«, »gregorjańskie« idee kiełkowały dopiero w nielicznych oazach ówczesnego chrześcijańskiego świata; Galla one nie dotknęły, widoczne to w całej jego kronice. Za następnego już pokolenia, a zwłaszcza po jakich 70 latach, byłoby to rażącem, użyć o zatargu biskupa z królem wyrażenia *traditio* lub *crimen laesae maiestatis,* mianowicie od śmierci Tomasza Becketa. Przystępując do napisania niniejszej rozprawy, odczytałem znów uważnie, po kilka razy, całą kronikę Galla. Między innemi szukałem wyrażenia, któreby Gallowi (I, 27) mogło było posłużyć za synonim wokabułów *traditor* i *traditio.* Nie znalazłem żadnego. W czterech miejscach (nie licząc późniejszego tytułu lib. II cap. 4) spotkałem *rebellis, rebelles,* zawsze w znaczeniu zbrojnego oporu: I. 23, II. 39, II. 42, III. 6. Trzy razy powtarza się *seditio,* zawsze w znaczeniu wojny domowej: I. 16, I. 19, II. 21; dlatego też Zbigniew nazwany *homo seditiosus,* III. 2. Ani jedno zatem ani drugie wyrażenie nie dało się użyć I. 27, ani widocznie *factio,* jak o Sieciechu albo o czeskich wichrzycielach (II. 16, III. 24).

jak Kossakowski albo Massalski? Z rozbrajającą istotnie naiwnością szukano naokół wrogów, którym ten zdrajca podawał rękę, w Niemczech i w Czechach — o Petersburgu nikt nie mógł myśleć. Z postępem badań więcej erudycji; wystarcza zmowa z Władysławem Hermanem: brat Bolesława, szwagier czeskiego księcia, później Cesarza (w drugiem małżeństwie), połączył najwygodniej zdrajcę biskupa z ekwiwalentem Katarzyny II. Zbyteczne te wysiłki przenikliwości i erudycji. Jeśli pozostaniemy na gruncie tekstu Galla, on nas nie upoważnia do tych domysłów.

Prof. Wojciechowski powtarza jednak ze szczególnym naciskiem, że Gallus zarzucił św. Stanisławowi »grzeszną zdradę«; nadto, że to nie było bynajmniej osobistym sądem kronikarza, tylko wiernem odbiciem opinji współczesnego episkopatu i duchowieństwa w Polsce. Co prawda, nie rozumiem dobrze tego epitetu, jak gdyby w teologji moralnej Galla było miejsce na zdradę w pojęciu cnoty. To byłaby przesada; ja tylko twierdzę, że *traditio* w słowniku Galla nie mieści w sobie nic hańbiącego, obelżywego; *traditor* musiał był być według terminologji Galla niezawodnie sam jego bohater, Krzywousty, gdy wespół z bratem podniósł rokosz przeciw własnemu ojcu. Trudno mi zatem zdać sobie jasno sprawę z pojęcia »grzesznej zdrady«, jeśli mam w znaczeniu z d r a d y brać wyrażenie *traditio*. Łatwo natomiast pojąć, dlaczego Wojciechowski przywiązuje taką wagę do swojego twierdzenia, jakoby najwybitniejsi współcześni przedstawiciele polskiego Kościoła potępiali zgodnym chórem biskupa, piętnując mianem »grzechu« jego postępowanie, które przypłacił śmiercią. Twierdzi wyraźnie: »Nie można wątpić, że co (Gallus) napisał o Stanisławie, to miał od osób tych samych, którym dedykował swoją książkę, a więc od pięciu biskupów i od kanclerza Michała; oni też niewątpliwie skwalifikowali czyn Stanisława, że to był grzech« (l. c. str. 298). N i e w ą t p l i w i e ! Jak łatwo tym wyrazem szafować! Ta »grzeszna zdrada« — to przecież jeden z dwóch głównych filarów, na których wspierają się wiązania wywodów Wojciechowskiego. Co o niej sądzić, wykazał już Miodoński (wyżej str. 63—67). W całej konstrukcji Wojciechowskiego ma ta rzecz jednak tak wybitne znaczenie, że pozwolę sobie dorzucić jeszcze kilka uwag o tym przedmiocie.

»Grzeszna zdrada« — to n i e w ą t p l i w i e nic innego, jak

owoc mylnej z gruntu interpretacji dwóch frazesów I, 27, w których po trzykroć powtarza się wyraz *peccatum*.

Pierwszy frazes opiewa: »sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare«. Według Wojciechowskiego dowodzi ten frazes, że biskup zgrzeszył, a król go za to ukarał. Na tę jednak interpretację złożyły się dwa ciężkie grzechy przeciw głównym przykazaniom krytyki historycznej, a także i filologicznej krytyki tekstu.

Przedewszystkiem trzeba było, celem takiej interpretacji, zmienić pluralis *christianos* na sing. *christianum*. Gdyby sens wymagał koniecznie takiej emendacji tekstu, możnaby ją uznać za dosyć prostą konjekturę filologiczną i ocenić jej wartość według poprawionego rzekomo sensu. Autor jednak bierze ten warjant z kodeksu Sędziwoja, nie wchodząc w wartość tego rękopisu, jak gdyby aparat rękopiśmienny kroniki był... bufetem, z którego obfitej zastawy wolno wybierać według gustu przysmaki rozmaitych warjantów. Jest to niezawodnie prosty grzech zaniedbania *(bona fide)*, z tą jednak obciążającą okolicznością, że ta zdrożna (ze stanowiska metodycznego) dowolność służy tu do poparcia dowolnego domysłu, który w rozumowaniach autora niemało waży na szali. Badacz tej miary nie byłby odwoływał się do powagi kodeksu Sędziwoja, gdyby był zastanowił się cokolwiek nad jego właściwościami. Jest to, jak wiadomo, późna kopia z końca XV wieku, tak nędzna, że właściciel rękopisu (Sędziwój z Czechła?) w wielu miejscach starał się w niej przywracać skażony sens różnemi emendacjami, niekiedy dość trafnemi, niekiedy zupełnie dowolnemi. Niema w tym kodeksie ani jednej — absolutnie ani jednej lekcji — którą możnaby wprowadzić do tekstu Galla, nie już dla jego emendacji, ale bez widocznego, niewątpliwego skażenia sensu. Obok kilku obojętnych warjantów, wszystkie odmianki, któremi krakowski kodeks Sędziwoja różni się od warszawskiego kodeksu Zamoyskich (z XIV w.), są to wyłącznie same omyłki najmizerniejszego kopisty, najczęściej psujące do niepoznania sens, rażące, wprost idjotyczne; doliczyłem się ich wyżej stu (114); za tę liczbę ręczę, może jest więcej. Lekcja *christianos* (I, 27) o ileby popierała konjekturę (która i bez niej mogłaby się obejść, gdyby była potrzebna) — byłaby bezwarunkowo jedynym dobrym, przydatnym do

emendacji tekstu warjantem, w całej kronice Galla, we wszystkich jej trzech księgach i 107 rozdziałach.[7]

Niedość tej dowolności. Ona sama nie wystarczyłaby do takiej interpretacji I, 27, jakiej autor potrzebował do uzasadnienia swoich domysłów. »Ważniejsza rzecz — mówi — jak należy rozumieć *christianus*«. I tu już dowolność interpretacji dokonywa niesłychanej rzeczy; podobnego naruszenia zasad hermeneutyki nie zdarzyło nam się dotąd spotkać. *Christianus* to »pomazaniec«, a więc zarówno król, jak i biskup.[8] Posłuchajmy samego autora: »Gallus widział brzydotę tylko w tem, że pomazaniec król skazał pomazańca biskupa na karę cielesną. Nic więcej i nic inne-

---

7. Autor był tak przekonany o trafnym wyborze warjantu *christianum*, że nie wahał się z niego nawet wyciągnąć dalej sięgającego wniosku (l. c. str. 252): »Byłaby to zarazem wskazówka, że kodeks Sędziwoja niekoniecznie jest kopią z Traski«. Takie zdanie, rzucone mimochodem (niezawodnie *bona fide*) łatwo uczyni na czytelniku, który nie zajmował się specjalnie tym przedmiotem, pewne wrażenie, uprzedzające korzystnie dla domysłów autora; będzie sądzić, że autor poświęcił szczegółowo uwagę zbadaniu aparatu rękopiśmiennego Galla i na nim oparł wybór upodobanego warjantu. Według ostatnich wydawców, Finkla i St. Kętrzyńskiego (Gall Anonymi Chronicon. Leopoli 1899, str. XIV) t. z. kodeks Sędziwoja (bibl. Czartoryskich) nie jest odpisem t. z. kodeksu Traski (bibl. Zamoyskich), lecz co najwięcej odpisem nieznanej jakiejś kopji kodeksu Zamoyskich (codicis deperditi A). Może zresztą pomiędzy kod. Zam. a kod. Sędz. należałoby przypuścić pośrednictwo większej liczby zaginionych ogniw; może nawet w genealogji rękopisów Galla kod. Sędz. nie pochodzi w prostej linji od kod. Zam., a mają tylko tego samego wspólnego, nieznanego przodka. Co tylko j e s t r z e c z ą b e z w a r u n k o w o p e w n ą, to że oba kodeksy należą do tej samej grupy, w którego pierwowzorze autentyczny tekst Galla doznał już niejednego skażenia. Dowodzą tego wspólne, niewątpliwie już skażone, a ze wspólnego źródła pochodzące lekcje, jak *lacis* zam. *lacubus* (II. 42, III. 24), *humo remis* zam. *humo tenus* (III. 23) i t. p. Wobec tej, niewątpliwej a stwierdzonej okoliczności, tem bardziej nie wolno faworyzować jednego wyrwanego warjantu kod. Sęd., można bowiem uważać za rzecz absolutnie pewną, że ten warjant nie pochodzi z autentycznego tekstu Galla.

8. Zbyteczna stwierdzać, że wyraz *christianus, christiani*, powtarza się u Galla w każdym niemal rozdziale, zawsze — rozumie się — w zwyczajnem znaczeniu wyznawcy wiary chrześcijańskiej. Oryginalny ustęp II. 5 (o krwawej bitwie nad Gopłem): »Tantum enim humani cruoris ibi sparsum fuit, tantumque cadaverum in lacum castello contiguum corruit, quod ex eo tempore piscem illius aquae comedere quisque bonus christianus exhorruit«.

go niema w tych słowach«[9] (l. c. str. 309). Opinja Galla zaś była, według prof. Wojciechowskiego, echem opinji współczesnego episkopatu w Polsce (l. c. str. 299), więc biskupi nie mieliby chyba nic do zarzucenia czynowi króla, gdyby nie to, że »pomazaniec« kazał poćwiartować »pomazańca«. Ciekawa rzecz, co byliby o tem sądzili, gdyby biskupa poćwiartowano przed trzema, czterema laty, przed koronacją Bolesława Śmiałego, odbytą w 1077 roku!

Co jednak sądzić o tej jedynej w swoim rodzaju interpretacji (*christianus* = pomazaniec) ze stanowiska łacińskiej leksykografji, co sądzić o szczególnem tłumaczeniu pojęcia »pomazaniec« ze stanowiska liturgicznego i kanonistycznego — nad tem istotnie zbyteczna się dłużej zastanawiać; prof. Miodoński wyjaśnił już najzupełniej ten szczegół (wyżej str. 63—65).

I na cóż te wszystkie wysiłki niepospolitej bystrości i eruducji, tu na tak dziwne zabłąkanej manowce? Oto dlatego tylko — wydaje się autorowi — że przytoczony ustęp nie miałby żadnego sensu, jeśli go nie będzie ratować tak karkołomnemi środkami. »Jak należy rozumieć *christianus?*« Pyta i odpowiada: »Tłumaczono dotychczas: chrześcijanin. Mojem zdaniem niema to sensu, bo z takiego tłumaczenia wynikałoby, że Gallus potępiał wogóle wszelką karę cielesną w państwach chrześcijańskich, co przecież nie mogło być jego myślą« (l. c. str. 252—253).

Istotnie, w Galla XI wieku nie można wmawiać humanitarnej miękkości Gallów XX stulecia, demonstrujących przeciwko zatwierdzeniu wyroków śmierci przez prezydenta trzeciej Republiki. Obejdzie się jednak bez takiego anachronizmu, aby przecież znaleźć sens w przytoczonym ustępie kroniki Galla. Trzeba jedynie brać go w dosłownem, zwykłem znaczeniu tych 9 wyrazów, a nie zaszkodzi przy tem pamiętać, że pisał je chrześcijanin i kapłan, który znał nie tylko *artem dictandi* i Salustjusza, ale żył w atmosferze pojęć Kościoła katolickiego i nie obcą mu był ani nauka Kościoła ani terminologja teologiczna. A chodzi

9. Bezpośrednio po przytoczonych słowach pisze prof. Wojciechowski: »Ale cóż powiedzieć o tej swawolnej i prawie już komicznej łatwości, z jaką Kadłubek, bez żadnego skrupułu, przerobił Gallusową *truncatio* na swoje *ipse obtruncat* — samże go obtrunkował (Bolesław)«. Lepiej było w tem miejscu oszczędzić Kadłubkowi tak ostrych zarzutów »swawolnej i już prawie komicznej« dowolności w postępowaniu z tekstem Galla, »bez żadnego skrupułu«

tu przecież właśnie o jeden wyraz, w tem zdaniu raz wymieniony, w następnem powtórzony dwukrotnie: *peccatum*.[10]

Pojęcia *peccatum* i *crimen* (albo *delictum, maleficium, excessus)* zlewają się poniekąd w średniowiecznych teorjach prawa karnego, zwłaszcza w późniejszej kanonistycznej teorji, nie do tego jednakże stopnia, żeby inteligentny kapłan — nie legista ani dekretysta — nie dostrzegał różnicy pomiędzy »grzechem«, należącym przed forum władzy duchownej, a »przestępstwem«, które karać było rzeczą świeckiej władzy. »Różnica ta istniała; na wyodrębnienie tych dwu pojęć wpłynęło ostatecznie w XII w. ustalone zróżnicowanie się forum duchownego na dwa odłamy; *forum internum* obejmuje wszystkie sprawy religijne; sprawy karne podlegają *forum externum*«.[11] Gallus zaś świadomie, nie bez przyczyny położył przy rzeczowniku *peccatum* zaimek *quodlibet;* nadworny historjograf nie wahał się zaznaczyć, że królowi nie wolno pociągać wszelkich grzechów przed swój trybunał, nie wolno mu każdego grzechu *corporaliter vindicare.*

Jedno i drugie nie było bez znaczenia.

Ze siedmiu grzechów głównych, żaden sam przez się nie może być przedmiotem śledztwa i kary przed świeckim trybunałem; mogą być nim jedynie pewne wykroczenia (nie każde jednak!) wypływające z motywów pychy, gniewu, zazdrości itp., o ile którykolwiek z »śmiertelnych« grzechów ujawnił się na zewnątrz karygodnym czynem. Największa natomiast zbrodnia przed świeckim trybunałem, *haute trahison, traditio, crimen laesae majestatis*, może być poczytana za »grzech« (powszedni albo

---

10. Długi 25 rozdz. III ks. kroniki Galla zawiera dość interesujące uwagi Galla o grzechu i pokucie, uwagi ogólnej natury a zastosowane do konkretnego faktu oślepienie Zbigniewa przez Bolesława Krzywoustego. Z uwag tych możnaby złożyć zarys traktatu *de peccato et poenitentia.*

11. Handelsman: »Historja polskiego prawa karnego« (Warszawa 1909) II. 80; por. tamże II. 57, 59, 79. Cytuję przytoczony ustęp dosłownie z tego cennego dzieła, zmieniam tylko wyrażenie *podpadają pod* na *podlegają;* dotykając kwestji, która ma związek z prawniczemi pojęciami, wolę niemi nie operować po dyletancku i wyręczam się słowami specjalisty. Co do samej rzeczy, rozumie się, że stwierdzone powyżej rozróżnianie pojęć »grzechu« i »przestępstwa« nie było wcale wytworem XII stulecia, lecz »ustaliło się ostatecznie« (słowa p. H.) w XII wieku, z biegiem coraz większego rozwoju kanonicznego prawa, wypływało zaś logicznie z odwiecznej nauki Kościoła.

śmiertelny), według motywów oraz istoty czynu, m o ż e zaś albo m u s i być nawet, w danych okolicznościach, uznana przez Kościół za »heroiczną cnotę«; przez Kościół bezwarunkowo, przez chrześcijan, ale także i przez nie-chrześcijan, niezależnych zupełnie od nauki Kościoła.[12]

Żadne wysiłki bystrości i erudycji nie wycisną z przytoczonego tekstu, o jakich to »grzechach« Gallus myślał, pisząc: »non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare«. Nie chcemy zaś z umysłu tykać późniejszej tradycji. Możnaby, dla uzmysłowienia rzeczy, wyliczyć, na chybił trafił, pokaźny szereg różnorodnych »grzechów«, których królowi nie godziło się powoływać przed swój trybunał, a tem mniej karać śmiercią, okaleczeniem, obcięciem członków — nie według naszej, osobistej opinji, lecz według Galla i jego protektorów. Niech mnie usprawiedliwi niedostatek imaginacji, że sięgnę do Kadłubka — tylko *exempli gratia*, ma się rozumieć — nie wchodząc zgoła w krytykę jego wiarygodności. Według Kadłubka — wiadomo — Bolesław Śmiały pastwił się, znęcał nad niewiastami, które złamały wiarę małżeńską, nie mogąc doczekać się mężów z dalekiej wyprawy wojennej, wskutek czego rycerze tłumnie opuścili króla i narazili go na porażkę. Gdyby istotnie coś podobnego zaszło — co tu wspominam tylko *exempli gratia* — łatwo byłoby pojąć, że biskup ostro wystąpił przeciw królowi, który »ut erat ferus«, wmieszał się w tak jaskrawy sposób do rzeczy, należących przed forum duchownej jurysdykcji, wiążących się najściślej z istotą sakramentu. Choćby nawet chodziło o innego rodzaju »grzechy«, bez tak wybitnej kolizji pomiędzy kompetencją świeckiej a duchownej władzy, łatwo było o przedmiot starcia, jeżeli król był *ferus*. Według teorji karnej w prawie kanonicznem, »kara nie spotyka przestępcy odrazu, następuje dopiero po szeregu przedwstępnych czynów, po nawoływaniu grzesznika do

12. Czytelnik zechce mi wybaczyć tę poniewolną wycieczkę w dziedzinę tak elementarnych pojęć, która wydawała mi się nieodzowną dla ostatecznego rozjaśnienia przedmiotu, gdy go tak niepotrzebnie zagmatwano, choć on sam przez się jest zupełnie jasny. Łatwoby rozwinąć powyższy ustęp, a zarazem nadać mu *lege artis* o wiele pokaźniejszą fizjognomję zapomocą cytatów z Ojców Kościoła, dekretaljów, poenitentialjów i t. p. Dla rzeczy byłby stąd jednak niewielki pożytek, ja na to nie mam czasu, a zresztą *ne sutor...*

ukorzenia się, po t. zw. *monitiones*. Grzesznikowi (gdyż taka nazwa jest w danej kwestji właściwsza) pozostawia się czas do namysłu. Po wyczerpaniu tych środków dopiero w grę wchodzi cenzura, której czasem towarzyszy poparcie ramienia świeckiego, o ile do tej pomocy ucieka się Kościół«... »Skrucha i pokuta, jako podstawa cenzury, jest najistotniejszą cechą kar kanonicznych, jest duszą prawa karnego kanonicznego i staje się źródłem łagodzenia surowości systemów świeckich. Cały system karny składa się z kar lżejszych od spółczesnych systemów świeckich... opierając się na tej zasadniczej myśli, że skoro winowajca musi winę odpokutować, należy mu tę pokutę umożliwić«...[13] »Teorja karna Kościoła wysunęła na plan pierwszy cel wyprawy, stworzyła system kar poprawczych, zwalczała karę śmierci i kary cielesne«...[14]

Przytoczyłem dosłownie, co o tym przedmiocie mówi rzeczoznawca, którego nikt nie posądzi o jakiekolwiek uprzedzenia przeciw domysłom Wojciechowskiego, a pisze to nie w rozprawie o »faktum biskupa Stanisława«, ale w specjalnem dziele o średniowiecznej historji prawa karnego w Polsce. W oświetleniu tem znikną chyba doszczętnie wszelkie skrupuły, czy nie popełni się przypadkiem anachronizmu, biorąc wiadomy frazes Galla w dosłownem znaczeniu,[15] bez pogwałcenia tekstu i bez takiego unikatu

13. Handelsman: Historja polskiego prawa karnego (Warszawa, 1909) II. 87, 88.

14. Tamże II. 95; por. tamże I. 30—31.

15. Nie piszę bynajmniej historji św. Stanisława, ponieważ nie pozwala na to brak źródeł; zgóry zastrzegłem się pod tym względem. Wolno mi jednak wyrazić, co sądzę osobiście o przyczynie zatargu między św. Stanisławem a Bolesławem Śmiałym, nie narzucając nikomu mojego zdania. W oświetleniu wyżej przytoczonych uwag, wyjętych z dzieła Dr. Handelsmana, frazes Galla *nen debuit — vindicare* utwierdza mnie w przekonaniu, że nie należy wcale lekceważyć tradycji, którą w 120 lat po fakcie spisał Kadłubek (po swojemu, to inna rzecz). Znany szczegół o Małgorzacie z Zembocina, który zachował się u Długosza (Hist. Pol. I. 359), nie należy też z pewnością do kategorji jego »amplifikacyj«, odznaczających się zupełnie innemi, odrębnemi cechami; por. Semkowicz: Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza, str. 42, 131, Bobrzyński i Smolka: Jan Długosz, str. 79 nn. Nie myślę (jak Semkowicz), żeby ten ustęp Długosza opierał się na jakiemś nieznanem, zaginionem źródle piśmiennem; odnoszę go raczej do niezatartej jeszcze w XV wieku, lokalnej tradycji, która właśnie dlatego tak długo utrzymała się w ziemi proszowskiej, że samą istotą faktu przemawiała żywo do wyobraźni a nadto wiązała się pośrednio z historją św. Stanisława. Ten zaś konkretny szczegół popiera niemało wiary-

interpretacji, jak *christianus* = pomazaniec. Tem samem zaś upadnie kunsztowna teza o »grzesznej zdradzie« św. Stanisława, ponieważ acc. *peccatum*, zależny od inf. *vindicare*, nie odnosi się do biskupa, lecz do innych poddanych Bolesława Śmiałego.

Upadnie, bo i w następnym frazesie *peccato peccatum adhibuit* ten sam wyraz, użyty raz w dat. drugi raz w acc., w obu przypadkach odnosi się do podmiotu zdania, t. j. do króla Bolesława. Jeśli gramatyka i logika mają jakie znaczenie w umiejętnej, metodycznej hemeneutyce, to prof. Miodoński dowiódł niewątpliwie (wyżej str. 67), że w przytoczonym frazesie *adhibere* (cum. dat. et. acc.) = *addere, adjicere*, że nie może nic innego oznaczać, że zatem nie wolno inaczej tłumaczyć tych wyrazów, jak tylko: król do (popełnionego już) grzechu (t. j. do pastwienia się nad swoimi poddanymi) dodał (nowy) grzech (t. j. zabójstwo biskupa) — który to nowy grzech był w oczach Galla nierównie większym, okropniejszym grzechem. Taką miał o tem Gallus opinję i właśnie dla jej wyrażenia położył tu *adhibuit* a nie jaki inny synonim; Gallus był znawcą *artis dictandi*. Podobnie użył *adhibuit* cum dat. et. acc. w ustępie o cudownem uzdrowieniu

---

godność tak bliskiej faktowi, a u Kadłubka spisanej tradycji, której bezwzględne odrzucanie uważam za niezdrowy hyperkrytycyzm. Ileż to cennych ziarn doszukał się sam Wojciechowski w rozmaitych świadectwach późniejszej tradycji; to może największa zasługa a zarazem szczególny urok tylu jego nieporównanych hipotez — »hipotez« w właściwem, naukowem znaczeniu tego słowa. Natomiast zgadzam się najzupełniej z Wojciechowskim co do jego sądu o bezużytecznej jałowości wszelkich wysiłków erudycji, w których próbowano wyśledzić jakiś związek między nieznanym przebiegiem katastrofy r. 1079 a współczesną walką Kościoła z Państwem na Zachodzie. Tam chodziło o zasadnicze problemy w stosunku Państwa do Kościoła, na co w młodocianej Polsce nadeszła pora dopiero po upływie całego wieku; tu nie było prawdopodobnie nic innego jak ostre starcie między gwałtownym królem, o nieokiełznanym temperamencie, a biskupem, który króla śmiało strofował i śmiercią to przypłacił. Inna rzecz, że odgłosy zasadniczej walki, toczącej się równocześnie w Niemczech i we Włoszech (wieści o niezłomnym oporze gregorjańskich biskupów w walce z Henrykiem IV) mogły odegrać rolę pewnego czynnika psychologicznego w postępowaniu krakowskiego biskupa, mogły na niego oddziałać i podniecić go do śmiałego wystąpienia przeciw Bolesławowi. Wszystko to są jednak tylko domysły, o większem lub mniejszem prawdopodobieństwie, jak komu podoba się je ocenić — nie misterne, co prawda, proste, nie wymagające ani bystrości ani żadnego daru kombinacji.

Mieszka I. ze ślepoty, I, 4. »Vere Polonia caeca prius erat, quae nec culturam veri Dei nec doctrinam fidei cognoscebat, sed per Meschonem illuminatum est et ipsa illuminata, quod eo credente Polonica gens de morte infidelitatis est exempta. Ordine enim competenti Deus visum primus (primum? prius?) Meschoni corporalem restituit, et postea spiritalem adhibuit, ut per visibillia ad invisibilium agnitionem penetraret et per rerum notitiam ad artificis omnipotentiam suspicaret«. To co później dodano, jest tu bez porównania ważniejsze; przy dobrodziejstwie wzroku duchowego maleje wartość cielesnego wzroku. Podobnie przy nowym grzechu Bolesława blednie dawniej spełniony grzech; nie darmo też zaczyna się ten frazes od wyrazów: »illud enim multum sibi nocuit« (cum peccato peccatum adhibuit). Takie stopniowanie zapomocą wyrazu *adhibere* nie jest zresztą bynajmniej indywidualną własnością Galla; ten odcień znajduje się i u Cycerona, Gallus nauczył go się zapewne w szkole lub w kancelarji.

Inne znaczenie musi mieć *adhibere* w następnem zdaniu: »cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit«; sam sens wyklucza tu bezwarunkowo taką funkcję wyrazu *adhibere* = *addere, adjicere*. Można powątpiewać, co prawda, czy należy czytać *adhibuit* w tem drugiem miejscu, czy to nie omyłka odpisywacza, jak na to już zwrócono uwagę (wyżej str. 68). Gallus bowiem dba o rym w sąsiadujących ze sobą zdaniach, nigdy jednak (o ile mogłem sprawdzić) nie powtarza się tego samego wyrazu w zakończeniu dwu sąsiednich zdań. Byłby to więc w całej kronice — o ile się nie mylę — zupełnie wyjątkowy, odosobniony fakt, wobec czego emendacja tekstu w tem miejscu może mieć wszelkie uzasadnienie.[16] Czy jednak zamiast *adhibuit* będziemy

16. Jeżeli *adhibuit* ma ulec emendacji w jednem z dwu przytoczonych zdań, to niezawodnie w drugiem a nie w pierwszem. t. j. nie w konstrukcji *peccato peccatum adhibuit*, ponieważ to jest konstrukcja gramatycznie poprawna i zupełnie zrozumiała, ale w niepoprawnej i niezrozumiałej konstrukcji *pontificem truncationi membrorum adhibuit*. Podobnej konstrukcji niema ani w całej kronice Galla, ani też nikt dotąd nie wskazał analogicznego zdania czy to w klasycznej czy też w średniowiecznej łacinie. I zewnętrzny również wzgląd przemawia raczej za przypuszczeniem, że kopista omylił się w drugiem a nie w pierwszem zdaniu, omyłka bowiem wynikła zapewne nie z błędnego odczytania jakiegoś innego wyrazu, ale stąd, że odpisywacz powtórzył bezmyślnie,

czytać *adtribuit* (jak proponuje Saenger) czy też *exhibuit* (co byłoby może właściwsze), nie wpłynie to zgoła na znaczenie przytoczonych słów, poprawniejsze tylko będzie wyrażenie, mniej niezwykłe. Sens pozostanie zawsze ten sam, niezmieniony: król kazał biskupa okrutnie zamęczyć, zarąbać, poćwiartować — dosłownie: wydał go (katom, siepaczom) na obcięcie członków.

---

mechanicznie wyraz, na którym kończy się poprzednie zdanie. Takie rzeczy wydarzają się przecież nieraz przy nieuważnem przepisywaniu. Natomiast byłoby to istotnie osobliwym trafem, gdyby kopista na końcu pierwszego zdania inny jakiś wyraz mylnie odczytał *adhibuit*, a na końcu następnego zdania znalazł rzeczywiście *adhibuit*. Dlatego też wydawałoby mi się najwłaściwszem poprawić w drugiem zdaniu *adhibuit* na *exhibuit*. Omyłkę kopisty możnaby w ten sposób najłatwiej wytłumaczyć, drugie zaś zdanie dawałoby zupełnie dobry sens. Za tą poprawką przemawia również upodobanie Galla w kończeniu sąsiadujących ze sobą zdań złożonemi wyrazami podobnej budowy, np. *sufficiat — proficiat*, *inaequale — coaequale* (II. epist.), *abstulit — intulit* (II. 17), *allatae — prolatae* (II. 37), *interfuit — profuit* (III. 23) i t. p. Emendacja miałaby wreszcie i tę zaletę, że nie zmienia bynajmniej sensu; tylko *exhibuit truncationi membrorum* jest wyrażenie poprawniejsze i odrazu zrozumiałe, natomiast *adhibere truncationi membrorum* może być t y l k o w t e m s a m e m z n a c z e n i u zrozumiane co *exhibere tr. membr.* Jedno i drugie można brać tylko w znaczeniu takich zwrotów, jak *morti dare aliquem* lub *ad mortem d. a.* i t. p., które prof. Miodoński wymienia wyżej str. 68. Gallus także wyraża się o wielmożach, skazanych na śmierć przez Bolesława Chrobrego I. 13: »regina, prudens mulier et discreta, plures pro culpa m o r t i d e d i t o s de manibus lictorum eripuit et ab imminenti mortis periculo liberavit, eosque in carcere, quandoque rege nesciente, quandoque vero dessimulante, sub custodia vitae misericorditer reservavit«. Co do *adhibere*, oprócz wymienionych powyżej dwu miejsc, gdzie niewątpliwie *adhibere* = *addere, adjicere* (I. 4, I. 27), znalazłem ten wyraz tylko w dwóch miejscach kroniki Galla, mianowicie: 1) II. 33: »Bolezlavus non solum aurem correctoribus non adhibuit, sed«... 2) III. 16: (Świętopełk) »ab uno vili milite venabulo perforatus occubuit, nec ullus suorum ad eum vindicandum m a n u s a d h i b u i t«. Ani w jednem ani w drugiem miejscu niema żadnej analogji z niezwykłą konstrukcją »episcopum truncationi membrorum adhibuit«. Co do drugiego miejsca, utarte to wyrażenie, zarówno w klasycznej jak i w późniejszej łacinie: *manus adhibere*, bodaj czy nie z łaciny wniesione i do polskiego języka: do czegoś przyłożyć rękę. Możeby kto zechciał przypuszczać, że Gallus w tem znaczeniu użył *adhibere* w I. 27, z opuszczeniem *manus;* w takim razie lekkie zretuszowanie tekstu wystarczyłoby do interpretacji, dającej sens, zupełnie zgodny z wersją Kadłubka i całej późniejszej tradycji, jakoby król sam, w ł a s n ą ręką, zamordował biskupa. Co do mnie, nie mam skłonności do tego rodzaju krytyki tekstu; co do późniejszej zaś

Wojciech Kętrzyński zaprzecza, jakoby można uznać za rzeczywisty fakt wzmiankowane przez Galla ćwiartowanie, *truncatio membrorum*. »Faktem jest, że biskup został zabity, lecz *truncatio membrorum* nie zaszła wcale!« — twierdzi Kętrzyński z naciskiem wyżej str. 39, opiera zaś to twierdzenie na późniejszej lecz nieodległej tradycji, według której znaleziono »nienaruszone zwłoki św. Stanisława, nawet bez znaku jakiejkolwiek blizny« (integerrimum, etiam sine cicatricum notamine, Kadł. I. 20) — co uważano, jak wiadomo, za jawny cud, pierwsze z szeregu licznych świadectw o świętości zamordowanego biskupa. Rzecz jasna, że zarówno historyk jak i teolog dopuściłby się godnej ubolewania lekkomyślności, jeśliby w jakimkolwiek konkretnym wypadku opierał sąd krytyczny o jakimś cudzie, na mętnej bądź co bądź, w 120 lat po fakcie spisanej, a na wskróś tendencyjnej tradycji. Nie należy zatem, według mnie, przywiązywać tak wielkiej wagi do przytoczonych słów Kadłubka. Napróżnoby też szukać przyczynków do rozstrzygnięcia tej kwestji w rezultatach niedawnej autopsji relikwji św. Stanisława, przy otwarciu trumny w katedrze na Wawelu, o czem znajduje się obszerne sprawozdanie ks. Polkowskiego w »Czasie« z 9 i 13 marca 1881.[17] Znaleziono jedynie »szczątki«, w literalnem znaczeniu tego słowa, znaczna ich część bowiem rozprószyła się już dawno po świecie w postaci relikwij. Jedyny szczegół, godny uwagi, zawiera się w następujących słowach sprawozdania: »Oczy nasze ujrzały najwidoczniejszą szramę na tylnej części czaszki, najwidoczniej pochodzącą od silnego uderzenia lub cięcia ostrem narzędziem. Cięcie to wprawdzie nie było

---

tradycji, to nie myślę wcale jej bronić, mianowicie nie we wszystkich szczegółach. Przypomnę zatem tylko, że nawet według Kadłubka Bolesław kazał zabić biskupa, sam zaś dopiero wówczas wyciągnął na niego rękę, gdy wysłani siepacze zawahali się dokonać zbrodniczego czynu (Kadł. II. 20, M. P. H. II. 296). Inna rzecz, czy »orzeczenie *adhibuit* wyklucza absolutnie własnoręczny udział Bolesława«, jak Wojciechowski twierdzi (l. c. str. 309). Tego znów nie mogę przyznać, już samo bowiem *adhibuit* nie jest bynajmniej tak absolutnie pewne, a nadto konstrukcja *(aliquem truncationi membrorum adhibere)* tak niezwykła i odosobniona, iż nie można z niej absolutnie wysnuwać żadnych wniosków, jeżeli ma być utrzymana lekcja *adhibuit*.

17. Sprawozdanie to było znane Wojciechowskiemu; wspomina o niem l. c. str. 310, przyp. 2: »relacja ks. Polkowskiego, drukowana bodaj w Czasie; niestety zaginęła mi notata«.

na wskróś zadane, ale raz mógł być śmiertelny. Oprócz czaszki, w jedwabie owinięte były obie szczęki, w górnej było jeszcze 10 zębów, w dolnej 7, wszystkie zdrowiuteńkie, inne widocznie wyjęte jako relikwje«. Cenna, lecz niedość ścisła i dokładna wzmianka o szramie na tylnej części czaszki, nie rozstrzyga bynajmniej kwestji, cięcie bowiem, zadane z tyłu w głowę, nie wyklucza wcale mąk, pastwienia się nad ofiarą, którego pojęcie łączy się niezawodnie z wyrazem *truncatio membrorum*.[18]

Pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Czegoż nie wyczytano z tych sześciu słów! Nie wiem, czy w całej historycznej literaturze, w poważnych zwłaszcza badaniach, znajdzie się drugi przykład tak wielomownej interpretacji.

Wojciechowski twierdzi ze stanowczością istotnie zdumiewającą (l. c. str. 308): »Nie można tego zdania rozumieć inaczej, jak tylko, że był wyrok, t. j. skazanie i egzekucja«. I to bynajmniej nie wyrok w pojęciu królewskiego rozkazu, by zabito biskupa; cała rzecz w tem, że »w y r o k« był legalny, wynik formalnego »p r o c e s u«, który odbył się w marcu 1079 (str. 273, 308). Gdzie zapadł wyrok? »Chyba« na Wawelu, »między katedrą a kościołem św. Michała«, tam bowiem odbyła się »egzekucja« (str. 311—314), poczem zakopano ciało »e g z e k u t a« w ziemi, pod gołem niebem jako zwłoki »s k a z a ń c a« — i dopiero po 10 latach odbyła się uroczysta translacja do katedry, »r e h a b i l i t a c j a« zdrajcy, urządzona przez Władysława Hermana, w którego usługach biskup poniósł hańbiącą śmierć (str. 299, 339, 340).

Jedną ma tylko autor wątpliwość, co do samej treści wyroku: »czy Stanisław był skazany na obcięcie kilku czy wszystkich członków?« — bo »trunkacja członków nie koniecznie po-

18. *Truncatio*, wyraz używany w późnej łacinie (Cod. Theod., lib. VII, tit. 13, l. 5), dość pospolity w średniowiecznej, zarówno w pomnikach historjograficznych jak i w prawniczych, zwłaszcza w połączeniu z gen. *membrorum, capitis, digitorum* i t. p.; u Galla użyty tylko w tem jednem miejscu. Verbum *truncare* spotkałem I. 26: »manus et cervices corporaque truncata per campum palpitant« (w krwawej bitwie), *truncare* bowiem znaczy nietylko obciąć, ale wogóle okaleczyć. Warto też przytoczyć II. 5: po klęsce poniesionej przez Zbigniewa nad Gopłem: »Igitur Zbignevus in castrum fugiens cum paucissimis liberatus, vitam perdat an membrum aliquod, est incertus. At pater, iuventutis stultitiam non ulciscens, pro vitae membrorumque salute quaesita, fide concessa, secum illum in Mazoviam transportavit, eumque carcere in castro Sethei aliquanto tempore maceravit«.

ciągała za sobą śmierć skazanego« — »nie mniej jednak jeżeli się czyta Galla bez u p r z e d z e n i a, jest wrażenie, że kara była tego rodzaju, iż musiała spowodować śmierć« (str. 309—310).

Niechaj czytelnik, który nie zna »Szkiców historycznych XI wieku«, nie myśli przypadkiem, że autor korzystał tu z jakichkolwiek źródeł, znanych albo nieznanych, dla uzupełnienia przytoczonych sześciu słów Galla temi wszystkiemi senzacyjnemi szczegółami. Oprócz znanego faktu translacji, którą nasze średniowieczne roczniki zapisały pod r. 1088,[19] wyczytał wszystkie szczegóły wyłącznie z tych sześciu słów, znajdując jedyną pomoc w dwu niewinnych wyrazach poniewieranego Kadłubka, gdzie powiedziano, że św. Stanisław został zabity *inter infulas* (t. j. w szatach pontyfikalnych).[20]

Godzi się jednak stwierdzić, że »wyrok sądowy« nie jest oryginalnym domysłem autora »Szkiców«; prof. Abraham zastrzegł sobie wyraźnie pierwszeństwo pod tym względem.[21] I rzeczywi-

---

19. Wojciechowski odrzuca tę datę (str. 340): »to prosty błąd, bo w tym roku panował jeszcze w Krakowie Mieszko III, syn Bolesława, więc ani mogło być mowy o jakiemkolwiek sławieniu pamięci biskupa-zdrajcy«. Mniejsza o datę; co jednak niezmiernie charakterystyczne, to argumentacja, obalająca datę, która jest zapisana w rocznikach, a opiera się niezawodnie na współczesnych zapiskach. Źródła bowiem nic nie wiedzą o panowaniu Mieszka III w Krakowie; to znów tylko d o m y s ł Wojciechowskiego, nic jak domysł, o którym dałoby się wiele dyskutować; ob. niżej w III rozdz. Przed takiemi jednak domysłami muszą ustępować najautentyczniejsze teksty źródeł, muszą ustępować zapisane w nich daty chronologiczne.

20. Co sądzić o tej interpretacji (która dorównywa chyba tłumaczeniu *christianus* = pomazaniec), wykazał najdowodniej prof. Miodoński (wyżej str. 53—54). Sądzę, że prof. Abraham, po przeczytaniu tych uwag prof. Miodońskiego, nie powtórzyłby wyrzeczonego przed pięciu laty zdania: »Miejsce sądu uważam jako bardzo trafnie oznaczone«. Trudno istotnie pojąć, do jakiego stopnia niepospolici uczeni mogą zahypnotyzować się czarem własnych domysłów i kombinacyj. Jedyne na to antidotum: większe poszanowanie źródeł historycznych, ich tekstu, tego co w nich znajduje się r z e c z y w i ś c i e.

21. Kwartalnik historyczny XVIII (1904) str. 574. Czytelnik wybaczy mi tę próżność, że poszczycę się uczniem, który zajął w polskiej nauce tak wybitne stanowisko, a przez dwa lata (1882—1884) należał do najgorliwszych członków mojego seminarjum historycznego. Niech mi też wolno będzie stwierdzić, że od tego czasu łączy nas wypróbowana przyjaźń, której nie zachwieją niezawodnie niniejsze moje uwagi. Nie jako osobisty jednak

ście kto wie, czy Wojciechowski byłby sam wpadł na tak szczególną interpretację przytoczonych słów Galla, gdyby nie uległ suggestji, którą mu poddał podobno ten domysł Abrahama, rzucony mimochodem (r. 1900) w rozprawie p. t. »Początek biskupstwa i kapituły katedralnej w Krakowie«.[22]

Znane są do przesytu »amplifikacje« Długosza. Wyszydzano je długo, nielitościwie, nim ustalił się sprawiedliwszy sąd o pisarzu XV wieku, który miał przed oczyma niedoścignione wzór uwielbianego Liwjusza, a czerpiąc z ubogich kronik i suchych annałów, pragnął roztoczyć pełniejszy, żywszy obraz rodzimej przeszłości. Do tego celu służyły owe osławione »amplifikacje«, rozciągające szeroko chudy tekst źródeł różnemi dodatkami, gdzie Długosz przenosił żywcem tło swego czasu, stosunków i urządzeń XV stulecia. Wyznaję szczerze, że czasami domysły naszych erudytów, piszących o XI wieku, sprawiają na mnie wrażenie »amplifikacyj« Długosza. Tam n. p. »Mieczysław I« wyprawia poselstwo do Pragi, z prośbą o rękę księżniczki »Dąbrówki«; liczne zgro-

przyjaciel, ale jako historyk, biorący udział w tej dyskusji, mam sobie za obowiązek wyrazić głębokie ubolewanie z powodu jednego niepożądanego zgrzytu w całym jej toku, a mianowicie w samem jej zagajeniu, gdzie wspomniano o recenzji prof. Abrahama, bez wymienienia jego nazwiska. (Zagajenie to opuszczamy w niniejszem wydaniu. *Wyd.*). Polemika, choćby najosrzejsza co do rzeczy, może obejść się bez uwłaczających wyrażeń, jakich tam użyto (a do tego w zarzucie pozbawionym wszelkiego uzasadnienia), zwłaszcza jeżeli chodzi o uczonego tej miary. Co do samego zarzutu, który tam wyrażono w tak ostry sposób, to odparł go zupełnie prof. Abraham w Kwart. hist. z r. b. str. 298. Warto wreszcie z wymienionej recenzji przytoczyć dwa zdania: Prof. Abraham, jakkolwiek olśniony rzekomą »hipotezą« prof. Wojciechowskiego o św. Stanisławie, oświadcza wyraźnie: »jeszcze nie pozbyłem się wątpliwości, czy Gallus, piszący na dworze Krzywoustego, mógłby użyć o biskupie słowa *traditor*, gdyby się nazywało, że biskup zginął jako otwarty stronnik ojca Krzywoustego«. Ośmieliłbym się nazwać to słuszną, uzasadnioną apelacją od wyroku zabłąkanej na manowce, erudycyjnej pomysłowości, do werdyktu »chłopskiego rozumu«. Dalej zaś objawia prof. Abraham swoją opinję o całej sprawie św. Stanisława w następujących słowach: »Tyle o fakcie zabicia; inna rzecz, czy nie był to człowiek szczególnie czystego życia, bo fakt ten, jak i Gallus podaje, wielce Bolesławowi zaszkodził« i t. d. — *For Brutus is an honourable man...*

22. Rocznik krakowski IV. 192; poprzednio już ten sam domysł zaznaczony zlekka w dziele prof. Abrahama: Organizacja Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. 2-gie wydanie (Lwów 1892), str. 130.

madzenie senatu naradza się nad warunkami, z któremi posłowie wrócili; wahają się *proceres,* czy Polska ma przyjąć wiarę chrześcijańską (jakby radzili za Jagiełły nad przymierzem z Husytami); zdania podzielone, rzecz odłożona do jutra, wreszcie zapada jednomyślna uchwała i t. p. Długoszowi wydawało się w najlepszej wierze, że inaczej n i e m o g ł o b y ć; nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby gromadził stosy samych niemożliwości... Dziś czyta się w kronice Galla *pro traditione;* w byle jakim podręcznym słowniku *traditio* = zdrada. Następuje po tem *truncationi membrorum adhibuit.* Niejedna książka o średniowiecznem prawie karnem, w rozdziale, gdzie są wyliczone »kary cielesne« (np. pod *VIII, 2, B* albo pod *IV, § 5, A)* wymienia najwyraźniej *truncatio membrorum,* obcięcie członków. Był więc karygodny czyn (zdrada), była kara t. j. »egzekucja«; pomiędzy te dwa ogniwa wsuwa się domyślne ogniwa: proces i wyrok sądowy, a przy dalszym rozpędzie wyobraźni, inne nawet jeszcze, niemniej interesujące szczegóły. »Stanisław wpadł w ręce królewskie pierwej, zanim Wratysław i Herman zdobyli stolicę, a mogło to być podczas bitwy, bo ówcześni biskupi stawali konno do boju«[23] (l. c. str. 279). To już »amplifikacja« na tle stosunków XI wieku. Nie można tego powiedzieć o następującej (l. c. str. 273): »Skoro egzekucja odbyła się w pierwszej połowie kwietnia, a na schwycenie i proces można odłożyć marzec,[24] przedtem zaś miała miejsce owa akcja biskupa, bliżej nieznana, wedle Galla zdradziecka, więc trzeba zrozumieć, że bunt przeciw Bolesławowi zaczął się jeszcze w zimie z roku 1078 na 1079, a przygotowanie, t. j. robota spiskowa, musiała być w roku 1078«. Wszystko to wyczytano z przytoczonych tyle razy paru słów Galla: (Boleslavus) »pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit; neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. T y l k o z t y c h s ł ó w; czyż to nie przypomina Długosza?

---

23. Co sądzić o tej fikcyjnej wojnie, w której czeski Wratysław miał pomagać zbuntowanemu Władysławowi Hermanowi, ob. II rozdz. niniejszej pracy; w źródłach, czyto współczesnych, czy też późniejszych, niema naturalnie ani słowa o tem wszystkiem, t. j. ani o buncie Władysława Hermana ani też o rzekomej wojnie r. 1079.

24. W granicach tej fikcyjnej chronologji mogłoby pomieścić się jeszcze nawet i zażalenie nieważności i jego odrzucenie i zatwierdzenie wyroku przez Bolesława Śmiałego.

Wszak i on wprowadzał niekiedy do swoich »amplifikacyj« jakiś archaistyczny rys, np. strącenie bałwanów po uchwale senatu w sprawie przyjęcia chrześcijaństwa.

Jedno nazywa się w fachowej terminologji »amplifikacją«, drugie »ściśle naukową hipotezą«, »ostatnim wyrazem nauki«, albo nawet czemś więcej. Wszak wydrukowano najwyraźniej, w fachowem, historycznem czasopiśmie, o domysłach Wojciechowskiego w kwestji św. Stanisława, zdumiewający, patetyczny werdykt: *Scientia locuta, causa finita!*

Na szczęście, takim uczonym, jak Wojciechowski albo Abraham, rzadko można zarzucić »amplifikacje«, łatwo natomiast z ich rozmaitych prac wydobyć ścisłe określenie, co wolno nazwać »hipotezą naukową« lub przynajmniej bystrą kombinacją, która istotnie wzbogaca naukę i naprzód ją posuwa? Wszystko, gdzie intuicja historyczna z suchych, lakonicznych tekstów źródłowych wydobywa wnioski, oparte na gruntownej znajomości jej odrębnych urządzeń, stosunków, obyczajów, szczegółów kulturalnych, na analogji, na wnioskach wstecznych i t. p. Ileż to razy w świetle tego rodzaju bystrych kombinacyj, niejeden małomowny albo pozornie niemy tekst kronikarski przemówił niespodzianie tak żywo i wymownie, że naraz na całej linji, i wstecz i naprzód, rozjaśnił się mętny wątek obojętnych lub nawet niezrozumiałych faktów. I czy hipoteza tego rodzaju utrzyma się w nauce, czy obali ją inna, jeszcze bystrzejsza lub obfitszym posługująca się aparatem badawczym — czy można jej przyznać znamiona względnej pewności czy tylko przybliżonego prawdopodobieństwa: zawsze jest w niej rzetelna dla nauki zdobycz, daje bowiem uświadomienie, co mogło być (jeżeli nie było rzeczywiście) w X, XI czy w XII stuleciu.

Tu niema tego. »Proces« św. Stanisława, »wyrok sądowy«, wydany opodal kościoła św. Michała na Wawelu i »egzekucja« na temże samem miejscu: to istotnie domysły w rodzaju »amplifikacyj« Długosza; niema w nich nic wspólnego z tłem historycznem XI wieku. Taki przebieg katastrofy r. 1079, jak Wojciechowski go skonstruował z samych najdowolniejszych domysłów, to byłoby przecież *unicum* w epoce, gdzie nie brakło ani królów z temperamentem Bolesława Śmiałego, dbałych o tron i o powagę majestatu, ani też *episcopi-traditores* nie byli wcale nadzwyczajną

rzadkością.[25] Domysłów tych nie popiera żaden fakt (nietylko naszych nieznanych dokładniej) dziejów tego czasu, żaden konkretny szczegół z dziejów sąsiednich czy odleglejszych krajów o bogatszej historjografji, która pozwala wejrzeć drobiazgowo w barwny wątek wydarzeń, śledzić często ich przebieg niemal z dnia na dzień. Obok męczeństwa św. Stanisława znany jest tylko jeden podobny fakt z tej epoki, o 100 lat późniejszy, odsłaniający się w współczesnych źródłach z licznemi szczegółami: śmierć św. Tomasza Becketa.[26] Tam też chodziło przecież o zbrodnię stanu, o *crimen laesae majestatis;* w Anglji r. 1170 nie było chyba mniej legalności aniżeli w Polsce r. 1079. Obeszło się tam jednak bez sądowego wyroku; zausznicy Henryka II byli domyślni, zrozumieli półsłówka rozgniewanego króla i zamordowali arcybiskupa, w kościele, przy ołtarzu.

Kto nie zna naszych źródeł średniowiecznych, mógłby pomylić się łatwo w ocenie tych domysłów. Czytając »Szkice historyczne XI wieku«, mógłby przypadkiem mniemać, że my wogóle wiemy cośkolwiek o polskiem prawie karnem tej epoki, o przewodzie sądowym i o warunkach, w jakich toczyły się u nas wówczas »polityczne procesy«, bo materjału do tych procesów nie brakło nigdy w tych czasach. Nic nie wiemy, nic a nic; skąpe zaś błyski światła, które pod tym względem migają dopiero w źródłach XIII stulecia, nie upoważniają nas zgoła do przypuszczenia, żeby ze zbrodniarzami stanu robiono w tej odległej epoce tyle

---

25. Por. l. c. str. 280.

26. Zabójstwo Tomasza Becketa rozległo się donośnym odgłosem po całym świecie chrześcijańskim, wskutek kanonizacji zamordowanego arcybiskupa, orzeczonej w 2 lata po jego śmierci przez Aleksandra III. Jeden to z wyjątkowych faktów obcej historji, który znalazł natychmiast miejsce w naszych najstarszych annalistycznych zapiskach, niezawodnie bezpośrednio po wydarzeniu. Kadłubek, pisząc w jakie 25 lat potem, wzorował podobno na przebiegu tego głośnego faktu swój opis zamordowania św. Stanisława. Z wyrażeń Galla (truncatio membrorum, regem vindicantem sic se turpiter) można jedynie wnosić, że męczeństwo św. Stanisława było o wiele okrutniejsze. Bo też Henrykowi II chodziło nie tyle o zemstę co o sprzątnięcie dawnego faworyta a niebezpiecznego przeciwnika. Możeby ktoś zapytał: Dlaczego męczeństwo św. Stanisława przeszło niepostrzeżenie w współczesnym świecie chrześcijańskim? Odpowiedź gotowa w pierwszym rozdziale kroniki Galla (I. 1): »quia regio Polonorum ab itineribus peregrinorum est remota et nisi transeuntibus in Russiam pro mercimonio paucis nota«.

ceremonij, jak to przedstawia prof. Wojciechowski w opisie »faktum biskupa Stanisława«. Hube, w książce o prawie polskiem XVIII wieku, pomieścił wszystko, co znalazł o tym przedmiocie, w krótkim ustępie o 19 wierszach, i to w rozdziale, który nie darmo zatytułował: »Kary arbitralne książęce, kary cielesne«.[27] Gdyby Gallus nie był napisał ani słowa o »wstrętnej zemście króla«, trzebaby widzieć w fakcie zabójstwa św. Stanisława to samo, co w nim każdy ujrzy, czytając Galla bez uprzedzenia: okrutny, arbitralny akt monarszej wszechwładzy, bez sądowego procesu i wyroku. Miecz katowski nie próżnował w tych czasach, tylko na biskupów nie spadał. Za Chrobrego, łagodna królowa nieraz w tajemnicy przed mężem wydzierała katom skazanych na śmierć wielmożów i w więzieniu ich ukrywała, czekając ułagodzenia królewskiego gniewu. Może ktoś także zechce sobie wyobrażać, że wyroki, wydane na tych skazańców, za każdym razem poprzedzał również formalny proces, trwający kilka tygodni.[28]

Nie bez przyczyny rozwiodłem się tak szeroko o tych nowoczesnych »amplifikacjach«. Z domysłami Długosza mają one trzy wspólne cechy: 1) dobrą wiarę autorów, o niej bowiem nie można wątpić; 2) brak wszelkich źródłowych podstaw; 3) anachronistyczne zabarwienie. Nie są natomiast tak niewinne, choć jeszcze raz powtarzam, że nie myślę tu zgoła o jakiejkolwiek świadomej tendencji. Kto czytał w XV wieku o naradach senatu za »Mieczysława I«, dziwił się może tylko budującej jednomyślności, z jaką zapadła ostateczna uchwała w sprawie przyjęcia chrześcijańskiej wiary. Tu co innego. Pojęcie legalności w fikcyjnym »procesie« św. Stanisława i w »egzekucji«, opisanej z tak niebywałą lokalną dokładnością (niczem Samuel Zborowski!) — wszystko to zohydza w oczach czytelnika »zdrajcę«, »skazańca«, »egzekuta«. To pewne. Niemniej i to, że firma Wojciechowskiego, tak zasłużona i przez nikogo nie zaczepiana, nadaje nowożytnym jego »amplifikacjom« rzekomą cechę naukowych zdobyczy. Czekać tylko, jak ten »ostatni wyraz nauki« przejdzie w triumfalnym

27. Hube: Prawo polskie w wieku trzynastym, str. 164, 165.

28. Ob. malowniczą opowieść Galla I. 13. Słowa przejednanego Bolesława Chrobrego, po ułaskawieniu skazańców, możnaby niemal zastosować do niejednej źródłowej pracy o św. Stanisławie: »Vos tanta, vos tali prosapia exortos talia committere non decebat«.

pochodzie do podręczników, w postaci udowodnionych faktów. *Scientia locuta, causa finita.*

Jeżeli kto zaś, to właśnie Wojciechowski powinien był zachować trzeźwą oględność w interpretacji tych 50 wyrazów Galla, z których dowolnie tyle wyczytał — on właśnie, tej kroniki nieporównany znawca, doskonały jej sędzia, jasno rozpoznający jej właściwości, i w tem nawet, co się tyczy 27 rozdziału I księgi. Powszechna na to zgoda, że nadworny kapelan Krzywoustego ukrył w tem miejscu sąd swój o tak drażliwym fakcie za floskułami stylu o elastycznym sensie, które i w jego czasach czytelnik mógł rozmaicie tłumaczyć. O to mu właśnie chodziło. »Pisać całą prawdę — mówi słusznie Wojciechowski (l. c. str. 255), jakkolwiek w odwrotnym sensie — znaczyłoby dla Galla narazić na stracenie, jeżeli nie głowę, to przynajmniej kronikę«. Może być. Dodam tylko, że Gallus nie poczuwał się nawet do obowiązku przedstawić rzecz dokładnie i jasno, jak ją znał niezawodnie, jak znali ją również wszyscy, dla których pisał ten przybysz z obcych krajów, nieobojętny na smak »polskiego chleba« (III. epist.). Wszak celem jego było przekazać potomności przesławne czyny swojego pana, Bolesława Krzywoustego, i poprzedzić rzecz krótkim wstępem o równie chwalebnych czynach jego przodków, dawniejszych tej ziemi panów. Co do zabójstwa św. Stanisława, nie mógł pominąć tak drażliwego, współczesnego faktu, musiał bowiem jakkolwiekbądź zakończyć krótkie w s p o m n i e n i e o Bolesławie Śmiałym (n i e historję Śmiałego), aby wreszcie rozpocząć właściwy przedmiot dzieła, od urodzenia i młodości Krzywoustego za rządów ojca — musiał Hermana wprowadzić na widownię. A bezpieczniej było nie rozpisywać się o buncie, który wypędził z kraju potężnego króla, stryja Krzywoustego. Wybrnął z tych trudności za pomocą paru enigmatycznych frazesów o brzmieniu delfickiej wyroczni; dość było dla celu Galla, że w pierwszym z nich i w ostatnim znalazło się miejsce na stwierdzenie jedynego jasno określonego faktu, o który mu chodziło, a to właśnie w wyrazach, mających usprawiedliwić tak pobieżne traktowanie przedmiotu: »Qualiter autem rex Boleslavus de Polonia sit eiectus, longum existit enarrare... sed hoc in medio deseramus, et, ut in Ungaria receptus fuerit, disseramus«. Pomiędzy te dwa zdania wplótł trzy krótkie frazesy o katastrofie św. Stanisława, istny

wzór wykrętnych okólników; *ars dictandi* miała w nim zręcznego przedstawiciela.[29]

Niema się czemu dziwić. Gallus istotnie ani na tyle honoru nie zasłużył, ani na tyle potępienia, ile doznał jednego i drugiego, to od »zelantów«, jak mówi Wojciechowski, to od dzisiejszych wrogów św. Stanisława. Z tem wszystkiem, żeby »miał odwagę pisać prawdę« (l. c. str. 256), to już, co najmniej, wielka przesada, jeśli nie prosty *lapsus calami*. Śmieszna rzecz gorszyć się pochlebstwami Galla, ale nie wypada też zapominać, co pisze o pobudkach swej pracy literackiej: »ut aliquem fructum mei laboris reportarem« (III. epist.); wiedział zresztą, ile mogli mu zaszkodzić *invidiosi detractores* (I. epist.), gdyby zdarzyło się popełnić jakąś niezręczność. Anachronizmem byłoby, w nadwornego historjografa XII wieku wmawiać cywilną odwagę. A na dworze Krzywoustego byłby to istotnie dowód odwagi, graniczącej z zuchwalstwem, jeśliby Gallus rozwodził się szerzej nad faktami, które wypadało nazwać *traditio* lub *crimen laesae majestatis*. Działo się to przecież po upadku Sieciecha, niedługo przed katastrofą Skarbimira; jeden i drugi palatyn, »powalony lew«, miał

29. Co do stylizacji tego frazesu, por. trafne uwagi Miodońskiego, wyżej str. 69 n. Analogja ze stylizacją ustępu o oślepieniu Zbigniewa (III. 25) jest bezwątpienia bardzo pouczająca. Jedno tylko należy dodać. Zadanie Galla w III. 25 było z wielu względów łatwiejsze. Chodziło wprawdzie o straszne okrucieństwo samego Krzywoustego; tego czynu jednak nadworny historjograf nietylko nie potrzebował bronić, przeciwnie miał nawet obowiązek go potępić, skoro Krzywousty odprawił publiczną, manifestacyjną pokutę i sam przez to napiętnował całą ohydę czynu. Chodziło tylko o podkreślenie wartości tej pokuty i — o m o t y w a samego czynu. Kozmas, dobrze świadomy rzeczy, zarzuca wprost Krzywoustemu, że podstępnie zwabił do siebie brata, udając chęć pogodzenia się, a miał zgóry ułożony plan, pojmać go i oślepić. Taka była opinja w Czechach; że i w Polsce tak mówiono, widać jasno z samego tekstu Galla. Rola nadwornego historjografa polegała tu więc na oczyszczeniu swojego pana z tego zarzutu. Gallus spełnił to zadanie z prawdziwym artyzmem; zwalił całą winę na arogancję Zbigniewa, na obawy, wynikające z jego »wyzywającego« postępowania i na niefortunne jakoby rady »mędrców«, którzy namówili Krzywoustego, żeby brata oślepił. Im więcej Gallus potrafił zachować tu pozorów bezstronności, tem większego dowiódł artyzmu: »Quid ergo? Accusamus Zbignevum et excusamus Boleslavum? Nequaquam!« Mając to w pamięci, trzeba stwierdzić, że w swojej pozycji nie mógł nic więcej powiedzieć na korzyść św. Stanisława, jak, że podkreślił wstrętną zemstę króla, dodając dla bezpieczeństwa: »neque traditorem episcopum excusamus«.

mnogą klientelę i możnych krewnych, przed którymi, w następnem pokoleniu, uginali się już synowie Krzywoustego.

O »machinacjach Sieciecha nie mógł zamilczeć, na ich tle bowiem uwydatniała się chwalebna dzielność młodocianego bohatera kroniki. Ile możności, zbywał je podobnemi ogólnikami, jak w ustępie o św. Stanisławie, nie wchodząc w żadne szczegóły co do działań samego Sieciecha, któremu jednak nie oszczędził zarzutu, że zmierzał do wytępienia Piastowskiej dynastji« (II. 16).[30] »Sed quid tam diu finalem causam Zethei factionis prolongamus; si labores singulos in dissensione Zethei describamus, gesta Zethei procul dubio Iugurtino volumini coaequamus *(sic)*... Qualiter autem hoc contigerit vel qualiter (Zetheus) de exilio redierit, prolixum et taediosum est edocere... Hactenus de Zetheo et regina dixisse sufficiat«...

Drugi fakt, wiążący się z imieniem następcy Sieciecha, nie znalazł już miejsca w kronice Galla: uwięzienie i oślepienie bohaterskiego wojewody, którego wojenne przewagi wypełniają niejedną kartę dzieła — »egzekucja«, w ścisłem znaczeniu tego słowa, i to, co musiało poprzedzić katastrofę r. 1118:[31] bunt Skarbimira — *traditio*. Słuszny zresztą domysł Wojciechowskiego, że nagłe, raptowne urwanie kroniki nie jest może bez związku z tą ka-

---

30. Może ten zarzut nie uchodził za rzecz uwłaczającą pamięci Sieciecha wśród jego klienteli, a zwłaszcza w rodzie Starżów, którego głową był potężny palatyn. Nie uwłaczała mu też zapewne dyskretna wzmianka o »królowej«, a na dworze Krzywoustego nie trzeba było chyba oszczędzać pamięci jego macochy (wdowy po węgierskim królu Salomonie), która nastawała na życie pasierba. Por. Smolka: Szkice historyczne II, 26 n. Trudno było natomiast pisać szczegółowo o akcji Sieciecha, bez narażenia się możnym jego krewnym, a wreszcie wogóle bez wystawienia się na zarzuty, które łatwo mogli pochwycić i wyzyskać *invidiosi detractores*. O »królowej« jest zresztą jedyna wzmianka w tych słowach: *de Zetheo et regina*.

31. Datę buntu i oślepienia Skarbimira 1118 podaje najstarszy tekst rocznikarski, kończący się na r. 1122 i wówczas przepisany; w późniejszych zwodach data o rok wcześniejsza (M. P. H. 774, 797, 832); odosobniona data rocznika Sędziwoja (1113) polega widocznie na omyłce, wskutek wypuszczenia V (tamże 874). Ostatnie wydarzenia, opisane w III księdze Galla, nie sięgają po za rok 1113. Pomiędzy ukończeniem II a rozpoczęciem III księgi upłynął jednak pewien czas, II księgę zaś wykończył Gallus nie rychlej jak w r. 1112. Por. przedmowę do wydania Finkla i St. Kętrzyńskiego, str. XI.

tastrofą (l. c. str. 297), bardzo to bowiem prawdopodobne, że przez kanclerza Michała bliższe jakieś stosunki łączyły Galla z potężnym wojewodą, którego możnaby nazwać, obok Krzywoustego, drugim i drugorzędnym bohaterem kroniki.

Czy między Sieciechem a Skarbimirem nie było podobnych faktów, choć nie nabrały tak szerokiego rozgłosu? W kronice Galla nie brak przejrzystych aluzyj. Umierającemu Chrobremu kładzie w usta prorocze ostrzeżenie: »Utinam ignem seditionis accedentes Deum et hominem vereantur!« (I. 16). Pisząc o zamieszkach za młodych lat Kazimierza Odnowiciela, odzywa się wprost ze znaczącą przestrogą: »Haec autem dixisse de Poloniae destructione sufficiat, et eis, qui dominis naturalibus fidem non servarerunt, ad correctionem proficiat« (I. 19).[32] Przybysz wygna-

32. Oto zakończenie panegiryku na cześć Krzywoustego we wstępie do III księgi: »Nam in hostes triumphator exsistit mirificus, erga cunctos cum honore dator est magnificus. Ungarorum rex per eum consistit pacificus. Non est tempus, quanta fecit, enarrandi singula, quae noverunt, qui senserunt carceres et vincula. Nos ad laudes, non ad fraudes damus his munuscula«. Znaczy to, że Gallus chce opisywać bohaterskie czyny swojego pana, jego wojny, zwycięstwa, nie zaś przeprawy z własnymi poddanymi, których uwięził i zakuwał w żelaza. Dlatego też bogate w szczegóły opowiadanie Galla o pierwszych 10 latach rządów Krzywoustego daje barwny lecz jednostronny obraz zwycięskich wojen z Pomorzanami i Czechami, z epizodami zdradzieckich knowań Zbigniewa, starszego przyrodniego brata, lecz bez żadnej wzmianki o wewnętrznych przeprawach, które także niemało zaprzątały energicznego księcia, wstępującego w ślady swego imiennika i stryja. Widać to tylko z przytoczonych półsłówek. Warto w tym względzie zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, której dotąd nie zaznaczono w dość obfitej już literaturze o Gallu, o ile pamiętam. Cała opowieść Galla o Chrobrym sprawia na mnie wrażenie pewnego rodzaju Cyropedji; ma na celu nakreślić godny naśladowania wzór znakomitego monarchy. Gallus i mógł zasięgnąć o tak niedawnych czasach więcej pozytywnych wiadomości od swoich informatorów, i stać go było na więcej pragmatyzmu, jak to widać z opisu współczesnych zdarzeń, o ile nie czuje się krępowanym rolą nadwornego historjografa. To jednak, co pisze o Chrobrym, zakrawa często na dyskretną, delikatną krytykę postępowania jego własnego bohatera, dla którego nie ma dość słów podziwu, ale tylko gdy opowiada o męstwie, o wojennych czynach Krzywoustego i t. p. Warto pod tym kątem widzenia rozpatrzeć dokładnie I. 9, 11—16, zwłaszcza zaś takie miejsca przytoczonych rozdziałów, gdzie Gallus rozwodzi się raczej nad tem, czego Chrobry nie robił, aniżeli nad tem, co robił, np. »nec libenter in tentoriis, sicut Numida, sed in civitatibus et castris frequentius habitabat« (I. 12) i t. p.

niec, *exsul et peregrinus*, który znalazł przytułek na dworze Piastów, był między młotem a kowadłem, gdy przyszło mu dotykać tak drażliwych przedmiotów, więcej zaś, niż kiedykolwiek, gdy chodziło o zatarg biskupa z królem. We wstępie do trzeciej księgi określił jasno swoje wyznanie wiary: »Oportet enim Dei ministros in his, quae Dei sunt, Deo spiritualiter oboedire, et in his, quae sunt Caesaris, honorem et servitium mundi principibus exhibere«.

Może te słowa upoważniają do wniosku, że w katastrofie r. 1079 chodziło tylko o rzeczy polityczne, jeżeli Gallus wyrzekł wiadome słowa: »Neque traditorem episcopum excusamus«...?

Św. Stanisław był wyjątkową postacią w ówczesnym polskim episkopacie — nie cudzoziemiec, nie przybysz z obcych krajów, ale potomek jednego z tych swojskich rodów, z pośród których przeciwko Piastom powtawali raz po raz przeróżni *traditores*. Nie idzie zatem, żeby zatarg biskupa z królem był sam przez się wyrazem takich zapędów, które Sieciech wygnaniem odpokutował, Skarbimir oślepieniem. To jednak bądź co bądź pewne, że po męczeństwie św. Stanisława wygnano króla z kraju. Panowie typu Sieciecha i Skarbimira poczuli po pierwszy raz swoją siłę; widzieli, że nawet takiego króla, jakim był Śmiały, można pozbyć się, można zrzucić go z tronu, jeśli żelazna ręka nadto zacięży. To przyczyna, dla której na dworze Krzywoustego bezpieczniej było nie mówić o św. Stanisławie. Nie przestawano zaś o nim mówić, i za czasów Galla i później, a to nietylko w związku z rosnącym kultem biskupa-męczennika.[33]

Znacząca jest następująca pochwała Chrobrego, pod tym kątem widzenia: »Duces vero suosque comites ac principes acsi fratres vel filios diligebat, eosque, salva reverentia, sicut sapiens dominus, honorabat; conquerentibus enim super illis inconsulte non credebat, contra legem condemnatis iudicium misericordia temperabat« (I. 13) i t. p. Nie brak też pouczenia, jak książę powinien zachowywać się wobec biskupów i duchowieństwa: »Episcopos quippe suosque capellanos in tanta veneratione retinebat, quod eis astantibus sedere non praesumebat« i t. d. (I. 9). Po śmierci Chrobrego »aetas aurea in plumbeam est conversa« (I. 16). Czytelnik może sobie w duszy dośpiewać, że znów powróciłby złoty wiek, gdyby praprawnuk naśladował w tem wszystkiem prapradziada. Trzeba to mieć w pamięci przy interpretacji enigmatycznych półsłówek Galla.

33. Świadczy o tem ustęp Kadłubka, odpierający oszczerstwa, które — jak on sam twierdził — jeszcze za jego czasów powtarzano o św. Stanisławie (M. P. H. II. 298—299). Nie jest to, jak wydawało się Wojcie-

Umyślnie zatem Gallus zaciemnił krótki ustęp o katastrofie r. 1079.[34] Wszystko, co o niej przekazał potomności, to razem 67 słów, a w ich liczbie 17 służy wyłącznie do usprawiedliwienia autora, że tak pobieżnie z tą rzeczą się załatwia. Dla sumiennej, nieuprzedzonej krytyki historycznej wymowna przestroga, żeby na takim tekście nie budować »hipotez«. Nie znalazła posłuchu, nie bez uszczerbku dla powagi naukowych dociekań. Cóż ścisła,

---

chowskiemu, polemika Kadłubka z Gallem, ubrana w formę rzekomej rozmowy Bolesława Śmiałego z węgierskim królem Władysławem (l. c. str. 279), ponieważ Kadłubek żadnego z przytoczonych zarzutów u Galla nie wyczytał. Chyba jeden można odnieść do Galla, jako amplifikację jego chudego tekstu: »illum astruit proditionis originem, totius mali radicem«. Kadłubek twierdzi jednak wyraźnie, że wskutek oszczerstw Bolesława, król-zabójca »non modo non sacrilegus, sed sacerrimus sacrilegiorum ultor apud nonnullos censeretur«. Niema powodu uważać *nonnullos* za stylistyczny floskuł Kadłubka, bo jego tendencji takie stwierdzenie odzywającej się jeszcze w jego czasach opinji bynajmniej nie dogadzało. Nie przypuszczam, żeby Kadłubek wzmiankowane oszczerstwa, po części ohydne, wyczytał w jakiemkolwiek piśmie. Można zaś wiele przypisywać jego zamiłowaniu w krasomówczym bombaście, do tego jednak stopnia nie posunąłby chyba upodobania w grze wyrazów, żeby dla niej sam wymyślał wstrętne urągania, uwłaczające czci św. Stanisława, które go oburzają. Mniemałbym raczej, że to odgłos jakiejś dysputy z podobnym do niego, niemniej wyszkolonym krasomówcą, który w jego czasach potępiał »biskupa-przeniewiercę«, oddając hołd pamięci mściwego króla. Nie dziwiłoby mnie bynajmniej, gdyby np. w otoczeniu Mieszka Starego, w kole jego duchownych popleczników, znalazł się taki wymowny poprzednik dzisiejszych nieprzyjaciół św. Stanisława. Była to rzecz zasad, w pełnem tego słowa znaczeniu, a zasady te ścierały się ostro w drugiej połowie XII wieku, tem ostrzej, im więcej miało się ku zupełnej przegranej starego porządku rzeczy: pierwiastku nieograniczonej władzy książęcej.

34. Data znana z suchych annalistycznych zapisek, które nie podają nic o przebiegu samego faktu. W najdawniejszym roczniku niema żadnej wzmianki ani o śmierci św. Stanisława, ani o wygnaniu Bolesława Śmiałego. Rocznik ten ma wybitny charakter zapisek annalistycznych, spisywanych na dworze książęcym; pod r. 1077 zapisuje: *Boleslaus secundus coronatus est;* bezpośrednio potem pod r. 1082: *Boleslaus secundus rex obiit* (Mon. Pol. hist. II. 773). Następny z kolei co do czasu rocznik kapitulny krakowski znamy jedynie w tej postaci, jaką mu nadano po kanonizacji św. Stanisława; tam też znajdujemy pod r. 1079 obszerny opis męczeństwa św. Stanisława, o wybitnie legendarnych rysach. Data jednak przejęta jest niezawodnie z dawnych, zaginionych annałów krakowskiej katedry; dlatego też nie kwestjonował jej nikt z najbardziej stanowczych przeciwników późniejszej tradycji o św. Stanisławie.

przedmiotowa krytyka historyczna może wydobyć z 50 słów Galla, jeśli stoi istotnie na gruncie jego tekstu i nie popuszcza wodzów niezdrowej wyobraźni:

1) Bolesław Śmiały został zrzucony z tronu i uszedł do Węgier, wygnany z kraju. Rzecz pewna.

2) Do tego przyczyniło się głównie zabójstwo biskupa, popełnione z wielkiem okrucieństwem; skądinąd (t. j. z późniejszej tradycji, której co do tego szczegółu nikt nie podaje w wątpliwość) wiemy napewno, że tym zabitym biskupem był krakowski biskup Stanisław. Jedno i drugie niewątpliwe fakta.

3) Król wywarł na biskupie zemstę za czyn, o którym Gallus nie chce dokładniej opowiadać, określając go wyrazem *traditio*. W właściwym mu sposobie wyrażania się oznacza to bunt, naruszenie wierności poddanego względem panującego, a w współczesnej łacinie spełnia tę samą funkcję semazjologiczną co *crimen laesae majestatis*.

4) Zatarg biskupa z królem poprzedziły prawdopodobnie jakieś wewnętrzne zaburzenia, o których charakterze i przebiegu nie można nic wywnioskować z zaciemnionego rozmyślnie tekstu Galla; król »zgrzeszył« według niego, karcąc (srogo) »grzechy« swoich poddanych.[35]

Tyle mówi Gallus, ani słowa więcej. Kto odrzuca późniejszą tradycję, widząc w niej jedynie stek tendencyjnych bajek, powinien poprzestać na tem, co rzeczywiście wynika z małomownego tekstu Galla. Inaczej snuje domysły nie z współczesnego źródła, ale jedynie z własnej imaginacji, nadając jej dowolny kierunek, według osobistego upodobania. Dla historji niema tu miejsca, jest dla historycznej powieści; nie godzi się tylko takiej powieści nadawać złudnych pozorów umiejętnego, metodycznego badania. Niema tu nawet pola do hipotezy, w ścisłem znaczeniu, brak bo-

35. Na takiej analizie tekstu Galla (I. 27), uzupełnionej oględnem spożytkowaniem późniejszej o 100—120 lat tradycji, oparłem moje osobiste zapatrywanie na katastrofę Bolesława Śmiałego (Mieszko Stary i jego wiek, Warszawa 1880, str. 174). Dość obfita literatura tego przedmiotu, która narosła w ciągu ubiegłych 30 lat, nie wpłynęła u mnie na zmianę zapatrywania wyrażonego w przytoczonej książce; utwierdziła mnie w niem niniejsza dyskusja w Przeglądzie Powszechnym, zwłaszcza zaś niektóre spostrzeżenia prof. Miodońskiego.

wiem wszelkich warunków, bez których nie może się obejść konstrukcja hipotezy o rzetelnej wartości naukowej. To też wszystkie domysły o przebiegu i o naturze zagadkowego faktu r. 1079, zarówno dawniejsze jak i ostatnie domniemania, nie mają zgoła charakteru hipotez w istotnem tego słowa znaczeniu; są to jedynie mniej lub więcej interesujące fantazje na temat historyczny.[36]

Skąd wyszedł impuls do tych różnorodnych domysłów, to naiwnych, czasem aż śmiesznych, to znowu nieraz olśniewających, zarówno erudycją jak bogactwem fantazji — sprzecznych domysłów, które nawzajem się wykluczają, a jedną tylko mają wspólną cechę: bezprzykładną dowolność w postępowaniu z tekstami źródeł, w interpretacji i kombinacji? Co do Wojciechowskiego, łatwo odszukać jedyne źródło tego impulsu. Zdawało mu się, że trafnie odgadł niezrozumiałe znaczenie kilku słów Galla, jednego krótkiego zdania, którego zawiłości nikt przed nim nie rozwiązał. Rzekome to odkrycie oszołomiło znakomitego badacza. Wziął je za promień światła, który w jego mniemaniu rozjaśnia naraz zagadkę katastrofy Bolesława Śmiałego, jej przyczyn i jej następstw, rozprasza ciemność i wstecz i naprzód. Padł ofiarą złudzenia, które odjęło mu zwykłą trzeźwość sądu, sprowadziło go na manowce naciąganej interpretacji i dowolnych domysłów, nie opartych na żadnem źródle. Działał w najlepszej wierze, niezłomnie przekonany o zupełnej pewności rzekomego odkrycia (l. c. 256). Oparł też na niem zwodniczą rekonstrukcję nieznanej historji kilku lat po upadku Bolesława Śmiałego, co jeszcze silniej utwierdziło go w domniemaniach o »fakcie biskupa Stanisława«, przez złudne wnioskowanie *ab ignotis de ignotis*.

Dlatego niepodobna zakończyć na tej uwadze, którą wypowiadam tak szczerze a tak stanowczo. Rzecz wymaga dłuższego uzasadnienia, aby usunąć wszelkie wątpliwości.

---

36. Faktem to jest przecie, że przed paru laty ukazał się tymczasowy na razie szkic »hipotezy«, jakoby św. Stanisław był Rusinem, i to nie byle jakim, ale poprostu synem św. Włodzimierza, skąd miały naturalnie wynikać rozmaite dalsze, niesłychane odkrycia. Na szczęście skończyło się na tymczasowem zastrzeżeniu pierwszeństwa dla senzacyjnego pomysłu. Po opatentowaniu odkrycia, nie przyszło już do szczegółowego opracowania i »uzasadnienia« tej hipotezy — nie byle czyjej zresztą.

II.

Penny-wise, pound-foolish. Tak nazywają Anglicy nierzadki typ gospodarza, który umie pogodzić drobiazgową oszczędność w groszowych wydatkach z »szalonem« marnotrawstwem w szafowaniu funtami szterlingów. Coś podobnego wydarza się niekiedy i w pracy naukowej, u nas więcej niźli gdziekolwiek: ścisła i drobiazgowa sumienność szczegółowych dociekań obok nieokiełznanej, ryzykownej śmiałości w syntetycznej konstrukcji. Najwybitniejszym przedstawicielem takiego typu był Piekosiński, niepospolity badacz, erudyt, jakich mało w całej rzeczypospolitej naukowej, nie tylko u nas; obdarzony bystrością zdumiewającą — zarazem twórca fantastycznych teoryj, które dla siebie samego konstruował, bo nikt nie wierzył w te twory bujnej imaginacji. Był w tem brak szkoły. Autodydakt w najlepszem znaczeniu tego słowa, posiadł niezwykłą moc pozytywnej wiedzy w zakresie polskiej paleografji, sfragistyki, numizmatyki, w klasyfikacji piśmiennych materjałów i filigranów — wreszcie w heraldyce, na polu, na które z początku wkroczył jako sfragistyk, a później był rzeczywiście pierwszym pionierem umiejętnej uprawy tych zachwaszczonych zagonów. Wśród drobiazgowych dociekań zaostrzył zmysł krytyczny, z natury niepospolity, i własną pracą zdobył doskonałą metodę, która mu wystarczyła w ścisłych, filigranowych badaniach, a wiodła na manowce, ilekroć ich odbiegał, by pomknąć w »dzikie pola« karkołomnych hipotez o szerszem, syntetycznem znaczeniu. Snuł je z tego samego wątku pozytywnych faktów, w którego rozpoznaniu nikt mu nie dorównywał bogactwem wiedzy: z nadzwyczajnego znawstwa polskiej heraldyki, z cennego materjału, który sam przez się nie wystarczał do rozwiązania szerszych zagadnień o pierwotnej budowie polskiego społeczeństwa, ale mógł był posłużyć za doskonałe w tym przedmiocie narzędzie, gdyby niem kierowała trzeźwo przezorna, umiejętna metoda. Wysnuł oryginalne, niezwykłym blaskiem lśniące domysły, do których naginał potem skąpe teksty piśmiennych źródeł, pomiatając nielitościwie naczelnemi przykazaniami krytyki historycznej. Takiemi domysłami bez żadnych źródłowych podstaw wypełnił p r ó ż n i ę przedhistorycznej doby, wiek VIII i IX — bez żadnej szkody, bo w jego wielką, wojskowo zorganizowaną, przedhistoryczną Polskę nikt nie uwierzył. Hipotezy

Piekosińskiego mogły stać się jedynie odstraszającym przykładem zboczenia niepospolitej bystrości i erudycji; były nim też istotnie do pewnego stopnia, nikt bowiem już jego śladem nie próbował bezpłodnych wycieczek w tę ciemnicę, gdzie on zmarnował tyle energji z heraldycznym swym aparatem, jak przed laty Bielowski z filologicznym. Historja wycofała się ze straconego posterunku, odając go lingwistyce i archeologji, w ręce, lepiej bądź co bądź uzbrojone. Nie tylko tam jednak, nie tylko za granicami połowy X wieku, godziłoby się, dla zaszanowania naszych sił naukowych, wypisać ostrzeżenie: *Ignorabimus!* Zbyt często powtarzają się w naszem dziejopisarstwie daremne próby rozwiązania zagadki, gdzie próżnia dla braku źródeł musi próżnią pozostać, i pochłania jedynie, pożera wszelkie zwrócone na nią promienie światła, drogocennego światła, co skierowane gdzieindziej tą samą ręką, rozjaśniłoby wiele ważnych zagadnień naszej przeszłości, żywotnych a zaniedbanych.

Nikt chyba nie pomyśli, że te uwagi stosuję do czcigodnego autora »Szkiców historycznych XI wieku«. Na bogaty dorobek naukowy Wojciechowskiego składają się, co prawda, same studja nad tematami, w których dewinacyjna przenikliwość badacza walczy zwycięsko z ubóstwem źródeł i wydobywa z nich tyle razy, ku powszechnemu zdumieniu, istne klejnoty albo niezbitej prawdy, albo wielkiego prawdopodobieństwa, albo przynajmniej takich »możliwości«, że błysk ich rozświeca mroki, toruje innym drogę do trwalszych naukowych zdobyczy, z pomocą nowo odkrytych źródeł lub nieużytych dawniej środków badania. Bez przesady istotnie i bez zamiłowania w frazeologji metafor, godzi się z klejnotami porównać rezultaty misternych dociekań Wojciechowskiego, prawdziwie drogie kamienie do odbudowy najstarszych naszych dziejów. Począwszy od »Chrobacji«, aż do ostatnich »Szkiców«, mnoży się zasób tych rzetelnych wartości, ilekroć promień rzadkiej przenikliwości i erudycji pada nie w próżnię, ale na skąpe choćby i ułamkowe źródła, zwłaszcza zaś, gdzie w zbiornikach późniejszej tradycji wydziela ziarno prawdy, przez nikogo niedostrzeżone, z plewy, z pyłu, z mizernych naleciałości.

Pierwsze lata po zagadkowej katastrofie r. 1079 — to właśnie taka próżnia, której dla braku źródeł nie wypełnią największe wysiłki dewinacji. Milczy o nich nasz Gallus,[1] milczą

1. Że Gallus milczy, nic w tem niema dziwnego. Wojciechowski tłu-

gdzie nie może być mowy o uszkodzeniu czeskiej kroniki Kozmasa, ponieważ jej opowieść płynie tam barwnie i potoczysto, a przecież niema w niej ani słowa, któreby potwierdzało domysły na postronne źródła, czeskie, niemieckie, ruskie. Wojciechowski przypuszcza, że w kronice Kozmasa z Pragi musi być jakaś luka w tem miejscu, godna pożałowania, inaczej bowiem trudnoby zrozumieć, dlaczego ten wyborny czeski kronikarz, o tyle dokładniejszy od Galla, pominął milczeniem »fakta«, które przenikliwość dzisiejszych polskich badaczy stara się wydobyć na jaw, »fakta« niemniejszej wagi dla Czech jak dla Polski, i to równie

---

maczy to w następujący sposób: »Nie zwrócono uwagi na to, że (Gallus) w dalszym ciągu« (t. j. po wzmiance o »królu« i o »biskupie«) »pominął też milczeniem całą pierwszą połowę panowania Władysława Hermana«... »Mniemam, iż dlatego, że to były dzieje haniebne, których nie dałoby się skoloryzować jakąbądź frazeologją«... (l. c. str. 317, 318). Znów wyrządzono tu Gallowi, mojem zdaniem, i za wiele zaszczytu i za wiele krzywdy. Czyż on tylko »haniebne dzieje« pomijał w swojej kronice, mianowicie przed urodzeniem Krzywoustego? Nie wspomniał przecież ani słowa o tak chwalebnym a bliskim fakcie, jak koronacja Bolesława Śmiałego w r. 1077. Nie wspomniał, ponieważ polityczne znaczenie tego aktu nie przemawiało do wyobraźni Galla; nie było to nic w rodzaju wojennej przewagi. Od urodzenia Krzywoustego rozpoczyna dopiero pragmatyczne mniej więcej opowiadanie o czynach swojego bohatera, właściwy przedmiot całego dzieła, poprzedzony jedynie luźnemi wspomnieniami o głośniejszych czynach dawniejszych władców Polski; por. wyżej P. P. II. 443. Z zupełną świadomością takiego założenia, określa jasno cel swojej pracy we wstępie do III księgi: »Nam (sicut) sancti viri bonis operibus et miraculis celebrantur; ita mundani reges et principes bellis triumphalibus et victoriis sublimantur; et sicut vitas sanctorum et passiones religiosum est in ecclesiis praedicare, ita gloriosum est in scholis vel in palatiis regum ac ducum triumphos vel victorias recitare; et sicut vitae sanctorum vel passiones ad religionem mentes fidelium instruunt in ecclesiis praedicatae, ita militiae vel victoriae regum atque ducum ad virtutem militum animos accendunt in scholis et capitoliis recitatae«... Jeżeli trafne jest domniemanie Wojciechowskiego (l. c. str. 291), że Gallus był wychowawcą Mieszka, syna Bolesława Śmiałego, i z nim przybył do Polski z Węgier, to możnaby uzupełnić ten słuszny domysł dalszemi przypuszczeniami. Może z »mentora« Mieszka został »mentorem« Krzywoustego; wszak i o jego dziecinnych latach umie wiele opowiedzieć i jego czyny stanowią właściwy przedmiot kroniki Galla. Po r. 1112 lub 1113, kiedy rozpoczynał III księgę, najstarszy syn Krzywoustego skończył już właśnie 6 lat; może po Mieszku i Krzywoustym miała przyjść kolej na »mentorstwo« przy trzecim Piastowiczu, ówczesnym następcy tronu. Zrozumiała byłaby w takim razie historja Chrobrego w sensie Cyropedji (P. P. II. 444), zrozumiałe też przytoczone po-

chwalebne dla Czech, jak »haniebne« dla Polski. Przyjmując jednak nawet to przypuszczenie, niewiadomo, co począć z r. 1086. Dziwi to nawet Wojciechowskiego (l. c. str. 330).

Jedyną podstawę hipotezy o bezpośrednich następstwach katastrofy r. 1079, stanowi oryginalna interpretacja 28 rozdziału I księgi Galla, a mianowicie pierwszych słów tego rozdziału, o skażonym niestety tekście, który bez należytej emendacji nie daje dobrego sensu. Nie szczególny to materjał na fundament dalszych domysłów; bez tego zaś fundamentu trudno im będzie się ostać. Jeżeli chodzi o sumienną emendację lub tylko interpretację takiego tekstu (o ile można się obejść bez emendacji), pierwsza rzecz: trzymać na wodzy pokusę subjektywnych przypuszczeń, żeby czegoś nie wtłoczyć, co nie da się usprawiedliwić przedmiotową krytyką tekstu, natomiast zaś popiera czyjś osobisty domysł, nie co do brzmienia tekstu, lecz c o d o r z e c z y, co do dalej sięgających kombinacyj. Aby nie narazić się na to niebezpieczeństwo, pominę tymczasem pięć słów (I, 28), w których tekst rękopisów jest zepsuty lub przynajmniej niezrozumiały, a przetłumaczę zresztą cały rozdział na polskie.[2] Może odsłoni się przez to prawdopodobny związek pomiędzy tem jedynem niezrozumiałem zdaniem, czy też wymagającem koniecznie rekon-

---

wyżej wyrazy *in scholis vel in palatiis regum* (w przeciwieństwie do *in ecclesiis*). Oto rzecz, na którą nie zwrócono dotąd uwagi; nie należy o niej również zapominać przy rozważaniu wykrętnej wzmianki Galla o św. Stanisławie, a mianowicie w związku przytoczonego ustępy z następującem bezpośrednio zdaniem: »Oportet enim Dei ministros in his, quae Dei sunt, Deo spiritualiter oboedire, et in his, quae sunt Caesaris, honorem et servitium mundi principibus exhibere«. Wracając zaś do siedmiu chudych lat 1079—1086, należałoby dziwić się raczej, gdyby Gallus rozpisał się o nich szerzej, gdy te lata nie należały jeszcze do właściwego przedmiotu jego dzieła i nie były zresztą wypełnione żadnemi głośnemi czynami wojennemi. Według założenia jego dzieła, nie miał o nich nic do powiedzenia. Inna rzecz z Kozmasem. Gdyby to były właśnie lata triumfu Wratysława nad Piastami, lata upragnionego odwetu — jak mniema Wojciechowski — dlaczegóżby o nich Kozmas milczał? Jego milczenie jest tu istotnie wymowne. I Kozmas, ze swojego znów stanowiska, nie miał widocznie nic do pisania.

2. Staram się o dosłowny, ile możności, przekład, nie dbając o wszelkie stąd wynikające niepoprawności stylu a nawet i języka; uzupełnienia, dodane dla lepszego uwydatnienia sensu (który mógłby ucierpieć na ściśle dosłownym przekładzie) pomieszczam w nawiasach.

strukcji, a jasnym zupełnie sensem całego zresztą 28 rozdziału, co będzie najlepszą wskazówką do rozwiklania trudności: jak należy interpretować pięć wyrazów o spornem, niepewnem brzmieniu albo znaczeniu.

Bezpośrednio przed rozdziałem, który przytaczamy w przekładzie, znajduje się u Galla znany, po wielekroć już cytowany ustęp: »Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus, sed hoc in medio deseramus, et, ut in Ungaria receptus fuerit, disseramus«.

»Gdy Władysław usłyszał, że Bolesław przybywa, poniekąd cieszy się z przyjaciela, poniekąd pozostaje miejsce na gniew (obok radości); poniekąd cieszy się mianowicie z przyjęcia (że przyjmuje) brata i przyjaciela, lecz... (tu następuje 5 wyrazów skażonego, czy też tylko niezrozumiałego tekstu)... Nie przyjmuje go, jak każdy zwykł przyjmować obcego, czy też gościa albo równy równego, ale jak, według prawa, wasal obowiązany jest przyjmować swojego pana lennego, albo książę króla albo też król Cesarza. Bolesław nazywał Władysława swoim (podwładnym, przez siebie ustanowionym) królem (chyba nie: »królem świń«!), Władysław uznawał, że przez niego królem został (że jemu zawdzięczał królestwo). Ale w Bolesławie jedno (to pierwsze?) należy przypisać próżności, co wielce jego dawniejszej dzielności zaszkodziło (co go zgubiło mimo dzielności, jaką dawniej się odznaczał). Gdy bowiem jako wygnaniec wjeżdżał do obcego królestwa, i gdy (nawet) żaden chłop nie chciał wygnańca słuchać, Władysław, jako mąż pokorny, pospieszał na spotkanie Bolesława i jego nadjeżdżającego (dosł. zbliżającego się) oczekiwał z daleka, zsiadłszy z konia dla okazania mu czci. Przeciwnie zaś Bolesław nie baczył na pokorę dobrotliwego króla, ale podniósł serce do zuchwalstwa zarazę niosącej (zabójczej) pychy. »Tego wychowanka (mojego) ja w Polsce wyhodowałem, ja go na Węgrzech ustanowiłem królem. Nie przystoi, żeby on mnie jako równego sobie uczcił, ale niech mnie siedzącego na koniu ucałuje, jak (wassal) którego z książąt (t. j. swojego pana lennego, lub księcia stojącego nad lennym panem)«. Słysząc to Władysław, zraził się tem cokolwiek, i z drogi zboczył, polecił jednak oddawać mu usługi po całym kraju dość wspaniale. Później zaś w zgodzie i w przyjaźni zeszli się z sobą jak bracia. Węgrzy jednak

silniej (dosł. wyżej) i głębiej zapisali to (sobie) w sercu, czem ściągnął na siebie wielką nienawiść Węgrów, i wskutek tego, jak opowiadają, dosięgła go rychlej ostatnia godzina« (dosł. ostatni dzień).[3]

Może to był jedynie brutalny wyskok szalonej pychy barbarzyńskiego króla, może jednak coś więcej. Ciekawa anegdota dałaby się pojąć, w literalnem znaczeniu, ale z pewnym odcieniem, któryby bezrozumne zuchwalstwo Bolesława przedstawiał w nie tak rażącem świetle. Nie bez znaczenia są podobno przeciwstawione sobie wyrazy *par parem — miles principem* dalej zaś *ut aequalem — ut quemlibet de principibus*. Także *iure debet* wskazuje, że Gallus mówi tu n i e o gościnności, osobistej grzeczności, ale o ścisłym ceremonjale w stosunku wasala do suwerena. Pamiętajmy, że on wyszedł z feudalnego świata i wysłowienie swoje stosował do panujących w nim pojęć. Otóż Bolesław Śmiały nie przybył przecież na Węgry w tym jedynym celu, żeby wyrządzić obelgę królowi, którego przed dwoma laty osadził tam na tronie.[4] Jeśli istotnie domagał się takiego ceremonjału, do

---

3. »Cum audisset Wladislaus Boleslavum advenire, partim gaudet ex amico, partim restat locus irae; partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed... Non eum recipit, velut extraneum vel hospitem vel p a r p a r e m recipere quisque solet, sed quasi m i l e s p r i n c i p e m vel dux regem vel rex Imperatorem recipere iure debet. Boleslavus Wladislavum suum regem apellabat, Wladislaus se per eum regem cognoscebat. In Boleslavo tamen unum ascribendum est vanitati, quod eius pristinae multum obfuit probitati: nam cum regnum alienum fugitivus introiret, cumque nullus rustinorum fugitivo oboediret, obviam ire Boleslavo Wladislavus, ut vir humilis, properabat, eumque propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam exspectabat. At contra Boleslavus humilitatem regis mansueti non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit. Hunc, inquit, alumnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me u t a e q u a l e m venerari, sed equo sedentem u t q u e m l i b e t d e p r i n c i p i b u s osculari. Quod intendens Wladislavus aliquantulum aegre tulit, et ab itinere declinavit, ei tamen servitium per totam terram fieri satis magnifice commendavit. Postea vero concorditer et amicabiliter inter se sicut fratres convenerunt. Ungari tamen illud altius et profundius in corde notaverunt, unde magnam sibi Ungarorum invidiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit«. — *Citius* należy tu zapewne rozumieć: rychlej, niż można było oczekiwać; widoczna aluzja do pogłosek *(ut aiunt)*, że Węgrzy zgładzili Bolesława Śmiałego.

4. Stoimy tu — rozumie się — wyłącznie na gruncie tekstu Galla, nie wchodząc w to zgoła, o ile rzeczywiście interwencja Bolesława Śmiałego

którego pan lenny miał prawo w stosunku do wassala, nie przestałoby to być wielką arogancją w położeniu króla-wygnańca, ale nie byłoby jedynie szczytem bezmyślnej pychy, jak wydaje się dzisiaj z oddalenia 800 lat. Wygnali go buntownicy; jeżeli osadzony przezeń król węgierski był jego wassalem, to nie z samej przyjaźni, z dobroci serca, ale z obowiązku wassalskiej wierności winien był mu dopomóc do poskromienia buntu i odzyskania utraconego tronu.[5] Dlatego też Władysław wybaczył Bolesławowi, powodowany wdzięcznością i przyjaźnią; Węgrzy nie wybaczyli. Władysław gotów był z własnego popędu przyjąć go z ceremonjałem, należącym się zwierzchnikowi; może to była delikatność wobec położenia, w którem znajdował się wygnany król polski; ze względu na to położenie, wszelkie obawy niepożądanych konsekwencyj były zbyteczne. Gdy jednak Bolesław zaakcentował znaczenie tego ceremonjału w tak wyzywający sposób, Władysław usunął się z drogi, na której go oczekiwał, nie bez względu zapewne na własnych poddanych. Później Bolesław zaniechał aroganckich żądań, wskutek czego *postea concorditer et amicabiliter inter se convenerunt.* Na tem tle jednak łatwo zrozumieć śmiertelną urazę Węgrów, którą Bolesław — jak opowiadano — aż przedwczesną śmiercią przypłacił.

Tak czy inaczej, ciekawa anegdota wydobyła Galla z drażliwego położenia. Nie miał ochoty pisać o dalszych losach wygnanego króla, a musiał przecież wspomnieć o jego śmierci, bo należało raz już wprowadzić na widownię Władysława Hermana, następcę Bolesława Śmiałego, ojca Krzywoustego. Wymagało tego całe założenie rozpoczętego dzieła. Zabawił więc czytelnika barwną

---

była jedynym czynnikiem w wyniesieniu Władysława na tron węgierski. Co do Galla zaś, wyraźne brzmienie I. 27 i 28 nie pozostawia żadnej wątpliwości, jak on sobie tę rzecz wyobrażał.

5. Pocałunek *(osculum)* należał do znaczących symbolów feudalnego ceremonjału, o różnorodnem znaczeniu, które zależało właśnie od rodzaju pocałunku, od sposobu, jak go składano. Pomiędzy rozmaitemi znaczeniami tego wyrazu, Du Cange podaje w osobnym artykule: *osculum = nude homagium praestitum cum osculo.* Co do znaczenia pocałunku w ceremonjale, którego Bolesław wymagał, nie może być wątpliwości wobec kontekstu: »Non decet eum me ut aequalem venerari, sed equo sedentem ut quemlibet de principibus osculari«. Jeśli pocałowany miał siedzieć na koniu, a całujący stać pieszo, żądanie staje się wymownem; cf. Du Cange: *osculum manuum, o. pedum, o. genuum.*

anegdotą i utopił w niej mimochodem wzmiankę o zagadkowej śmierci Bolesława.

Niezrozumiałe wyrazy, które opuściliśmy w tłumaczeniu, opiewają w rękopisach: *sed deferre Wladislavo facto dolet inimico*. Można też czytać *fato*. Tak czytają Finkel i St. Kętrzyński; zamiast *deferre* kładą konjekturę *de terrae* (co wymaga tylko zmiany *f* na *t*, ponieważ rękopisy używają zawsze *e* zamiast *ae*); wreszcie poprawiają *Wladislavo* na *Bolezlavi*. Wszystko to daje razem odmienną znacznie od tekstu rękopisów wersję: »de terrae Bolezlavi fato dolet inimico« (boleje nad nieszczęsnym losem ziemi Bolesława, Polski), co byłoby sympatycznym dla nas rysem w żywocie węgierskiego świętego. Nie mogę pogodzić się z taką próbą emendacji, która też wogóle nigdzie nie spotkała się z uznaniem. Za wiele w niej dowolności, nie liczy się zresztą wcale z sensem poprzedniego zdania i następnych. Wszak dwa przeciwstawione sobie zdania (»partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed... dolet inimico«), mają widocznie służyć do objaśnienia dwóch poprzednich, również przeciwstawionych zdań (»partim gaudet ex amico, partim restat locus irae«), co uwydatniono ich połączeniem zapomocą *quidem* — czemu też dalej odpowiada najzupełniej orzeczenie: *dolet*. Cóż zaś znaczy *restat locus irae* w przeciwieństwie do *gaudet ex amico?* Co gniewało Władysława? To niezawodnie, o czem Gallus dalej opowiada szczegółowo — to, co właśnie stanowi przedmiot anegdoty, wypełniającej cały rozdział 28. Pierwszy okres nie jest chyba niczem innem, jak introdukcją do całego rozdziału, wstępem do tej anegdoty. W ten sam sposób Gallus wprowadza po tyle razy nowy przedmiot na początku niejednego rozdziału, zaznaczając niejako zgóry, o czem będzie mowa.[6] Tak też należy pojmować treść pierwszego okresu w 28 rozdziale; zaznaczono tu radość Władysława, że mógł ugościć krewnego i sąsiada, któremu zawdzięczał koronę, a równocześnie gniew i żal, że mu ten

6. Por. na wyrywki poprzednie rozdziały I. 26, I. 25 (od Adnectendum), I. 23 (introdukcja do rzeczy, o których mowa w rozdz. 23—26), oraz zaraz dalej I. 29; przedtem I. 7, I. 9; w dalszym ciągu II. 6, II. 11, II. 16, II. 23, II. 35, II. 36 i t. d. i t. d. Stara to reguła *artis dictandi*, słuszna zresztą, że w każdym ustępie, stanowiącym pewną zaokrągloną całość, powinien być wstęp i zakończenie; wstęp powinien objaśnić czytelnika, o czem autor zamierza mówić.

gość w tak wyzywający sposób uchybił; nawet u tak »pokornego« króla, obok uciechy, musiało znaleźć się miejsce na gniew *(restat locus irae)*, musiało go zaboleć postępowanie Bolesława *(dolet)*.

Od orzeczenia *dolet* zależy inf. *deferre*. Jest to słowo o rozmaitych w klasycznej łacinie znaczeniach; w późniejszej, mianowicie u Ojców Kościoła, wybija się na wierzch jedno znaczenie, na które nie znajdzie chyba przykładu u autorów klasycznych: szanować, okazywać należne komuś względy. W średnich wiekach takie znaczenie słowa *deferre* staje się zupełnie pospolitem i góruje nad wszelkiemi innemi, jeżeli ich zupełnie nie uchyla. Du Cange, nie wspominając zgoła o jakiemkolwiek innem znaczeniu, objaśnia *deferre* francuskim wyrazem, pochodzącym właśnie od tegoż łacińskiego słowa: *déférer, avoir de la déférence*. Nie mógłbym przytoczyć tekstu, gdzieby *deferre* było w tem znaczeniu użyte na określenie wzajemnego szacunku, a zwłaszcza czci, jaka należy się wyższemu od osoby w niższem położeniu. Natomiast jest w *deferre* (jak franc. déférer) wybitny odcień, wyrażający protekcjonalne względy wyższej osoby w stosunku do niższej. Silnie uwydatnia się ten odcień w dykcji Jana z Salisbury, autora XII stulecia, który należał do najwięcej czytywanych średniowiecznych pisarzy. Np. *Vita s. Anselmi* (Patrol. lat., tom 199, kol. 1032): »Quantum vero Anselmo Paschalis (papa) detulerit et contulerit tempore suo, liquet ex multis... ei namque primatum Britanniae confirmavit, hoc quoque personaliter privilegium dedit«...[7] W dalszem rozwinięciu tego znaczenia, *deferre* służy do

7. Ten oraz niżej podane cytaty z Jana z Salisbury zawdzięczam uprzejmości prof. Miodońskiego, który mi je łaskawie zakomunikował, nie dołączając do nich żadnego komentarza, jedynie jako uzupełnienie cytatów, pomieszczonych u Du Cange'a. Mam sobie za obowiązek to zaznaczyć, ponieważ nie wiem, czy prof. Miodoński za uzasadnione uzna wnioski, które na tych cytatach opieram. Mniej jaskrawo ale wcale wyraźnie uwydatnia się ten sam odcień semazjologiczny w paru poprzedzających ustępach żywotu św. Anzelma, blisko przytoczonego miejsca, np. (tamże kol. 1027): »Pagani quoque, qui duci in eodem exercitu militabant, magis deferebant Anselmo, optantes ei prospera et precantes«...; tamże kol. 1027: »Siquidem archiepiscopus (Lugdunensis) et comprovinciales sic ei (Anselmo) deferebant in omnibus, acsi Cantuariensis ecclesiae suffraganei essent«... W drugiem miejscu mowa o prymasie Galji, który mógł uważać się za coś lepszego od arcybiskupa kantorberyjskiego; poganie zaś, którzy tyle względów okazywali św. Anzelmowi, nie poczuwali się też do niższości względem niego.

określenia łaski, połączonej z wyraźnym odcieniem szacunku, a nawet do wyrażenia litości; może nawet znaczyć wprost: litować się nad kimś, jeśli litość wypływa z motywów szacunku, na który przedmiot ulitowania się zasługuje (jak w polskiem: uszanować, zaszanować). Du Cange tłumaczy: *parcere honoris ergo*. Jasno uwydatnione to znaczenie w dwu przytoczonych przezeń przykładach: 1) Muros cum turribus evertit... templo tantum et turri David detulit«; 2) »Et quia, in quantum poterimus bono modo, vobis parcere volumus et deferre, gratum habemus«...

W znaczeniu »uszanować, okazać względy, wyświadczyć łaskę«, nadaje się *deferre* najzupełniej do tekstu, o którym mowa; wszak cały rozdział, od początku do końca, opowiada o spotkaniu dwóch królów, z których jeden uważa się za kreaturę drugiego; można śmiało wyrazić się tak wobec słów Galla: »se per eum regem (factum) cognoscebat«. Wskutek tego, w zależnej od *dolet* konstrukcji acc. cum inf. należy domyślać się podmiotu *Bolezlavum* lub (według poprzednich słów) *fratrem et amicum*, co zresztą wynika z samego sensu. W trzecim przypadku trzeba szukać osoby, do której odnosi się to »okazanie względów«. Jest też bezpośrednio po *deferre* dat. *Wladislavo*. Może to, co prawda, wydawać się rażącem, że Gallus powtarza imię własne, gdy ono jest niewątpliwie domyślnym podmiotem orzeczenia *dolet*. Wystarczyłby tu najzupełniej zaimek. Właśnie jednak ten zaimek należał do słabszych stron Galla; nie dalej jak w poprzednim rozdziale (I, 27) użył *sibi* w znaczeniu *ei:* »Illud enim multum sibi nocuit«. Jeśli więc miał tę świadomość, że nie umiał należycie rozróżniać między *ei* a *sibi*, już to samo mogło go spowodować do powtórzenia *Wladislavo*, żeby nie pozostawić wątpliwości, do kogo odnosi się *deferre*. Zresztą nie należy zapominać, że dla rytmicznej kadencji potrzebował w tem miejscu koniecznie wyrazu o czterech zgłoskach, z akcentem na pierwszej i na trzeciej sylabie, do czego doskonale nadawał się dat. *Wladislavo*. Gdyby tu położył *eum* (fratrem et amicum) *sibi* (Wladislavo), byłby dopiero zagmatwał znaczenie całego zdania, a nadto użyłby wysłowienia wątpliwej poprawności.

Pozostawałyby zatem tylko dwa jeszcze wyrazy: *facto* (czy *fato) inimico*, niewiadomo: w trzecim przypadku czy w szóstym — tak i tak niezrozumiałe. Raczej wypadałoby upatrywać tu ablat., służący do objaśnienia, w j a k i s p o s ó b król gość uszanował

króla gospodarza, *opifex suam creaturam*, że użyjemy słów Kadłubka w ustępie, opartym na tej opowieści Galla. Otóż w tem jednem miejscu ośmieliłbym się proponować konjekturę, która będzie chyba zupełnie usprawiedliwiona zarówno przez cały kontekst jak i przez sposób wysłowienia, właściwy kronikarzowi: *fastu* zamiast wątpliwych *facto* czy *fato*. Kilka wierszy dalej używa bowiem Gallus tego rzeczownika, mówiąc właśnie o zachowaniu się Bolesława: »in pestiferae fastum superbiae cor erexit«. Dość więc przypuścić w słowie *deferre* pewien nieznaczny odcień lekkiej ironji,[8] a wyjaśni się zupełnie sens niezrozumiałych pięciu wyrazów. Ten zaś odcień lekkiej ironji będzie tu chyba zupełnie usprawiedliwiony orzeczeniem głównego zdania *dolet;* można tu raczej mówić nie tyle o ironji, co o retorycznym zwrocie, który Gallowi podyktowało współczucie dla zbolałego i »pokornego« króla, »jakiego Węgrzy nie mieli« ani przedtem ani potem. Jeżeli trafne są przypuszczenia Wojciechowskiego o »mentorstwie« Galla przy synu Bolesława Śmiałego, funkcja ta byłaby dowodem szczególnego zaufania, jakiem król Władysław obdarzał naszego kronikarza i świadczyłaby w każdym razie, że Gallus nie był mu obcym. Nic dziwnego nie byłoby w tem, jeśliby żywiej odczuwał boleść Władysława. A co bolało dobrego króla? *Fastus pestiferae superbiae.* Był do żywego dotknięty arogancją *(fastu)* »brata i przyjaciela« objawem takiej brutalności, jakiejby chyba od wroga należało oczekiwać. Dlatego też przymiotnik *inimicus* przy rzeczowniku *fastus* zupełnie zrozumiały.[9]

---

8. Myślę tu mianowicie o takim odcieniu ironji, jakiego używa się właśnie w uczuciu boleści, wskutek doznanej niesprawiedliwości, czy to mówi sam człowiek, tą przykrością dotknięty, czy ktoś bliski mu i z nim współczujący, np. »Ot, dorobiłem się!« (=mimo gorliwej pracy doznaję ciągłej nędzy) — »A to cię uczcili, biedaku!« (= należał ci się wyraz szacunku, a doznałeś poniżenia). W tem samem znaczeniu mówi się: »poczęstować« impertynencją, »uraczyć« obelgami. Nie zaszkodzi zresztą i tu pamiętać, że Gallus był zawsze krępowany w wyborze wyrazów rytmiczną kadencją, w tem zaś miejscu potrzebował słowa w inf. o trzech sylabach, z akcentem na drugiej zgłosce. *Deferre* nadawało się doskonale do spełnienia tej funkcji rytmicznej, nie mógł natomiast użyć np. *detrahere.*

9. Prof. Miodoński nie poczyta mi za złe, że nadmienię tu o naszej korespondencji, co do tej konjektury, którą mu zakomunikowałem, b e z s z c z e g ó ł o w e g o u z a d n i e n i a związanej z nią interpretacji. Miło mi, że co do samej konjektury, mogę zasłonić się powagą tej miary: »Kon-

Komu nie spodoba się ta interpretacja, niech łamie sobie dalej głowę nad konjekturami, któremi dałoby się wprowadzić

jektura *fastu* byłaby sytuacją i analogją Gallusowej dykcji bardzo uprawdopodobnioną«. Natomiast nie zataił mi prof. Miodoński swoich wątpliwości, czy można interpretować cały ten okres, tak, jak to czynię: »Trudno bowiem zaprzeczyć, że w zdaniu *restat locus irae* wyrażone jest to uczucie, jakie obudziło się w królu węgierskim, w chwili dowiedzenia się o przybyciu Bolesława (cum audisset advenire), a więc jeszcze przed samem spotkaniem«. Niech mi będzie wolno, dla wyjaśnienia rzeczy, zastanowić się nad tym zarzutem, jakkolwiek wypowiedziano go prywatnie i z zastrzeżeniem, że niepodobna wyrzec stanowczego sądu o interpretacji, nie znając jej szczegółowego rozwinięcia. Odpowiadając na uczyniony zarzut, umotywuję może właśnie moją interpretację. Otóż zapytałbym przedewszystkiem, dlaczego przypisywać tyle wagi znaczeniu gramatycznemu plusquamperfectum *audisset*, nie zważając o wiersz dalej na gramatyczną funkcję part. perf. »ex recepto fratre gaudet et amico«, co tłumaczone ściśle, świadczyłoby, że tu jest mowa o przyjęciu Bolesława jako o dokonanym już fakcie. Czyż plusquamperf. *audisset* musi oznaczać: gdy usłyszał, że Bolesław przybywa w granice węgierskiego królestwa? Czyż nie może odnosić się do momentu, poprzedzającego bezpośrednio chwilę spotkania królów, o którem opowiada cały rozdział? Jeśli tak, to możnaby tłumaczyć: gdy usłyszał, że Bolesław przybywa t. j. zbliża się; odpowiada temu dalsze: »eumque propinquantem exspectabat«. Niema — zdaje mi się — żadnej konieczności, odnosić aroganckie słowa Bolesława do samego momentu spotkania, skoro potem powiedziano wyraźnie: »Wladizlavus ab itinere declinavit«. Raczej należałoby chyba wnosić z tych ostatnich wyrazów, że Władysław odjechał z miejsca, gdzie oczekiwał gościa, zanim Bolesław tam przybył. Wszak oczekiwał go już z daleka *(eminus)* zsiadłszy z konia. Mógł zatem odjechać *(ab itinere declinare)* albo na wiadomość, że Bolesław domaga się brutalnie takiego ceremonjału, jak wassal obowiązany jest przyjmować swego zwierzchnika, albo też wreszcie w momencie przed samem już spotkaniem, gdy król polski, zobaczywszy z daleka węgierskiego króla, w wyzywający sposób wyraził swoje zadowolenie z należącego mu się jakoby ceremonjału. Węgrzy, wysłani na spotkanie zbliżającego się króla polskiego, mogli Władysławowi przynieść te obraźliwe wyrazy; dziwićby się raczej, gdyby tego nie uczynili. Bądź co bądź bowiem, była jeszcze pewna różnica między postawą, w której Władysław pieszo oczekiwał gościa, a tem, czego Bolesław się domagał: *equo sedentem osculari.* Stoimy tu naturalnie tylko na gruncie tekstu Galla, ponieważ chodzi o to, żeby zdać sobie jasno sprawę, jak on wyobrażał sobie przebieg całego faktu i jak stosował do tego introdukcję, objętą w pierwszym okresie rozdziału. Biorąc rzecz w tem znaczeniu, jak to czyni prof. Miodoński (P. P. II. 45), folguje się może mimowolnej suggestji, jakoby Władysław musiał być oburzonym na Bolesława za zabicie biskupa, jakoby zatem do tego uczucia odnosiło się wyrażenie: *restat locus irae.* Pamiętajmy jednak, że to dzieje się w XI wieku;

jakiś sens do przytoczonego zdania.[10] Nie będę upierał się przy niej, nie mam też zgoła zamiaru budować na niej żadnej hipotezy. Nie wartoby z pewnością poświęcać tyle miejsca i czasu tym pięciu wyrazom Galla, gdyby Wojciechowski nie wyczytał z nich swojego senzacyjnego »odkrycia«,[11] z którego, jakoby ze stwier-

---

Władysław mógł łatwo nic nie wiedzieć o krwawem zdarzeniu w Krakowie, gdy doszła go wiadomość o wygnaniu Bolesława i o jego przybyciu do Węgier. I później jeszcze mógł mieć o umęczeniu św. Stanisława bardzo mętne wiadomości, tylko z otoczenia Bolesława. Nie trzeba mierzyć ówczesnej sytuacji miarą nie tylko dzisiejszej notoryczności wydarzeń tego rodzaju, ale nawet miarą łatwości, z jaką fakt o podobnem znaczeniu musiałby był stać się notorycznym np. w Rzymie, w I, II lub III wieku po Chr. czy przed Chr., jeśliby wydarzył się niedaleko od granic rzymskiego państwa.

10. Próbowano rozwiązać tę łamigłówkę na rozmaite sposoby, poza hazardowną konjekturą Finkla i St. Kętrzyńskiego (ob. P. P. II, str. 424). Co do tych, w ogólności niezadowalniających prób, ob. P. P. I. 198, II. 45.

11. Należy tu zacytować dosłownie tę osobliwą interpretację (l. c. str. 253 n.): »Gdy Władysław, wymieniony w pierwszem zdaniu, jest Władysławem węgierskim, to wymieniony przy końcu jest Władysławem Hermanem, a wtedy okaże się myśl Galla taka: cieszył się Władysław węgierski na przyjazd Bolesława, jako brata i sprzymierzeńca, ale chowa też w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi (Hermanowi), że stał mu się wrogiem«. Przy tem odsyłacz, u dołu zaś przypisek »Cfr. Du Cange: deferre = excusare. W ostatniem wydaniu kroniki Galla zastąpiono cały ten ustęp konjekturą, nie tylko że nad miarę dowolną, ale i arcyniefortunną: sed de terrae Boleslavi fato dolet inimico«. Może istotnie tylko »niefortunna« konjektura wydawców Galla odegrała tu rolę silniejszego impulsu, żeby tę łamigłówkę lepiej rozwiązać; może była pierwszym kamykiem, który poruszył następnie całą lawinę domysłów Wojciechowskiego?... Nie nasza rzecz w to wglądać. Pozostańmy przy tej jedynej w swoim rodzaju interpretacji. Niechby nawet *per inconcessum* odnieść dat. *Wladislavo* do Hermana; niechby zamiast *deferre allicui* podstawić *excusare aliquem*, to i tak niepodobnaby zrozumieć, jak można wyczytać powyższy sens ze słów: »Sed excusare Wladislavum factum dolet inimicum«. Król Władysław został wprawdzie kanonizowany. I świętych to nieraz kosztuje niemało przezwyciężenia, jeśli wybaczają nieprzyjaciołom, zwłaszcza gdy są królami. Żeby jednak Gallus mógł użyć o takim cnotliwym czynie św. Władysława wyrazu *dolet (boli go)*, tego już w żaden sposób nie można pojąć, co innego bowiem »usprawiedliwiać kogoś« *excusare* (przed kim? przed sobą samym?), a co innego »wybaczyć« komuś. Bądź co bądź, dla uzasadnienia tej oryginalnej interpretacji o tak doniosłych konsekwencjach, wypadało zadać sobie więcej trudu. Nie wystarczał tu cytat: »Cfr. Du Cange: deferre = excusare«, choćby nawet nie był o c z y w i s t ą p o m y ł k ą. Du Cange bowiem nie podaje (II, 1369) przy *deferre* tego jakoby

dzonego faktu, wysnuł różne domysły, sięgające daleko i wstecz i naprzód, w czasy przed zagadkową katastrofą r. 1079 i dalej aż po rok 1086, a tem samem zbudował z niego główną podstawę wszystkich domniemań o nieznanym przebiegu starcia biskupa z królem. W niniejszej dyskusji uznano jednomyślnie tę osobliwą interpretację Wojciechowskiego za rażący błąd metodyczny. Otóż powyższa analiza całego rozdziału I. 28 Galla — czy kto zgodzi się czy nie zgodzi na jej rezultat — dostarczy w każdym razie pewnych przyczynków do sumiennego, przedmiotowego sądu o szczególnej interpretacji Wojciechowskiego. Jeżeli przez to jeszcze jaskrawiej uwydatni się bezzasadność dalszych jego wniosków, nie pójdzie może na marne cierpliwość czytelnika, ponieważ na tym kruchym fundamencie wspiera się całe jego »Faktum biskupa Stanisława«; i »grzeszna zdrada« nawet (P. P. II. 421), to już tylko ornament wzniesionej na nim budowy.

Mniejsza o szczególną konstrukcję tego osobliwego unikatu w dziedzinie hermeneutyki, gdzie każde ogniwo argumentacji jest oczywistą omyłką. Dość zastanowić się nad zasadniczą myślą tego »odkrycia«. Cały przecież rozdział Galla I. 28 poświęcony królowi Władysławowi; o nim też Gallus mówi i w poprzednim rozdziale, bezpośrednio przed wykrętnemi frazesami o wygnaniu Bolesława Śmiałego. Tam już czytamy: »Ipse quoque Salomonem regem de Ungaria suis viribus effugavit et in sede Wladislaum, sicut eminentem corpore sic affluentem pietate collocavit. Qui Wladislaus ab infantia nutritus in Polonia fuerat et quasi moribus et vita Polonus factus fuerat. Dicunt talem nunquam regem Ungariam habuisse, neque terram iam post eum fructuosam sic fuisse«. Nic to wszystko nie znaczy. Według interpretacji Wojciechowskiego, dat. *Wladislavo* (sed deferre Wladislavo i t. d.) m u s i oznaczać Władysława Hermana, choć Gallus będzie o nim mówić dopiero w dalszym ciągu kroniki. Na H e r m a n a zatem gniewał się król Władysław, do H e r m a n a czuł żal. O co? Że stał mu się nieprzyjacielem *(facto inimico)* t. j. że przeszedł do obozu jego nieprzyjaciół. Stąd zaś tryskają z niepowstrzymanym

synonimu *excusare*. Wojciechowski cytował tu widocznie z pamięci, a pamięć go zawiodła. Takie postępowanie przy interpretacji tekstów możnaby nazwać impresjonizmem w hermeneutyce. Autor kieruje się wrażeniem, jakie pewien tekst na nim sprawił, nie dbając ani o cały rysunek zdania ani o uzasadnienie wniosków, polegających na tem wrażeniu.

pędem imaginacji wszystkie dalsze domysły, każdy o pierwszorzędnem znaczeniu. Autor »Szkiców« będzie się gniewać, że mówię tu o domysłach; on widzi w swojem odkryciu pewny, udowodniony fakt, o którym nie wolno wątpić. Bezpośrednio po ustępie, zawierającym interpretację tych pięciu wyrazów Galla, zaczyna się nowy ustęp od słów: »Mamy więc teraz przed sobą wiadomość pewną, że sprawcą upadku Bolesława był Herman i że skazanie biskupa Stanisława nie było powodem ani początkiem buntu i t. d. Czytelnik zechce sprawdzić, że nie pomyliłem się w cytacie; te słowa znajdzie rzeczywiście na str. 256 »Szkiców historycznych XI wieku«.

Oto zaś dalsze domysły Wojciechowskiego. Skoro Herman stał się nieprzyjacielem węgierskiego króla — cytujmy jednak i dalej dosłownie, żeby nas o przesadę nie posądzono — »znaczy to oczywiście, że w ówczesnym układzie, a lepiej powiedzieć, rozłamie środkowej Europy na dwa główne obozy, stronników i przeciwników Henryka IV, Herman stanął po stronie przeciwnej Węgrom, czyli, że jego działania i przymierza postronne były inne aniżeli Władysława, i rozumie się, inne aniżeli Bolesława, bo ten był owszem sprzymierzeńcem węgierskim. Aleć o Władysławie wiemy dokładnie, że był nie tylko sprzymierzeńcem ale i zięciem antykróla Rudolfa, i że popierał czynnie panów niemieckich przeciwko Henrykowi. Odkrywa się zatem nowy fakt, powiedzmy raczej nowy pogląd: że kiedy Herman strącał Bolesława, skoro właśnie przez to stał się wrogiem króla węgierskiego, więc widocznie działał w tem na rzecz Henryka IV. Nie dość, można rozumieć, że działał w porozumieniu i z pomocą króla niemieckiego, albowiem o własnych siłach nie byłby się porwał na Bolesława. I tu dopiero dochodzimy do jądra rzeczy«...

Tak, rzeczywiście: tu jądro rzeczy. *Rien n'est sacré* dla erudyta, gdy go hypnotyzuje trafna, jak mniema, interpretacja zawiłego tekstu, nad którym długo łamał napróżno głowę. Tu jądro całego błędu. Bez niego, autor »Szkiców« nie zboczyłby ze szlaków ścisłego badania na grząski grunt bezpodstawnych wniosków, nie byłby o nich pisał z tak niezachwianą wiarą, jak gdyby każdy z urojonych faktów mógł poprzeć pozytywnemi świadectwami wiarogodnych źródeł.

Znów Gallus nie zasłużył na tyle honoru, żeby z jego fraze-

su, z pięciu jego słów, wyprowadzać tak ważne wnioski o zasadniczym zwrocie w postawie Polski wobec »rozłamu środkowej Europy«. Nie zasłużył jednak i na to, by go posądzać o takie niedołęstwo, tam gdzie dbał pewnie więcej o dobrą opinję, niż co do orjentacji w materjach politycznych. Czy uczył się w Leodjum czy w innej jakiejś, nie tak rozgłośnej szkole, był niezgorszym stylistą i tem się szczycił. Mógł mylić się w użyciu *ei* lub *sibi*, mógł stracić nieco wprawy w »sztuce pisania«, nie mając wzorów i przewodników (III. epist.), mógł czasami popełnić jakiś polonizm, odkąd przyswoił sobie nasz język; nikt jednak nie wskaże u niego podobnej indolencji wysłowienia, jak to istne *curiosum* stylu, które weń wmawia interpretacja Wojciechoskiego. Wszak zaraz w następnym rozdziale wprowadza na widownię obydwu Władysławów, z precyzją wyrażenia, której nic nie można zarzucić (I. 29). Jednego nazywa *rex Ungarorum*, drugiego *dux*, a nadto jednem jeszcze określeniem usuwa wszelką wątpliwość co do osoby Władysława Hermana, jakby pragnął zapobiec nieporozumieniu: »Placuit p a t r u o s u o W l a d i s l a v o d u c i puerum in Poloniam revocare«. Podobnie dalej II. 4: »Unde multum W l a d i s l a v u s indignatus et Setheus ira nimis inflammatus, W l a d i s l a v u m U n g a r i a e r e g e m... in auxilium sibi contra Wratislavienses mandaverunt, unde plus dedecoris et damni quam honoris et proficui habuerunt. Nam Setheum r e x W l a d i s l a v u s vinctum secum in Ungariam transportasset, ni pro salute cum parvulo Bolezlavo transfugisset«... Kilka zaś wierszy dalej, znów jakby chciał zapobiec nieporozumieniu: »d u x Wladislavus ad urbem Wratislaviensem accedebat«... choć tu jasno już z samego kontekstu wynika, że nie może być w tem miejscu mowy o królu węgierskim, ale tylko o księciu Władysławie. Nim więc jeszcze czytelnik zapoznał się z k s i ę c i e m Władysławem (Hermanem), mógłbyż Gallus napomknąć o nim w tak osobliwy sposób, jak to wynikałoby z interpretacji Wojciechowskiego? Mógłbyż dopuścić się tej niezgrabności w rozdziale o k r ó l u Władysławie, bez żadnej zgoła potrzeby? Tak, bez żadnej potrzeby, o tem bowiem nikt przecież nie będzie wątpić, że go mało obchodził »ówczesny układ, a lepiej powiedzieć rozłam środkowej Europy na dwa obozy«. Chybaby oględny stylista dopuścił się umyślnie tej niezręczności, dla zaciemnienia sensu — nie dla wykrętu, jak w poprzednim rozdziale — ale tylko w tym celu, żeby

po ośmiu wiekach erudyci mieli w tem miejscu tak twardy orzech do zgryzienia. I tu zatem nie waham się powtórzyć: przeciw tego rodzaju interpretacji nauka musi założyć protest; w ten sposób można ze skąpych źródeł wszystko wyczytać, według upodobania. Każdy może się mylić w tłumaczeniu zawiłych tekstów. Autor »Szkiców« miał jednak najpełniejszą świadomość, że wyjaśnienie sprawy św. Stanisława, to nie byle jaki szczegół antykwaryczny. Wyznał otwarcie (str. 249): »Ten szkic jak i następny, mogą być przykre do czytania, z powodu ustępów, jakie czytelnik tu znajdzie o św. Stanisławie. Zapewne, że nie było mi łatwo pisać je; oprócz trudności rzeczowych niepokoiła obawa, czy się nie jest oszczercą, który kala narodową świętość. Czytelnik osądzi«. Wypowiedział te słowa z najlepszą wiarą, a nie zdał sobie sprawy, że cały gmach urojeń, które tak ciężko było mu konstruować, oparł j e d y n i e na ryzykownej interpretacji niejasnych pięciu wyrazów, i że przez szkła takiego naukowego hazardu decyfrował wykrętne napomknienia Galla: *traditorem episcopum, pro traditione*. Tak silnie wierzył w rzetelną wartość rzekomego »odkrycia«, że miał sobie za obowiązek: wprowadzić jak największą harmonję między tą rewelacją a wzmianką Galla o »biskupie-przeniewiercy«. Ileż to razy sam Wojciechowski podkreśla najlojalniej wątłość niektórych własnych, nazbyt śmiałych domysłów, i w »Szkicach« i gdzieindziej; tu nie poczuwał się do żadnego w tym względzie obowiązku, przeciwnie podał za prawdę, za rzecz pewną, domysł wysnuty z oczywistej omyłki.[12]

---

12. W ciągu tej rozprawy po kilka razy wytknęliśmy rozmaite »omyłki« czcigodnego autora »Szkiców historycznych XI wieku«, które nawet uważamy za dość rażące ze stanowiska metodyki historycznej. Wobec tego mamy sobie za obowiązek sumienia naukowego, zapobiec zgóry pewnemu nieporozumieniu, które mogłoby stąd łatwo powstać. Niefachowy czytelnik byłby może skłonnym podzielać pewnego rodzaju zdziwienie, jakie zapanowało w niefachowych kołach, gdy Akademja Umiejętności odznaczyła »Szkice historyczne XI wieku« nagrodą im. Barczewskiego »za najlepszą pracę historyczną«. Gdyby tego nie uczyniono, naruszonoby bezwzględnie statut i wyraźne, jasne warunki zapisu fundacyjnego. Na ostatnią bowiem książkę Wojciechowskiego złożyło się dziewięć różnych naukowych rozpraw — jak autor nazwał: »szkiców« — z których trzy ostatnie tyczą się wprost lub pośrednio katastrofy r. 1079. I w tych trzech rozprawach nie brak trafnych spostrzeżeń lub konstrukcyj (np. o pochodzeniu i rodzie św. Stanisława). Co do innych zaś, w tej książce pomieszczo-

Za to w rozpędzie imaginacji, odsłonił najsłabszą stronę swoich »konstrukcyj«, w niebacznych słowach: »Odkrywa się nowy fakt, powiedzmy raczej nowy pogląd...« Nie na miejscu tu wyraz: »raczej«; jeżeli *lapsus calami*, to znamienny. Poglądy, to nie fakta; o to chodzi, o nic innego. Wyrąbać prawdziwe fakta z surowych materjałów, które przeszłość potomności zostawiła — to zadanie krytyki historycznej, na dwóch najniższych szczeblach dziejopisarskiej pracy. Na pierwszym interpretacja tekstów stwierdza sumiennie istotne ich znaczenie, według ścisłych prawideł semazjologji i hermeneutyki, *sine studio*, bez wszelkich ubocznych celów, bez zezowania w stronę jakiejkolwiek »konstrukcji«. Dalej, na drugim szczeblu, przedmiotowa krytyka źródeł ocenia wartość każdego ich świadectwa, stosując do nich probierz ogólnych właściwości danego źródła, które wprzód musi dokładnie zbadać; oczyszcza każdy szczegół z mętów złej informacji, uprzedzeń czy tendencyj, a tak z surowej rudy zdobywa metal. Metal to rozmaitej wartości, z różnemi odcieniami prawdopodobieństwa, aż do niezbitej prawdy. Tu też szczególnie, w miarę odrębnych cech materjału, zdrowy krytycyzm winien trzymać na wodzy dowolność wnioskowania, jeśli ubóstwo źródłowych świadectw nie pozwala z bezwartościowej rudy dobyć metalu pewnych, stwierdzonych faktów. A poglądy? Jeśli poglądy operują czem innem jak pewnemi faktami, niczem innem nie będą, jak złudną grą wyobraźni. Poglądy — to w każdym razie wyższy dopiero szczebel dziejopisarskiej pracy, przedzielony od tamtych, mniejszym lub większym szeregiem szczebli, według przedmiotu i obfitości faktów. Na tych pośrednich szczeblach, stwierdzone fakta łączą się w grupy, w uogólnienia pokrewnych znamion czy też objawów, przy świetle coraz

---

nych rozpraw (I—VI), pełno tam prawdziwych pereł bystrości i niezwykłego daru kombinacyj niedostrzeżonych dotąd przez nikogo, drobnych, a dopiero w umiejętnem zestawieniu wymownych »faktów«, w rzetelnem znaczeniu tego słowa. Komitet, który wypracował (drukowane zresztą) sprawozdanie w przedmiocie odznaczenia »Szkiców« nagrodą Barczewskiego, nie mógł w r. 1906 uczynić innego wniosku bez naruszenia statutu. Oświadczono jednak wyraźnie: »Członkowie Komitetu uważają za konieczne zaznaczyć, że głosując jednomyślnie za przyznaniem nagrody temu dziełu, nie godzą się bynajmniej na wszystkie rezultaty dociekań zasłużonego autora« (Rocznik Akademji Umiej. w Krakowie, 1905/6, str. 131).

dokładniejszego, z postępem badań, znawstwa epoki, jej właściwości i cech znamiennych. Ponad tem wszystkiem, na wyższym jeszcze szczeblu poglądów, nie pora na odkrywanie faktów. Jeśli więc »fakt« i »pogląd« staną się odcieniami tego samego pojęcia o zatartych konturach, a nadto ryzykowna interpretacja paru wyrazów zawiłego tekstu będzie »odkrywać nowe fakta, powiedzmy raczej poglądy« — historja wycofa się z rzędu nauk, w sferę fantazji. Co najmniej cofnie się u nas, spadnie na poziom dyletantyzmu, skąd ją dźwignęły umiejętne badania ostatnich dziesiątków lat, *quorum magna pars* Wojciechowski.

III.

Błędny rysunek drobnego szczegółu, który widać pod mikroskopem, staje się nieraz źródłem długiego szeregu błędów, powiązanych misternie w harmonijną teorję. Czasami taka teorja pokutuje w nauce przez całe lata, póki jej nie uprzątnie dokładniejsze sprawdzenie naukowego »faktu«, z którego się zrodziła. Możnaby myśleć, że rychłe sprostowanie popełnionego błędu powinno łatwiej ustrzec t. z. »ścisłe nauki« od dalszych następstw każdej mimowolnej omyłki, zwłaszcza zaś od trwalszego utwierdzenia mylnych teoryj. A przecież i w naukach, polegających na obserwacji, »komedja pomyłek« utrzymuje się czasem długo przed kinkietami umiejętnych dociekań, mimo nieśmiałych lub niedość szczegółowo objaśnionych protestów, chociaż z niemi wystąpi niejeden badacz, nie mogąc w żaden sposób dostrzec tego wszystkiego pod mikroskopem, co wyrysował śmiały twórca teorji. Działa tu niezawodnie często pewna suggestja, poddająca się nieświadomie powadze głośnej firmy naukowej, bo ten potężny czynnik w tajemnicach poznania odgrywa w nich o wiele znaczniejszą rolę, niźli to przypuszczamy w naszym krytycyzmie.

Podobnie bywa czasem z jakąś oryginalną interpretacją tekstu w historycznem badaniu. Tu także nieraz jedna oczywista omyłka może na długie lata zapełnić naukową stajnię Augjasza, póki jej nie opróżni — nie Herkules, lecz pierwszy lepszy robotnik o zwykłych siłach, jeśli się nie ulęknie ani mozołu tak niewdzięcznych zabiegów, ani autorytetu, na którym cięży wina popełnionej omyłki. *Felix culpa* — niekiedy o ile uprzątnięcie jej dalszych

następstw opłaci się skutecznem ostrzeżeniem na przyszłość: Nie tędy droga do prawdy!

Pragnęlibyśmy szczerze, żeby nasze uwagi o 28 rozdziale I księgi Galla, może nazbyt rozwlekłe i drobiazgowe, stały się tem skutecznem na przyszłość ostrzeżeniem.[1]

Źródła nic nam nie mówią o »nieprzyjaźni« między Hermanem a św. Władysławem; przeciwnie, gdzie nadmieniają o nich obydwu razem, świadczą raczej o trwałem między nimi przymierzu, które w spuściźnie po Bolesławie Śmiałym przeszło na jego młodszego brata. Widać to mianowicie z obu ustępów Galla (I. 29, II. 4), o których wyżej już nadmieniono. Słusznie domyśla się Wojciechowski, że Galla łączyły jakieś niezwykle bliskie stosunki z synem Bolesława Śmiałego, tym urodziwym, tyle nadziei rokującym młodzieńcem, któremu takie rzewne poświęcił wspomnienie. Może był rzeczywiście jego wychowawcą, miał więc o nim dokładne wiadomości. Cóż mówi Gallus I, 29? »Illum enim puerum rex Ungarorum Wladislaus, mortuo patre, nutriebat eumque loco filii parentis gratia diligebat. Ipse nimirum puer coaetaneos omnes et Ungaros et Polonos honestis moribus et pulchritudine superabat, omniumque mentes in se futuri spe dominii signis evidentibus provocabat, unde placuit patruo suo Wladislavo duci puerum in Poloniam sinistro alite revocare, cumque Ruthena puella fatis invidentibus uxorare«. Znamy z annałów datę powrotu Mieszka, rok 1086, siedem lat po katastrofie roku 1079. W hipotezie Wojciechowskiego jest w ciągu tych siedmiu lat dosyć czasu na rozmaite »fakta«: na opanowanie Krakowa przez Czechów, na zwrot w polityce (!) Hermana, na zbliżenie się jego do św. Władysława, na zdobycie Krakowa przez Węgrów i osadzenia Mieszka w odzyskanym przez nich Krakowie. Powtarzam: autor »Szkiców« sam dziwi się, że źródła milczą o tem wszystkiem. Zamiast dziwić się, lepiej czytać bez uprzedzenia jasny tekst Galla i wierzyć mu,

1. Dalsze uwagi, które czytelnik znajdzie poniżej, zniewolą go może do zastanowienia się nad pytaniem, czy autor »Szkiców« nie uległ pewnej suggestji nieuzasadnionych domysłów innego zasłużonego historyka o nieznanych dziejach lat 1079—1086? Kto wie, gdyby krytyka uprzątnęła zawczasu bezpodstawne domysły ś. p. Anatola Lewickiego o wydarzeniach r. 1086 i ich genezie (»Wratysław II czeski królem polskim«, Przemyśl 1876, str. 23 nn.), może Wojciechowski nie byłby napisał »Faktum biskupa Stanisława«.

że Mieszko wrócił do Polski, przywołany przez stryja; że Herman przygarnął młodocianego tułacza, gdy synowiec doszedł do 17 lat; że choćby nie czem innem, to tem dał dowód stryjowskiej nad nim opieki, iż wyszukał mu żonę w jakiejś ruskiej księżniczce nieznanego imienia.[2] Rok powrotu Mieszka (1086), to data urodzenia Bolesława Krzywoustego. Dzień urodzenia znany: 20 sierpnia.[3] Od końca ubiegłego roku (1085) spodziewał się więc Herman upragnionego potomstwa. Pragnął mieć syna, spadkobiercę tronu; choćby Gallus nie pisał o tem z naciskiem (I, 30), możnaby się tego »faktu« domyślać, bez obawy, że domysł będzie zanadto śmiały. Niewiadomo, czy Mieszko przybył do Polski przed 20-tym sierpnia, gdy jeszcze nikt nie wiedział, jakiej płci będzie upragniony potomek Hermana, czy po 20 sierpnia, kiedy następca tronu był już na świecie. Bądź co bądź, data powrotu młodego księcia nie bez znaczenia. Św. Władysław, wychowany na dworze Piastów, wiedział to przecież dobrze, że los juniorów, a zwłaszcza książąt z pobocznych linij bywał nie do pozazdroszczenia, o ile charakter panującego księcia nie dawał pod tym względem pewnej rękojmi. Kochał Mieszka jak syna, a przecież odesłał go na dwór stryja, skoro Herman powołał do siebie synowca, jak to Gallus wyraźnie stwierdza.[4] Jeśli zaś uczynił to właśnie w roku 1086,

2. Balzer: »Genealogja Piastów«, str. 111—113.

3. Tamże, str. 119.

4. Wojciechowski poszedł w swoich domysłach o wydarzeniach roku 1086 za impulsem danym przez Lewickiego w jego wyżej przytoczonej pracy p. t. »Wratysław II czeski królem polskim«. Przypuszczenie o rządach Mieszka w Krakowie jest uzupełnieniem konstrukcji Lewickiego, który mniemał jedynie, że św. Władysław wymógł na Hermanie wojną powrót Mieszka do kraju, że to był warunek pokoju, zawartego po tej (powiedzmy: fikcyjnej) wojnie (l. c. str. 27). Sam Wojciechowski zaznacza wyraźnie, że rządy Mieszka w Krakowie, to tylko przypuszczenie (str. 332): »Że Mieszek Bolesławowicz, powróciwszy z Węgier, panował w Polsce nie gdzieindziej, jak w Krakowie — to rzeczywiście tylko postulat«. Ja powiedziałbym poprostu: wymysł. Gdyby taka wiadomość stała u Długosza, nazywałaby się »amplifikacją« i nikt nie poważyłby się brać jej na serjo; niema jej u Długosza, więc może być »postulatem«, a gdzieindziej (l. c. str. 340) operuje się tym »postulatem«, jakby stwierdzonym faktem. Co prawda, Wojciechowski stara się uzasadnić ten »postulat« w następujący sposób: »Można go jednak oprzeć na tym fakcie, że w roczniku kapituły krakowskiej zapisano o Mieszku w przeciągu czterech lat trzy wiadomości: powrót, ożenienie i śmierć (1086—1089), zaś o Hermanie w tym czasie ani jednej. Innego dowodu niema. Tyle co do krytyki źró-

czy wkrótce przed urodzeniem następcy tronu w Polsce, czy zaraz po urodzeniu, można widzieć w tem, niezawodny dowód zaufania, na tle stosunków XI wieku. Widocznie żył w przyjaźni z Hermanem, w dawnej, wypróbowanej przyjaźni; z nim przecież wychowywał się na Piastowskim dworze, jego, jak i Bolesława Śmiałego, miał za starszego brata.[5] Do tej przyjaźni odwołał się też Herman po kilku latach (1093), wzywając Władysława na pomoc dla uśmierzenia buntu Zbigniewa (II, 4).

---

deł«. Otóż ze stanowiska krytyki źródeł należy zapatrywać się zupełnie inaczej na ten rzekomy dowód. Trzy te zapiski o Mieszku (z r. 1086, 1088 i 1089) znajdują się wprawdzie rzeczywiście w roczniku kapitulnym krakowskim z drugiej połowy XIII wieku, jak i w innych późniejszych kompilacjach annalistycznych, ale dwie z nich (1088, 1089) pochodzą z owego najstarszego rocznika, którego odpis, sięgający do r. 1122, zachował się w rękopisie (z końca XI i początku XII wieku) niegdyś świętokrzyskiego klasztoru, dziś Bibljoteki cesarskiej w Petersburgu. Ob. M. P. H. II, 773, 796, 874. Ten zaś najstarszy rocznik (niewłaściwie przez Bielowskiego nazwany świętokrzyskim) nie ma zgoła żadnego lokalnego charakteru, o Krakowie zaś niema w nim żadnej wzmianki. Jedna tylko zapiska tego rocznika podaje datę śmierci krakowskiego biskupa Lamberta, następcy św. Stanisława (1101), jedna datę śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego Bogumiła (1092); nadto pod r. 1000 zapisano »ordinatio s. Gaudentii episcopi« (Gniezno). Pomiędzy r. 1016 (odkąd zaczynają się annalistyczne zapiski tego rocznika w ścisłem znaczeniu) aż do końca, t. j. do r. 1122, jest ich razem 29, na tę zaś liczbę składa się 11 zapisek o wojnach, 15 o faktach z historji rodzinnej panującego domu (daty urodzenia książąt, śmierci, zgonu i t. p. nawet: 1026 *Kazimyr ad discendum traditur).* Jeśli więc w takim roczniku (można powiedzieć: dworskim, książęcym) pojawiły się najpierw dwie zapiski o Mieszku (1088, 1089) i stamtąd później przeszły do krakowskiego rocznika kapitulnego, nie można tego uważać przecież za dowód (a choćby nawet za jakąkolwiek wskazówkę), jakoby ten Mieszko panował w Krakowie!

5. Stały, niezachwiany nigdy sojusz między Hermanem a św. Władysławem uważam naturalnie tylko za rzecz wielce prawdopodobną, zarówno ze względu na sytuację, o ile o niej można wyrobić sobie jakieś wyobrażenie, jak i ze względu na źródła, które stwierdzają ich przyjaźń a milczą o jakiemkolwiek zamąceniu przyjaźni. Władysław Herman — to właśnie jedna z tych niewielu postaci, które wcale plastycznie zarysowują się w kronice Galla. Jaskrawo uwydatnia się jego niedołęstwo bez granic, brak woli, posunięty do chorobliwych wprost rozmiarów (II. 16); zresztą *pius et mansuetus vir* (II. 21). I Wojciechowski — gdy zapomni o swoich »konstrukcjach« a pamięta o tekście Galla — ma też Hermana za typowego safandułę bez woli. Pisząc o powtórnem ożenieniu Hermana z wdową po Salomonie, królu węgierskim, wyraża się nie bez humoru: »Tylko, że

Słowem, nic nie popiera dowolnych kombinacyj, jakoby Herman podniósł bunt przeciw bratu, jakoby w tem był narzędziem czeskiego Wratysława i Henryka IV — nic a nic! Z czeską księżniczką ożenił się dopiero po upadku Bolesława Śmiałego; uznaje to sam Wojciechowski (str. 281). Przedtem nic nie łączyło go z czeskim dworem, chyba te dawne związki powinowactwa,[6] które nie przeszkadzały Bolesławi Śmiałemu być w nieprzyjaźni z szwagrem. Był w cieniu aż do wygnania brata; bezżenny, miał nieślubnego syna Zbigniewa. Czy żył na dworze brata, czy też miał wyznaczoną jakąś dzielnicę na utrzymanie? Wszak nie ja pierwszy wpadam na domysł o dzielnicach juniorów w państwie Bolesława Śmiałego, pod jego berłem i żelazną ręką: Hermana i młodszych braci, o ile nie pomarli w zanadto młodym wieku,[7] żeby prawem juniorów posiąść książęce uposażenie. Z Galla możnaby właśnie wnosić, że Herman nie był księciem bez ziemi. Przystępując do właściwego przedmiotu swojego dzieła, pisze Gallus (I. 30): »Mortuo itaque rege Bolezlavo aliisque fratribus defunctis, Wladislavus dux solus regnavit«. To *solus* nie miałoby sensu (zwłaszcza w połączeniu z poprzedzające-

zamiast *ożenił się*, stosowniej o nim powiedzieć *ożeniono go*« (l. c. str. 333). Jak można w takiej figurze (bez żadnej źródłowej podstawy) dopatrzeć się materjału na przedsiębiorczego buntownika, zawierającego dalekie sojusze, zmieniającego w lot całą orjentację polityczną, gdy spostrzegł stosowną chwilę — tego ja nie potrafię zrozumieć. Ani tego, że Wojciechowski ma Hermana za jakiś czarny charakter, za sprawcę »zbrodni rodzinnej, jedynej w domu Piastów« (l. c. 339), za wyrafinowanego mordercę młodocianego synowca! Gallus wyraża domniemanie, że Mieszko nie umarł naturalną śmiercią (I. 29), a używając znów w tem miejscu dość enigmatycznych wyrazów, zwraca podejrzenie w dwie strony: 1) własnej żony Mieszka, niedawno poślubionej, 2) zawistnych ludzi, którzy lękali się pomsty za wygnanie Bolesława Śmiałego. Wojciechowski uważa pluralis *aemuli* za nonsens, »żona Mieszka mogła być chyba tylko nieświadomem narzędziem przy otruciu, zostaje więc — Herman«. Gallus zasłużył istotnie na więcej uszanowania.

6. Świętosława, rodzona siostra Bolesława Śmiałego i Władysława Hermana, była drugą żoną czeskiego Wratysława; ob. Balzer: »Genealogja Piastów« str. 108. Z jej pasierbicą Judytą ożenił się Herman około r. 1080 (tamże str. 102). Może trafny jest domysł Balzera, że to Świętosława skojarzyła małżeństwo brata z pasierbicą. Ja zaś dodałbym jeszcze jeden domysł: może dla utwierdzenia niepewnego stanowiska Hermana po wstrząśnieniach, jakie Polska musiała odczuć wskutek katastrofy r. 1079.

7. Por. Balzer: »Genealogja Piastów« str. 108—110.

mi ablat. absol.), jeśliby Herman przedtem nie posiadał uposażenia w osobnej dzielnicy. Jak zaś było rzeczywiście, o tem Gallus wiedział dokładnie; nie rozpisywał się o tem, ponieważ uważał to za rzecz naturalną, która zresztą nie należała do przedmiotu dzieła. Nie upieram się przy tem spostrzeżeniu, choć możnaby je związać z domysłem Wojciechowskiego, jakoby Herman po wygnaniu Bolesława Śmiałego panował w Wielkopolsce, w Poznaniu (l. c. str. 271). Może i przedtem? A może na Mazowszu,[8] gdzie tak chętnie przebywał w późniejszych latach, gdzie został pochowany; Gallus II. 6: »semper in sua Mazovia libentius habitavit«. W r. 1079 dosięgał już lat czterdziestu. Do tego czasu nie wszedł w legalne związki małżeńskie, odpowiednie dla stanowiska Piasta, choćby juniora. Powiedziano, że później, gdy nie miał nad sobą brata, dwa razy z rzędu »nie tyle się żenił, ile go żeniono«; może Bolesław Śmiały nie spieszył się z kojarzeniem małżeńskich związków juniora, które mogły być źródłem niepotrzebnych kłopotów.

Czy odrazu po katastrofie brata objął po nim spuściznę? Trzymając się literalnie słów Galla (mortuo itaque rege Bolezlavo), należałoby sądzić, że co najmniej dopiero po śmierci Bolesława, w r. 1082.[9]

Według Wojciechowskiego, od roku 1079 do roku 1086 panował w Krakowie Wratysław czeski; dopiero po upływie tych siedmiu »haniebnych« dla Polski lat, wyparł go stamtąd św. Władysław i osadził na krakowskiej stolicy Mieszka, syna Bolesława

---

8. Taki ostrożny badacz jak Potkański, tak mało skłonny do podawania wszelkich domysłów za pozytywne fakta, mówi o tem przypuszczeniu, jakby o pewnej rzeczy; ob. jego »Przywilej z 1086 r.«, *Kwartalnik historyczny* XVI, 21.

9. Balzer: »Genealogja Piastów«, str. 97 skłania się raczej ku wcześniejszej o rok dacie rocznika kapitulnego krak. 1081. Sądzę, że t. zw. »rocznik świętokrzyski«, najdawniejszy, przepisany w r. 1122, powinien tu bezwarunkowo rozstrzygać, zwłaszcza, że jest to zabytek o wybitnych znamionach nadwornej, oficjalnej analistyki. Nie mogę zgodzić się z mniemaniem Balzera, że »późniejsza o jeden rok data rocznika świętokrzyskiego da się odnieść do otrzymanej później wiadomości o jego (Bolesława) śmierci«, niepodobna bowiem przypuścić, iżby te dwie zapiski polegały na dwóch odrębnych, niezależnych od siebie źródłach. Data roczn. kap. krak. z drugiej połowy XIII wieku jest oczywistą omyłką kopisty, jak w wielu innych razach.

Śmiałego. Domysł na domyśle, a na tym domyśle jeszcze jeden domysł. Czcigodny autor »Szkiców« poszedł tu za Lewickim, rozwijając jego domysły i nie tając zresztą wątpliwości, jakie w nim obudzała ta hipoteza. Co do najważniejszego jej punktu, stwierdził to najwyraźniej: »NB. historja roku 1086, jak ją tu przedstawiam, to przeważnie konstrukcja, na którą złożyli się Katona, Roepell i Lewicki.[10] Idę za nią i dopełniam, bo wydaje mi się jedynie możliwą« (l. c. str. 330). Że doskonale godzi się z domysłami o buncie Władysława Hermana, tego nikt nie zaprzeczy.

»Jedynie możliwą konstrukcją« jednak nie jest to kruche przypuszczenie o czeskich rządach w Krakowie 1079—1086. Na dowód, *exempli gratia*, zaproponuję inną, nie tak misterną wprawdzie, zresztą — myślę — chyba nie gorszą, a w każdym razie nie sprzeczną z tekstami źródeł.[11]

10. Dla niefachowych czytelników dodaję objaśnienie, że Stefan Katona, uczony Jezuita węgierski, umarł w r. 1811, Ryszard Roepell, prof. uniwersytetu wrocławskiego, w r. 1893, Anatol Lewicki, prof. uniw. Jag., w r. 1899.

11. Mojem zdaniem, już same te wątpliwości, które Wojciechowski zaznaczył lojalnie l. c. str. 270—271, 330—332, wystarczają zupełnie do obalenia hipotezy Lewickiego o czeskich rządach w Krakowie po wygnaniu Bolesława Śmiałego. Do wątpliwości Wojciechowskiego możnaby dodać niejeden jeszcze argument, coby nas odwiodło zbyt daleko od przedmiotu. Niebawem zresztą ukazać się ma praca jednego z wybitniejszych znawców naszego średniowiecza, która — mam nadzieję — usunie do szczętu tę niepotrzebną fikcję z polskiej historji XI wieku. Co charakterystyczne jednak, to, że Wojciechowski, pomimo wyrażonych l. c. wątpliwości, pisze na str. 281 (a więc pomiędzy dwoma wyżej przytoczonemi ustępami) jakby o pewnym, stwierdzonym fakcie: »Na stolicy krakowskiej zasiedli teraz Wratysław i Świętawa Kazimierzówna, i trzymali ją przez siedem lat, do roku 1086«. Główny punkt oparcia dla bezzasadnych domysłów o kilkoletniem panowaniu czeskiem w Krakowie stanowią, jak wiadomo, śmiałe wnioski, wysnute z ówczesnego falsyfikatu biskupa Jaromira r. 1085 czy 1086. Najzupełniej zgadzam się z opinją Wojciechowskiego (l. c. str. 269): »Ostatnia reasumująca i jak mniemam stanowcza o tem rozprawa jest K. Potkańskiego »Przywilej z 1086 r.«, *Kwart. hist.* 1903«. Zgadzam się, z zastrzeżeniem, że ostatnie słowo o tym przedmiocie (które zresztą nie zmieni zapewne rezultatów tej cennej rozprawy, ale może je uzupełnić) będzie dopiero wypowiedziane po dokładnem zbadaniu monachijskiego tekstu rzeczonego falsyfikatu, co sam Potkański akcentuje tamże str. 5. Wojciechowski nie liczy się jednak z trafnem zdaniem Potkańskiego (tamże str. 22) o rzekomem panowaniu Czechów w Krakowie. »Wobec milczenia tak

Jakby na urągowisko, jedyny punkt oparcia w tej próżni lat 1079—1086, to trzyletnie opróżnienie krakowskiego biskupstwa po męczeństwie św. Stanisława. Kto chce ten fakt wytłumaczyć panowaniem Czechów w Krakowie, zapląta się w trudności nie do rozwikłania. Drugim bowiem, pośrednio do Polski odnoszącym się punktem oparcia, jest głośny czeski falsyfikat z tych czasów: dokument, podrobiony dla uzasadnienia ówczesnych roszczeń praskich biskupów do terytorjum krakowskiej diecezji (l. c. 267 n.). Produkowano ten falsyfikat na moguncklm synodzie w maju 1085, poczem Henryk IV obdarzył tytułem królewskim czeskiego Wratysława, a zarazem, jak mówi współczesny Kozmas, *tam Poloniae quam Bohemiae praefecit.*[12] Gdyby trzyletni wakans krakowskiego biskupa był w jakimś związku z tem wszystkiem, dlaczegoż Lambert został następcą św. Stanisława już w r. 1082,[13] cztery lata przed fikcyjnem — powiedzmy — wypędzeniem Czechów z Krakowa? Natomiast zakończenie trzyletniego wakansu schodzi się właśnie z datą śmierci Bolesława Śmiałego; obydwa fakta zaszły w tym samym roku, istotnie, pewne fakta.

Może był jakiś między nimi związek? Może dlatego przez trzy lata niema w Krakowie biskupa po śmierci św. Stanisława, że nie było komu zamianować następcy?[14] Może legenda o pokucie

---

ważnego źródła, jak Kozmas, prędzejbym sądził, że podówczas do faktycznego zajęcia Małopolski przez Czechów nie przyszło«... i t. d.

12. Por. Potkański: »Granice biskupstwa krakowskiego« *(Rocznik krakowski* IV, 201—212); tenże: »Przywilej z 1086 r.« *(Kwartalnik hist.* XVII, 1—28).

13. Roczn. kapit. krak., M. P. H. II, 796.

14. Krotoski: »Św. Stanisław biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym« (Lwów 1905) str. 157—160, uważa czteroletnie opróżnienie krakowskiej stolicy biskupiej po śmierci św. Stanisława, za wskazówkę, że wówczas toczyła się w Polsce walka kościelno-polityczna na tle zasadniczych postulatów gregorjańskiej reformy, obostrzonych dekretami papieskiemi 1078 i 1080 r. Autor nie przychyla się bynajmniej do mniemania, jakoby Herman należał do obozu przeciwnego Grzegorzowi VII; przeciwnie, zbija twierdzenie o zwrocie Polski w stronę Wibertyzmu po objęciu rządów przez Hermana. Uważa jednak dekrety Grzegorza VII z roku 1080 za niewykonalne w ówczesnym stanie rzeczy, a stwierdzając słusznie, że te dekrety spotkały się wszędzie z oporem panujących, wysnuwa stąd wniosek o konflikcie kościelno-politycznym w sprawie obsadzenia krakowskiego biskupstwa 1079—1082, ponieważ »nawet tak Ko-

Bolesława Śmiałego, w dalekim karynckim klasztorze, odwiodła historyków od trafniejszych domysłów, co z nim stało się po wygnaniu z Krakowa? Świadomy rzeczy Gallus mówi niewiele (I. 28): »magnam sibi Ungarorum invidiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit«. Nie chciał widocznie mówić więcej. Może wygnany król zginął na Węgrzech, może gdzieindziej z ręki Węgrów lub przez nich zdradzony, wy-

---

ściołowi oddany, nawet tak słaby przedstawiciel władzy świeckiej, jakim był nasz Władysław Herman«... »nie mógł zgodzić się na tak daleko idące pretensje« papieża. Pozostawiamy czytelnikowi wybór między tem wyjaśnieniem krakowskiej sedyswakancji 1079—1080, a naszem, chyba o wiele prostszem tłumaczeniem tego faktu. Właśnie dlatego, że dekreta 1080 r. napotkały wszędzie na opór, nie widzę powodu, dlaczegoby w oddalonej Polsce spowodowały naraz wybuch ostrego kościelno-politycznego konfliktu, wskutek którego krakowska stolica biskupia była opróżniona przez 3 czy 4 lata. Musiałem tu, ze względu na wyrażony powyżej mój domysł co do przyczyny tego faktu, dotknąć odmiennego zapatrywania Dra Krotoskiego, jakkolwiek z jego pracą ani nie polemizuję, ani też nie odwołuję się do niej celem poparcia mych własnych twierdzeń czy wywodów. Nie piszę bynajmniej historji św. Stanisława, jak już zaznaczyłem to po kilka razy, ponieważ uważam takie zadanie za rzecz niewykonalną. Dlatego też rozprawianie się z obfitą literaturą tego przedmiotu ograniczam do punktów, koniecznie tego wymagających ze względu na tok mojej własnej argumentacji; inaczej i tak przydługa moja rozprawa urosłaby do rozmiarów osobnego dzieła, bez żadnego dla rzeczy pożytku. Kładę na to wyraźny nacisk, ponieważ Dr. Krotoski już podczas druku niniejszej mojej rozprawy objawił swój żal z powodu jakiegoś (jak mniema) »lekceważenia«, spotykającego cały szereg jego prac o kwestji św. Stanisława *(Kwart. hist.* XXIII, 490). Pracom tym należy się szczere uznanie za wielką sumę mozołu badawczego, którą autor włożył w swoje poszukiwania, odznaczające się gruntowną znajomością obcej historjografji z drugiej połowy XI wieku i literatury, tyczącej się ówczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie. Co do mnie, nie mam sądu o tym przedmiocie, ponieważ nie zajmowałem się nim bliżej; o ile jednak się nie mylę, w przytoczonej rozprawie Dra Krotoskiego nie brak nawet niektórych spostrzeżeń, które zasługują na uwagę w literaturze t. z. sporu o inwestyturę. Szkoda tylko, mojem zdaniem, że autor utopił te spostrzeżenia w rozprawie o św. Stanisławie. Błędnem założeniem tej pracy jest zgóry powzięte przekonanie, że należy wykazać związek pragmatyczny pomiędzy katastrofą r. 1079 a całym przebiegiem współczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie. Są tam niezawodnie pewne punkta styczne, które słusznie uwydatnił Wojciechowski (l. c. 145—207), a w niektórych szczegółach wyraziściej wycieniował Krotoski (l. c. 116 nn.): punkta styczne, polegające na tem, że upadek tak potężnego przeciwnika

dany wrogom i t. p. To pewne, że nie sam przybył na Węgry, ale w orszaku wiernych rycerzy, z żoną i synem; trafne to spostrzeżenie Wojciechowskiego: spostrzeżenie, nie domysł (l. c. str. 283). Nie na to przybył do króla Władysława, którego przed dwoma laty osadził był na tronie — by go znieważyć przy pierwszem spotkaniu i pociągnąć gdzieś dalej. Władysław *aliquantulum aegre tulit* ten wybryk pychy, pewności siebie, ale wybaczył przyjacielowi; wkrótce się pogodzili. Czyżby Bolesław Śmiały, uszedłszy z Polski na czele garstki wiernych rycerzy, tak łatwo dał za wygraną? Czyżby się nie pokusił o ten »zdradziecki« Kraków, z którego był *eiectus?*[15] Czyżby mu król Władysław

Henryka IV, jakim był Bolesław Śmiały, nie minął bez zaważenia na szali współczesnych wypadków europejskich. Czy jednak był jakikolwiek związek między zasadniczą istotą ówczesnych walk kościelno-politycznych a zatargiem św. Stanisława z królem — o tem nigdy nie będziemy nic wiedzieć dopókiby nie odkryły się jakieś nowe, nieznane źródła. Tego zaś chyba dziś nie można przypuszczać ani oczekiwać; wolno było jeszcze spodziewać się tego, dopóki archiwa watykańskie osłaniała tajemnica. Przytoczona praca Dra Krotoskiego dowiodła, mojem zdaniem, jednej rzeczy z niezachwianą pewnością: że wszelkie wysiłki wyjaśnienia historji św. Stanisława zapomocą gruntowniejszego poznania współczesnych kościelno-politycznych walk na Zachodzie nie doprowadzą do żadnego rezultatu, choćby w tę istną pracę Danaid włożono jak najwięcej erudycji i znawstwa epoki. »Konstrukcja«, zapomocą której Dr Krotoski usiłuje wytłumaczyć czteroletnie opróżnienie krakowskiej stolicy biskupiej, może służyć za typowy przykład innych podobnych »konstrukcyj«, wykazujących rzekomo jakąś łączność między polskim zatargiem r. 1079 a współczesnemi wypadkami na Zachodzie; por. l. c. str. 122 nn. Może czytelnik pomyśli, że nie powinienem innym czynić zarzutów tego rodzaju, jeżeli sam nie powstrzymuję się od przypuszczeń, jaki m ó g ł być przebieg wydarzeń w Polsce po katastrofie r. 1079. Aby więc zgóry uchylić to nieporozumienie, jeszcze raz zaznaczam z jak największym naciskiem, że nie przywiązuję żadnej wagi do wyrażonych tu przypuszczeń, i ostrzegam nieustannie czytelnika, aby ich przypadkiem nie brał za »fakta«. Zaznaczam jedynie różne »możliwości«, ponieważ Wojciechowski twierdzi, że jego »konstrukcja« jest »jedynie możliwa«. W tem różnica. I Wojciechowski i Krotoski natomiast, w ciągu pracy nabywają nieuzasadnionej wiary w swoje »konstrukcje«, traktując je jako »fakta« i operują temi rzekomemi faktami w popieraniu nowych »konstrukcyj«, które znów nabierają w ich oczach wartości faktów. To metoda, przeciw której należy się zastrzec. Co do przytoczonej rozprawy Dra Krotoskiego, wadliwości tej metody uwydatniają się, mojem zdaniem, najjaskrawiej w III rozdz., str. 48—74.

15. Jedynie punkt oparcia, na którym zbudowano hipotezę o wojnie węgiersko-czeskiej r. 1086, o zdobyciu Krakowa przez Węgrów (i osadze-

do tego nie dopomógł? Albo bierzmy na serjo opowieść Kadłubka o skrupułach św. Władysława w obcowaniu z wyklętym zabójcą biskupa, albo idźmy za Gallem. On nic nie wie o tych skrupułach, a natomiast wie o serdecznych uczuciach, jakie do końca żywił względem nieszczęśliwego »brata i przyjaciela«, potężnego jeszcze przed chwilą protektora, król węgierski, *mansuetus rex*.

---

niu Mieszka na krakowskiej stolicy, por. wyżej str. 125) — to kombinacja wniosków, wysnutych z ówczesnego falsyfikatu biskupa Jaromira, i z mętnego świadectwa kronikarskiego z XIV wieku. *Cronica Marci*, węgierska kompilacja XIV stulecia (l. c. str. 330), wcześniejsza wprawdzie od naszego Długosza, mniejszej jednak bez porównania wartości, nadmienia o jakiejś wojnie św. Władysława z Polakami, w której zdobyto Kraków, poczem św. Władysław wtargnął do Czech. Niema tu żadnej daty, żadnej zgoła wskazówki, według której by można tę zagadkową wojnę odnieść do r. 1086. To chronologiczne określenie jest już wyłącznie domysłem Lewickiego (»Wratysław II czeski królem polskim«, Przemyśl 1876, str. 24 n.); za nim poszedł Wojciechowski. Mimo wątpliwej wartości tak późnego świadectwa, można w niem jednak, mojem zdaniem, rozpoznać jakieś jądro starej tradycji, które przechowało się podobno w podaniach o św. Władysławie, związane z jego osobą. Znamienny rys podania uwydatnia się mianowicie w anegdotycznym szczególe o zdobyciu Krakowa: Węgrzy oblegają go przez całe trzy miesiące, wreszcie sypią kopiec i pokrywają go mąką, na znak, że mają podostatkiem żywności; widząc to obrońcy Krakowa, zaprzestają oporu i poddają się. Z takiem samem uprawnieniem, jak do r. 1086, możnaby tę wojnę i oblężenie Krakowa odnieść do pierwszych lat po wypędzeniu Bolesława Śmiałego. W takim razie byłaby to interwencja węgierska celem przywrócenia Bolesława na tron, na krakowską stolicę, z której go strącono. Jeśli Bolesław próbował odzyskać utracony tron z pomocą węgierskich posiłków, może w ciągu tych zabiegów udało mu się chwilowo zdobyć gród wawelski, o nim bowiem może być przecież tylko mowa w drugiej połowie XI wieku. Trochę tylko popuścić jeszcze wodze wyobraźni, a można sobie wystawić Bolesława na zdobytym przez Węgrów Wawelu, z pozostawioną mu węgierską załogą, gdy Władysław pociągnął dalej przeciw Czechom. Węgrzy nienawidzili Bolesława, »indeque citius extrema dies eum, ut aiunt occupavit«. Nie twierdzę bynajmniej, że tak było; to jedynie jedna z wielu »możliwości«, której źródła się nie sprzeciwiają; zbyt krucha podstawa, żeby na niej opierać jakiekolwiek domysły, nie kruchsza zresztą od podstaw hipotezy o czeskiem panowaniu w Krakowie i odzyskaniu Krakowa w r. 1086. Jeśli jednak przypadkiem taki był (albo podobny) koniec Bolesława Śmiałego, nie możnaby się dziwić, dlaczego Gallus ten fakt utopił w anegdocie o spotkaniu królów, a nie miał ochoty pisać o nim wyraźnie. To nie posłużyłoby *ad correctionem, qui dominis naturalibus fidem non servaverunt* (I. 19).

Widocznie wdzięczność przemogła, i ból, którego doznał wskutek obelgi w pierwszem spotkaniu z Bolesławem, i oburzenie na przyjaciela, że targnął się na biskupa, jeśli Władysław wogóle wiedział o tym okrutnym czynie.[16] Fantazując o katastrofie Bolesława Śmiałego, nie mogę dla niego znaleźć miejsca gdzieindziej po wypędzeniu z Polski, jak najpierw w gościnie u wychowanka, na jego dworze (Gallus), a potem w krakowskiej ziemi, na czele własnego hufca i węgierskich posiłków, w utarczkach z buntownikami (domysł). Raz mógł być po tej, to znów po tamtej stronie gór, aż po trzech latach, znienawidzony przez Węgrów, zginął z ich ręki, czy może przez nich zdradzony. Tak czy inaczej, zginął tajemniczą śmiercią. Różnie o tem mówiono, jakby przepadł bez wieści. W sto lat po śmierci Bolesława Śmiałego, opowiadano w Polsce, że skończył samobójstwem, »męczony straszną chorobą, niesłychaną«, jakby otruty wolno działającym jadem czy też dotknięty okropnem cierpieniem, karą niebios za umęczenie św. Stanisława.[17]

16. Wojciechowski tłumaczy św. Władysława, dlaczego nie dopomógł przyjacielowi do odzyskania tronu (l. c. str. 283): »Spodziewał się pewno Bolesław, że za pomocą węgierską wróci do Polski i odbije; miał dopiero 35 lat (?); ale nie doczekał się; Władysław widocznie obliczył, że sam jeden nie dałby rady przeciwko czterem: Henrykowi, Wratysławowi, Hermanowi (?!) i Salomonowi«. Ten Salomon, to wyparty przez Władysława potomek Arpadów, który szukał poparcia u szwagra, Henryka IV. Czyż to wszystko nie trąci cokolwiek trójprzymierzem, trójporozumieniem i *splendid isolation* XX wieku? Jeśli już fantazować na ten temat, lepiej nastroić wyobraźnię na średniowieczną nutę. W takim razie, zamiast zbrojnego pokoju, raczej domyślać się wojenki, jakiej wiele w tych czasach, o charakterze tych bohaterskich wypraw Wratysława albo Krzywoustego, o których pisze współczesny Kozmas czy Gallus. W lot zapadały postanowienia o takich wojnach, bez obliczenia: jakie siły wystawi przeciwnik (w tym wypadku krakowscy *traditores*); czy dopiszą lub nie dopiszą zawarte przymierza; jak zachowają się domniemani sojusznicy nieprzyjaciela, którego trzeba było właśne szybko uprzedzić, żeby nie miał czasu porozumieć się z nimi i t. p. i t. p. Do hufca, z którym Bolesław przybył na Węgry, dość było dołączyć parę węgierskich hufców — i dalej za Karpaty! Bolesławowi wprawdzie »zaszkodziło wielce« męczeństwo św. Stanisława, ale nie w tym chyba stopniu, żeby na nikogo nie mógł liczyć w Polsce, gdyby się zjawił na czele wojska po drugiej stronie Karpat.

17. Taką wersję podaje Kadłubek, II. 20, M. P. H. II. 299. Późniejsza tradycja (XIII wieku) zna dwie wersje, zosobna lub w połączeniu: okropny wrzód i obłąkanie, szaleństwo. Ob. *Vita s. Stanislai* M. P. H. IV. 283, Kron. wielkopol., tamże II. 489.

Wszystko to »możliwości« jedynie, nic więcej. Gdyby jednak istotnie wygnany król próbował odzyskać stracony tron, nie dziwiłbym się wcale, że Herman w takim razie stał na uboczu, z właściwą sobie, charakterystyczną biernością, *pius et mansuetus vir*. Nie dziwiłbym się również, jeśliby w takim razie nad jego biernością (czy neutralnością!) czuwała wówczas młoda małżonka, czeska księżniczka Judyta, nie pozwalając powolnemu mężowi mięszać się w walkę o Kraków. Nie mieli jeszcze dzieci; najbliższymi agnatami bliskiej wygaśnięcia dynastji byli przyrodni bracia Judyty, czescy książęta, wnukowie Kazimierza Odnowiciela. I w osobistym więc interesie książęcej pary i w interesie czeskiej dynastji, było wśród walki o tron w Krakowie zachować neutralność, nie zrażać sobie krakowskich panów, którzy zrzucili z tronu zabójcę krakowskiego biskupa; jeśli go rzeczywiście wspierał węgierski król Władysław, wróg Wratysława, ojca Judyty, Herman nie mógł tembardziej pomagać bratu. I może — znów może, nic więcej — może właśnie ta bierność Hermana skłoniła krakowskich wielmożów, że po śmierci Bolesława Śmiałego uznali go swoim panem — »mortuo itaque rege Bolezlavo aliisque fratribus defunctis Wladizlavus dux solus regnavit« (I, 30). Z objęciem rządów w Krakowie, jedną z pierwszych czynności Hermana musiało być obsadzenie opróżnionego biskupstwa, rzecz nagląca po trzyletnich wstrząśnieniach; »pius et mansuetus vir« (II, 21) miał to sobie zapewne za pierwszy obowiązek. Nie spieszył się na razie z przywołaniem synowca. Mieszko hodował się dobrze na węgierskim dworze, liczył dopiero 13 lat. Co innego po czterech latach, gdy uśmierzyły się namiętności, a syn znienawidzonego wygnańca nie tyle już raził zawziętych na ojca krakowskich panów. Skutek pokazał, że i to jeszcze było może za wcześnie. Po sześciu zaś dopiero latach, jeszcze przed rychłym zgonem młodocianego Mieszka, nadeszła wreszcie pora na ekspjację okrutnego czynu Bolesława Śmiałego: w r. 1088 odbyła się uroczysta translacja zwłok zabitego biskupa ze Skałki do katedry — akt, w którym, według mojego pojmowania rzeczy, u »pobożnego a łagodnego« księcia ludzkie uczucie brata zabójcy, mogło łączyć się z przeświadczeniem o ciążącym na nim obowiązku ekspjacji.[18]

---

18. Przywykliśmy uważać Hermana za przeciwnika Bolesława Śmiałego, za wroga, który go strącił z tronu; hipoteza Wojciechowskiego o bun-

Nie twierdzę, by Bolesław kusił się o zdobycie krakowskiej ziemi. To tylko jedna z wielu »możliwości«, której źródła nie przeczą, a z którą bez trudności można pogodzić mętne ich napomknienia o zagadkowej, tragicznej śmierci wygnanego króla. Jeśli tak było, nie wiem zgoła, czy Czesi przeszkadzali wygnańcowi w jego zabiegach, wspierając przeciw niemu małopolskich wielmożów. Moja imaginacja za słaba tu na domysły, a w źródłach nie znajduję żadnego w tym względzie oparcia, nic, coby wskazywało, że choćby jeden rycerz Wratysława pokazał się nad Wisłą pomiędzy r. 1079 a 1082 lub też w następnych latach. Wiem tylko, co stało się w trzy lata po śmierci Bolesława Śmiałego, w r. 1085, na synodzie w Moguncji. Wratysław wystąpił tam ze staremi pretensjami Czech do Krakowa i małopolskich ziem. Odezwały się odwieczne tradycje, sięgające epoki pierwszych Piastów i dalej wstecz, aż jeszcze w czasy Świętopełka. Mógł chyba poprzeć te roszczenia niedawnym faktem: trybutem, który ojciec jego pobierał od Kazimierza Odnowiciela; oparł je na falsyfikacie stuletniego jakoby dokumentu. M o ż e zabiegi Wratysława, uwieńczone pomyślnym skutkiem na synodzie mogunckim r. 1085,

---

cie Hermana, o jego przymierzu z Henrykiem i Wratysławem, celem obalenia starszego brata, narzuca wyobraźni mniemanie o antagonizmie między synami Kazimierza Odnowiciela; może niejednemu czytelnikowi trudno na razie oswobodzić się od tego uprzedzenia, chociażby uznał, że w źródłach brak dla niego poparcia. Może też to wyda się dziwnem, że gotów jestem przypuszczać w Hermanie łączność albo kolizję braterskich uczuć z przeświadczeniem o potrzebie ekspjacji czynu Bolesława. Warto zwrócić uwagę, że Herman dał synowi, o którego narodzenie tyle się modlił, którego wyczekiwał z takiem upragnieniem, nie inne jak nieszczęśliwego stryja imię: B o l e s ł a w. Symbolika imienia, wybranego dla narodzonego dziecka, miała niezawodnie inne znaczenie i siłę inną w XI wieku, niż dzisiaj. I dziś jednak, nawet w najbardziej racjonalistycznem środowisku, byłoby to szczególną rzeczą, gdyby młodszy brat dał upragnionemu pierworodnemu synowi imię znienawidzonego starszego brata, przeciw któremu podniósł bunt, którego strącił z tronu i wygnał, którego pamięć przeklinał! Może nie bez znaczenia jest wzmianka Kozmasa o śmierci Judyty Wratysławówny i o imieniu jej syna (Mon. Germ. h. SS. IX, 91): »Filius autem eius post in baptismate n o m i n e s u i p a t r u i Boleslao vocatus«. Kozmas miał około 40 lat w roku urodzenia Bolesława Krzywoustego; był kapelanem na dworze jego dziada. O Bolesławie Śmiałym wcale prawie nie pisze. Wyrazy: *nomine patrui sui* są zatem podobno czemś więcej niż prostem stwierdzeniem tożsamości imion Bolesława Śmiałego i Bolesława Krzywoustego.

rozpoczęły się jeszcze przed paru laty, przed śmiercią Bolesława Śmiałego, gdy los krakowskiej ziemi nie był rozstrzygnięty. Bądź co bądź, w tem teoretycznem uznaniu rzekomych praw czeskiej dynastji do Małopolski niema zgoła powodu upatrywać nieprzyjaznego kroku, zwróconego przeciwko Hermanowi; wartość tego aktu była widocznie obliczona na przyszłość, a jeszcze w maju 1085 r. bezdzietność Hermana i Judyty, od kilku lat trwająca, nie rokowała im nadziei potomstwa.[19] Może jednak te zabiegi teścia zaczęły wreszcie zięcia niepokoić, pomimo jego indolencji,

19. Wiadomo, jaki nacisk kładzie Gallus na cudowne urodzenie Bolesława Krzywoustego po daremnem oczekiwaniu potomstwa przez tracących nadzieję rodziców (I. epist., epil., 30, 31). Herman ożenił się nie rychlej jak w r. 1080 (Balzer: »Genealogja Piastów«, str. 102), Krzywousty urodził się r. 1086; sześcioletnia zatem bezdzietność książęcej pary nie wytwarzała jeszcze tak beznadziejnego położenia, jak to Gallus przedstawia. »Cudowne« urodzenie bohatera kroniki przyczyniało mu niezawodnie pożądanego nimbu. Cokolwiekby jednak kłaść na karb tego motywu w tak silnem akcentowaniu »cudu«, zdziałanego za wstawiennictwem św. Idziego, sama opowieść Galla zasługuje najzupełniej na wiarę (votum, posty, modlitwy, poselstwo do Prowancji) i świadczy w każdym razie o niepokoju książęcej pary, trapionej kilkoletnią bezdzietnością. Obok ludzkich motywów, odgrywały tu zapewne niemałą rolę czynniki polityczne. Domowi Piastów groziło wygaśnięcie; jedyną ostoją przyszłości domu był przygarnięty przez św. Władysława syn Śmiałego, którego widoki do odzyskania utraconego tronu przedstawiały się niezawodnie w dość niepewnem świetle, po niedawnem wypędzeniu ojca, a może i po jego bezowocnych zabiegach o odzyskanie Krakowa. Można sobie wyobrazić, że położenie Hermana po objęciu rządów nie było bardzo pewne, pod bezpośrednim wpływem dopiero co minionych wstrząśnień. Niepewność położenia wobec bezdzietności książęcej pary nie przyczyniała się do utwierdzenia pozycji Hermana. Na tem tle łatwo pojąć, jaką wagę przywiązywano do urodzenia męskiego potomka; niemniej zaś rozważenie tej sytuacji ułatwia zrozumienie moguncklego aktu r. 1085, którego wartość obliczona była niezawodnie na przyszłość. Uwagi te wydadzą się może zbytecznemi. Nie są jednak może tak jałowe, jakby można sądzić, jeżeli się o tem pamięta, że mylne pojęcie o znaczeniu moguncklego aktu, jakoby zwróconego przeciw Hermanowi (wraz z mylnem jego datowaniem: 1086 zamiast 1085) posłużyło za podwalinę mylnych konstrukcyj o wydarzeniach r. 1086, o rzekomym zwrocie w polityce Hermana, o przerzuceniu się jego na stronę św. Władysława i t. p. Przytoczona powyżej rozprawa Lewickiego (»Wratysław II czeski« i t. d.), która cały ten łańcuch pomyłek wprowadziła do naszej literatury historycznej — to jedna z pierwszych prac tego nieodżałowanego badacza, odbijająca jaskrawo ryzykowną śmiałością domysłów od zrównoważonej trzeźwości jego późniejszych badań.

odkąd miał prawowitego syna; może też czuwał nad mogącem stąd urosnąć niebezpieczeństwem wszechwładny palatyn Sieciech, któremu podobno Herman zawdzięczał panowanie w Krakowie.[20] Dość, że po śmierci Judyty Wratysławówny, »pius et mansuetus vir«, dbając o święty spokój i bezpieczeństwo, poszukał sobie żony, której rodzinne związki mogły być skuteczniejszą tarczą przeciw czeskim zachciankom od koligacji z czeską dynastją. Pojął w małżeństwo siostrę Cesarza Judytę, owdowiałą po Salomonie węgierską królowę.[21] Czy dobrze na tem wyszedł jako małżonek, jako ojciec Krzywoustego — to jego sprawa. Miał jednak spokój, jeśli nie w domu, gdzie »królowa Judyta« wichrzyła po swojemu, nastając wespół z Sieciechem na zgubę pasierbów, ale z zewnątrz przynajmniej, ze strony dawnego teścia, nie groziło mu niebezpieczeństwo czeskich pretensyj, Wratysława bowiem trzymał na wodzy nowy szwagier Hermana, Cesarz. Czy zaś Judyta, knując intrygi przeciw dwu młodym latorośloom Piastowskiego domu, miała może także na oku polityczny interes brata, czy też kierowały nią tylko osobiste pobudki niegodziwej kobiety, jaką była i w Polsce i przed przybyciem do Polski — o tem już nie potrafię wyrzec żadnych domysłów. Co do Cesarza wreszcie i jego stosunku do Polski, niewiele go chyba to obchodziło, jakich przekonań biskupi zasiadali na odległych stolicach Piastowskiej monarchji, Gregorjanie czy Wibertyści,[22] byle na tron ksią-

---

20. Dawny to już mój domysł, ob. »Szkice historyczne« (Warsz. 1883) II. 24 n. Nie miał powodzenia; nikt, o ile mi wiadomo, nie zwrócił nań uwagi. Dopiero po wielu latach rozwinął go szerzej Dr Krotoski, l. c. str. 153.

21. Salomon był rywalem św. Władysława; z Węgier wyparł go Bolesław Śmiały, osadzając Władysława na tronie. Nie próbowano, o ile pamiętam, przypisywać politycznego znaczenia małżeństwu Hermana z wdową po Salomonie, jakoby je należało uważać za nowy zwrot polityki Hermana przeciw św. Władysławowi, rywalowi pierwszego męża Judyty. I słusznie, ponieważ Judyta żyła najgorzej z pierwszym mężem, a raczej nie żyła z nim wcale, opuściwszy Salomona po wypędzeniu z Węgier. Najgorsza reputacja, jaką Judyta zdobyła sobie przed przybyciem do Polski, pogorszyła się chyba jeszcze podobno w jej drugiem małżeństwie. Por. Wojciechowski l. c. str. 222, 333, 336—337, oraz wyżej P. P. II. 442.

22. O »polityce kościelnej« Hermana por. Wojciechowski l. c. str. 241 n., 322, 333—334, Krotoski l. c. 154 n., 168 n. Co do mnie, sądzę, że obaj autorowie chcą za wiele wyczytać z ułamkowych źródeł, pisząc o »polityce kościelnej« Hermana i o gregorjanizmie lub wibertyzmie ówczesnego polskiego episkopatu albo niektórych biskupów, o których ledwie wiadomo

żęcy nie dźwignął się wojownik w stylu Bolesława Śmiałego, w którymby sprzymierzeńca znaleźli *traditores episcopi et principes Imperii.*

Ostatni ten punkt jedynie mamy za coś więcej niż za czcze przypuszczenie; zresztą, same to tylko domysły, nic więcej jak domysły. Czy gorsze jednak, czy mniej prawdopodobne od różnych śmiałych konstrukcyj, któremi wypełniono próżnię pierwszych lat po katastrofie r. 1079 — niech o tem wyrokują kompetentni sędziowie. Dla mnie ten wyrok będzie obojętny, bo zastrzegłem się zgóry, że wcale nie przywiązuję wagi do tych domysłów (str. 131—138). Chciałem tylko pokazać, *exempli gratia,* że nieznana historja paru lat po upadku Bolesława Śmiałego dałaby się rekonstruować *totaliter aliter,* niż to dotąd czyniono, bez pretensji, co prawda, do ustalenia stwierdzonych »faktów«, ale też chyba i bez istotnych metodycznych omyłek. Gdyby kto zatem chciał poczytać hipotezę Wojciechowskiego o latach 1079—1086 za potwierdzenie jego bezpodstawnych domysłów o charakterze i o przebiegu katastrofy Bolesława Śmiałego, czy za środek sprawdzenia wartości tych domysłów — może uwagi o »możliwości« innej, odmiennej zgoła »konstrukcji« dziejów tego siedmiolecia skierują myśl czytelnika ku refleksji: co warte wnioskowanie *ab ignotis de ignotis,* jak kruche są wiązania, któremi nawzajem wspierają się historyczne »konstrukcje«, budowane z wątłego materjału domysłów, bez kitu stwierdzonych faktów.

Ignorabimus. Nie znamy i nie poznamy historycznego biskupa Stanisława, który zasiadał na krakowskiej stolicy od roku 1072 [23] do 1079 i padł ofiarą zagadkowego starcia z królem

(i to nie bez niejakich zastrzeżeń), że wogóle egzystowali w tym czasie. Dość przytoczyć np. następujące rozumowanie (Wojciechowski l. c. str. 334): »Żeby ci Niemcy mieli otrzymać katedry jeszcze za Bolesława, to nie da się przypuścić, bo ten obsadzałby jeżeli nie Polakami (jak Stanisław) to raczej Włochami albo Francuzami«. Przecież polityka Bolesława, zwrócona tak energicznie przeciw niemieckiemu imperjalizmowi, nie była bynajmniej jakimkolwiek bojkotem niemczyzny, a z książętami niemieckimi, świeckimi i duchownymi, rzadko Polska Piastowska pozostawała w tak ścisłych stosunkach (z jednym mianowicie ich obozem) jak za Bolesława Śmiałego. Nie obojętne przyczynki do sprostowania niektórych domysłów Wojciechowskiego w tym przedmiocie podaje Krotoski l. c. str. 154—157.

23. Roczn. kapit. krak. MPH. II. 795. Data pewna, pochodząca niezawodnie ze starych, zaginionych zapisek katedry krakowskiej.

Bolesławem. Pogódźmy się z tym faktem, że Polska IX wieku, a raczej ta mgławica, z której w następnych wiekach wyłoniła się Polska — to nie ówczesne Niemcy, Włochy, Francja, lub Anglja. Luźne, niepowiązane z sobą, ale pewne, stwierdzone fakta naszej historji XI wieku, rozstawione w szerokich odstępach czasu, przedzielone niekiedy całemi szeregami lat, nie złożą się nam nigdy na taki barwny a pragmatyczny i zrozumiały wątek dziejowy, jakim radzibyśmy wypełnić epokę Bolesławów. Zrezygnujmy. Historyczny biskup Stanisław pozostanie na zawsze nieznaną postacią.

Natomiast patron Polski, święty Stanisław, pierwszy Polak, którego Kościół zaliczył w poczet świętych, przedmiot czci siedmiu wieków i u nas i u obcych — to temat historyczny, wart monografji, w której przyszłoby raczej giąć się pod obfitością bogatych materjałów, niż ubolewać nad brakiem źródeł. Wypełniłyby ją rzetelne, stwierdzone fakta, jędrne przyczynki do dziejów polskiej kultury, tak mało dotąd opracowanych — nie pajęczyna przypuszczeń i domysłów. W rozpięciu siedmiu wieków, od nieznacznych początków kultu św. Stanisława, aż do dzisiejszych, ku jego trumnie zdążających pielgrzymek, pośmiertne dzieje biskupa-męczennika, skreślone z ścisłą prawdą historyczną, będą wiernem odbiciem nastrojów polskiej duszy na tle następujących z kolei epok.[24] Warto rozpoznać, czem był dla Polski mistyczny

24. Co do początków kultu św. Stanisława, cenne przyczynki do tego przedmiotu znajdują się w dawniejszych pracach Wojciechowskiego: »O rocznikach polskich X—XV wieku« (Pamiętnik Wydz. hist.-filozof. Akad. Um. w Krakowie IV. 167), »O życiu i pismach Wincentego z Kielc« (tamże V. 30 n.), »Kościół katedralny w Krakowie« str. 130 nn. Trafne to spostrzeżenie (Pam. W. h.-f. A. U. IV. 167), że przy katedrze krakowskiej już w XII wieku był spis łask i cudów, które przypisywano orędownictwu św. Stanisława. Natomiast, co do mnie, nie sądzę, żeby j u ż translacja ciała św. Stanisława w r. 1088 była wyrazem tak wczesnego zamiaru starań o kanonizację biskupa-męczennika, trudno bowiem do tego zamiaru odnieść przytoczone przez W. słowa Kadłubka (II. 20): »cuius translationis causam non ignoras«. Zgodziłbym się raczej z późniejszem zdaniem Wojciechowskiego, że jeszcze biskup krakowski Giedko (1166—1186) nie marzył nawet wcale o kanonizacji swojego poprzednika (Kościół katedr. w Kr. str. 134). Z kultem św. Stanisława było zapewne nie inaczej jak zwykle; trafnie stwierdza to Wojciechowski co do kultu współczesnego św. Stanisławowi arcybiskupa Bogumiła (Szkice hist. XI w., str. 86 nn.). Tu i tam żywa, głęboka wiara ludu w świętość i w skuteczność orędownictwa uwielbionego

nastrój XIII wieku, związany ściśle z kultem tej narodowej świętości, z rosnącą czcią własnego biskupa męczennika. To źródło potężnych natchnień, które stworzyły »wiek polskich świętych«, z św. Jackiem na czele, »jednym z najznakomitszych mężów, jakich wydała Polska«.[25] Godzi się stwierdzić, jak silną dźwignią zachwianej spójni, wpośród rozczłonkowania dzielnicowej epoki, był fakt kanonizacji św. Stanisława i bezpośredni wpływ tego aktu na psychologję Polan, Kujawiaków, Mazurów, Sandomierzan, Ślązaków, którzy czuli się Polakami, połączeni z Krakowem w wspólnej czci ziomka, patrona Polski, za jego czasów niepodzielnej niegdyś i jednolitej. Pod wrażeniem kanonizacji nabiera nawet podniosłego polotu oschły styl Wincentego z Kielc: »Bóg, świadom przyszłych rzeczy; On karci grzechy przodków aż do trzeciego i czwartego pokolenia potomków; On jeden wie, kiedy się ulituje nad polskim narodem i z ruin go podźwignie, i na to w skarbcu krakowskiej katedry (tu jest bowiem stolica dawnych królów) zachował królewskie insygnia aż do dzisiejszych czasów, koronę, berło i włócznię, póki się ten nie pojawi, dla kogo one są przeznaczonego, od Boga powołany jak Aron«.[26] Misty-

---

pasterza utrzymywała się i wzrastała długo przed podjęciem jakiegokolwiek oficjalnego kroku władz kościelnych w sprawie zebrania dowodów, na podstawie których rozpoczynano starania o beatyfikację lub kanonizację. Co do św. Stanisława, sądziłbym, że pierwsza myśl zabiegów o kanonizację mogła właśnie powstać za rządów biskupich Giedki, w jego bowiem czasach zaszedł wstrząsający fakt zabójstwa Tomasza Becketa (1170). Wśród ludu utrzymywało się oddawna przeświadczenie o świętości zabitego przed stu laty krakowskiego biskupa; dowodem tego przeświadczenia: wiara w zdziałane za jego sprawą cuda, sięgające głęboko w XII stulecie. Gdy więc, w dwa lata po zamordowaniu Tomasza Becketa, papież zaliczył go w poczet świętych, duchowieństwo krakowskie musiało zastanowić się, czy to nie grzech zaniedbania, że nie czyniono żadnych kroków w sprawie kanonizacji św. Stanisława. Wówczas też — jak to trafnie zaznaczył Wojciechowski — zaczęto spisywać świadectwa o cudach zdziałanych za wstawiennictwem rodzimego biskupa-męczennika, o których między innymi składał zeznania magister Benedykt, kolega Wincentego Kadłubka, późniejszego biskupa. Na tem tle łatwo też zrozumieć, że Kadłubek był tak gorącym szermierzem czci św. Stanisława i jej rozpowszechnienia. Na te czasy przypadła młodość Kadłubka.

25. Tak nazywa św. Jacka Wojciechowski w rozprawie »O życiu i pismach Wincentego z Kielc« (Pamiętnik Wydz. hist.-filozof. Akademji Umiej. V. 32).

26. »Vita S. Stanislai«, M. P. H. IV. 393.

czna symbolika XIII wieku związała piękną legendę o cudzie nad zwłokami św. Stanisława z pragnieniem i nadzieją odbudowania rozczłonkowanej Polski: jak cudownie zrosło się ciało męczennika, tak i ojczyzna jego podźwignie się z rozbicia, odzyska utraconą godność królewską, po zadośćuczynieniu za krew świętego Patrona. Wyczytujemy dziś te myśli z pożółkłych pergaminów, gdzie spoczywały przez sześćset lat; u schyłku XIII stulecia tryskał z nich zdrój żywotnych sił, potęgowanych wiarą i serdeczną modlitwą: od ołtarzy i z ambon idea jedności narodowej wnikała w szerokie warstwy ludu i w jego przodowników, rodziła czyny, torując drogę budowniczym odradzającej się Polski, Przemysławowi i Łokietkowi. I tak przez odrodzenie, przez utwierdzenie królestwa Piastów — przez Akademję Kazimierzowską, w której herbie jaśniała postać św. Stanisława, wsparta na tarczy z godłem odrodzonej ojczyzny — przez chrzest Litwy, przez wileńską katedrę pod wezwaniem Patrona Polski — przez Grunwald, Orszę, Chocim, Częstochowę, Wiedeń — przez Wysza i Zbigniewa, Kantego i Długosza, Kostkę, Hozjusza, Skargę, Bobolę — żywa wiara w orędownictwo św. Stanisława nie przestawała spuszczać obfitej rosy owocnych wzruszeń, podniosłych natchnień, w długim szeregu kilkunastu pokoleń, osadzając trwały ślad w życiu, w sztuce, w poezji, lecz przedewszystkiem w czynach, wymagających męstwa i mocy charakteru. Zabrakło jej królowi, który na chrzcie otrzymał imię Patrona Polski, ostatniemu królowi i jego pokoleniu. Za to polscy biskupi szli do więzienia i na wygnanie z modlitwą o dar męstwa, na wzór Patrona rozdartej ojczyzny... A dziś ten sam grób męczennika, który przez sześć stuleci podtrzymywał na Śląsku wątłą, przygasłą iskrę polskości, jedyny przez długie czasy łącznik śląskiego ludu z Krakowem, ściąga zawsze liczne rzesze pielgrzymów z Górnego Śląska, choć im to nieraz grozi utratą chleba.

»Przy grobie Stanisława jest o czem pomyśleć«. Temi słowami kończy się książka Wojciechowskiego. Godzi się te słowa powtórzyć.

Ostatni nieprzyjaciel »biskupa Stanisława« nie przepuścił Świętemu w jego pośmiertnych dziejach. »Możnaby spierać się o to — mówi — czy idea takiego biskupa, jakim sobie wyobrażano Stanisława w XIII wieku, nie była wtedy potrzebną dla dalszego rozwoju duszy polskiej. Byłaby to głębsza racja kano-

nizacji. Ale trudno mówić o tem dowodnie, zwłaszcza, że w dziejach XIII wieku nie widać, iżby ta kanonizacja przyniosła jakąkolwiek korzyść moralną czy polityczną. Żywoty Stanisława spisane przez Kieleckiego, rozważone jako produkt dziejopisarski, to istotna nędza umysłowa. Ale gorzej, bo nie tylko umysłowa. Żeby przedstawić Stanisława świętym, trzeba było wymyślać na Bolesława potwarze takie obrzydliwe, że równie szpetnych nie spotkać w naszej historjografji. Ale niedość, trzeba było postawić taką tezę historyczną: że za jednego biskupa Pan Bóg sroży się nad całym narodem przez długie pokolenia, karze zarówno winnych jak i niewinnych, odbiera koronę, rozdziera ojczyznę na kawały i rzuca ją postronnym na złupienie i t. d. Taką myśl przewrotną wypowiadali autorowie kanonizacji uroczyście i śmiało, chociaż cała ich rzecz polegała od początku na zaniedbaniu i pomyleniu faktycznej prawdy. Przy grobie Stanisława jest o czem pomyśleć«.

Przyznaję, że nie rozumiem dobrze ani tej wzmianki o »pomyleniu faktycznej prawdy« ani też tego zgorszenia czy oburzenia, jakie w czcigodnym autorze »Szkiców XI wieku« budzą poglądy XIII stulecia. Kto włożył tyle trudu w badania średnich wieków, tyle zasług w nich zdobył, mógł był wynieść z tych studjów więcej wyrozumienia dla zapatrywań, których przecież nikt nie poczyta za osobisty pomysł skromnego O. Wincentego.[27] Nie znać też zgoła takiego niewczesnego zgorszenia w osobnem, monograficznem studjum o Wincentym z Kielc, które Wojciechowski przed laty (1885) poświęcił temu pisarzowi XIII stulecia. »Można spierać się o to«, czy ten gorący czciciel Patrona Polski »wymyślał obrzydliwe potwarze na Bolesława Śmiałego«, czy też to są jedynie »amplifikacje« żywych jeszcze naówczas podań o zabitym biskupie i o jego zabójcy. Może w samej tradycji,

27. Warto z tym bezwzględnym sądem porównać przedmiotowe, na głębszem zrozumieniu oparte uwagi Dra Handelsmana o tym samym przedmiocie (»Historja polskiego prawa karnego«, II. 72—73): »Średniowieczna, mistyczna Polska stworzyła legendę głęboką, stworzyła w niej ciekawą koncepcję historjozoficzną. Wyniesiony potężnem uczuciem rozmodlonego ludu na stanowisko bohatera, uosabiając losy narodu, biskup-zdrajca, »traditor« Gallusowy, przerasta wszystkich męczenników średniowiecznych. Losy jego, to losy Polski i jednocześnie Kościoła. Jak krwawe człony ciała jego, tak z czasem zrosnąć się mają dzielnice Polski, rozstrzępione w rękach Piastowiców« i t. d. Por. tamże I. 240.

wśród rosnącego kultu św. Stanisława, pasmo pięciu pokoleń przydało już niejeden wstrętny rys do postaci króla-tyrana, na której obraz i w współczesnem opowiadaniu Galla złożyło się niemało dość drastycznych szczegółów. Wyobraźnia nie próżnowała. Każdy wiek ma swój nastrój, swoje uczucia miłości i nienawiści, ma także swoje domysły i wymysły. I mniej dziwić się można naiwnym ubarwieniom biografów św. Stanisława, niż uczonym domysłom dzisiejszej erudycji, opatrzonym w aparat krytycznego jakby rozumowania. Jedno i drugie płynie z tych samych źródeł, z miłości, podnieconej zacnemi pobudkami, i z nienawiści, zawsze zaślepiającej — tylko że długi odstęp sześciu stuleci ku przeciwnym biegunom kieruje te uczucia.

Trzeba wmyślić się w psychologję zacnego erudyta, oddanego badaniom dalekich czasów, gdzie skąpe błyski stwierdzonych faktów migocą w ciemni długich okresów. Z zaparciem siebie, bo wyrzekł się poklasku, żyje zamknięty w kręgach swoich dociekań: *ne tangas circulos meos*. A przecież, Polak, świadom przeszłości, odczuwa żywiej od innych wszystkie bóle narodu, dzisiejsze, szarpiące duszę, i dawnych wieków bóle, zgojone, zabliźnione; czuje nerw, który je łączy; pragnąłby ten nerw uchwycić. Więcej niż z żyjącymi, obcuje z ludźmi minionych czasów; widzi w nich takich samych jak dziś szkodników lub budowniczych lepszej przyszłości; sięga w ich duszę wzrokiem imaginacji. Im większy dar intuicji, tem wyraźniejsze rysy czasów i ludzi odtwarzają się w wyobraźni, a blady tylko ich odblask wychodzi na jaw, bo pióro w ręku, bądź co bądź, trzyma na wodzy polot fantazji. Ale w wewnętrznem życiu badacza drga żywość uczuć, o której nie sądzić drugim z oschłych dociekań, obciążonych balastem źródłowych cytat. Nie trzeba na to takich postaci, jak ks. Józef albo Kościuszko, czy też Poniński lub Radziejowski — nawet Bolesław Śmiały przemówi żywo do wyobraźni, poruszy do głębi duszę, jeśli kto z nim obcuje całemi miesiącami, z myślą ku niemu wyłącznie skierowaną, przetrząsając bez końca stosy foljałów, z daremnem często oczekiwaniem, że znajdzie w nich coś nowego. Bolesław Śmiały!... Błysnął ten meteor w mroku XI wieku blaskiem niby Chrobrego, prawego ojca Piastowskiej Polski, i zgasł, a przepaść, do której runął, pochłonęła na zawsze potęgę Bolesławów, odporność młodego państwa, chwałę, królewską godność. Przy koronacji Bolesława Śmiałego, pod

r. 1077, trudno powstrzymać lot wyobraźni: dokąd szła Polska, gdzie mogła dotrzeć, gdyby nie ten kataklizm, zagadkowy kataklizm r. 1079, i jego skutki, dwuwiekowe rozbicie. Nie bezpośrednie to wprawdzie, w całej swej rozciągłości, ale widoczne, nieuchronne następstwo upadku mężnego króla. Niech przy tem zamajaczy błędny ognik »odkrycia«: kto winien, kto sprawcą tej katastrofy — a oburzenie na rzekomego winowajcę czy winowajców weźmie niepowstrzymany rozpęd, wraz z domysłami, wyczytanemi z błędnej interpretacji tekstów, pod wpływem podnieconej imaginacji, której ubóstwo źródeł nie może pohamować; chwyta po drodze nieswoje domniemania, przez innych mimochodem rzucone, i przelewa się szumem fikcji na temat »sądowego procesu«, »legalnej egzekucji«, ku tem większemu zohydzeniu »skazańca«.[28] I za grób sięgá, i tam nie szczędzi Patrona

28. Do mimowolnych zapewne odruchów tej antypatji (które jednak służą za środek zohydzenia św. Stanisława) należy zaliczyć charakterystyczne napomknienie (l. c. str. 299): »jako świecki ksiądz mógł być nawet żonatym, jak podówczas cała większość kleru białego« i t. d. Że »bardzo późno powiodło się Stolicy Apostolskiej ustalić w Polsce bezżenność księży«, to rzecz dawno znana i stwierdzona, mylne jest tylko zdanie autora »Szkiców«: »NB. nie zwraca się u nas na to uwagi«. Pomijając badania naukowe, które ten fakt dawno wyjaśniły, dość nadmienić, że nawet »Podręczna encyklopedja kościelna« ks. Z. Chełmickiego szeroko rozwodzi się o tem V-VI. 359—361, i to z obfitszym aparatem naukowym, niż w tej pobieżnej wzmiance »Szkiców« l. c. Mniejsza o to; mylne jednak, a co najmniej wielce wątpliwe jest twierdzenie (l. c. 300), jakoby przed ustaleniem celibatu, i b i s k u p i żonaci byli w Polsce zwykłem zjawiskiem. Wypowiadam to zdanie stanowczo, jakkolwiek Wojciechowskiemu wtóruje w tym przedmiocie nietylko prof. Abraham (Kwart. hist. XVIII. 573) ale i autor przytoczonego artykułu »Podręcznej encyklopedji kościelnej«, wobec czego możnaby mniemać, że to rzecz rozstrzygnięta w nauce. Nie imponuje mi przedewszystkiem cytat Wojciechowskiego (l. c. 300): *Monumenta Lubensia edidit Wattenbach. Breslau 1861, str. 11;* takich cytatów należałoby już raz na zawsze zaniechać. Pod tym tytułem wydał Wattenbach parę drobiazgów z rękopisów klasztoru lubiąskiego, między innemi także późny, z XIV wieku, katalog wrocławskich biskupów. W tym katalogu czytamy: »Anno Domini 1148 ordinatus est Waltherus episcopus nonus Wratislaviensis. Usque ad hunc dicuntur quidam episcoporum totius Poloniae uxorati fuisse et maxime chanonici et omnes sacerdotes facti generi ac soceri nobilium terrae«. Ciekawa tradycja, bezwątpienia. Za Waltera powstał klasztor lubiąski. Opowiadano sobie w Lubiążu, około r. 1319, kiedy tam spisano ten katalog, że w Polsce była niegdyś taka dzicz, w dawnych wiekach, nim Bolesław Wysoki sprowadził z Niemiec pierwszych mnichów do Lubiąża.

Polski, którego nieznana historyczna postać uchyla się niestety od krytycznych dociekań, w tym czy w innym kierunku — dla braku źródeł. Ten brak realnej podstawy do naukowych badań i żywość uczuć w piersiach badacza, pod pozornym puklerzem zimnego krytycyzmu — to dwa składniki w Wojciechowskiego »Faktum biskupa Stanisława«.

Zmylona erudycja nie wyrządziła szkody, trwałej szkody przynajmniej. Raczej przeciwnie. Tyle pojawiło się bezowocnych prób wyjaśnienia katastrofy r. 1079, że nauka powinna była zaniechać ich od dawna dla uchronienia swej powagi od szwanku.

Śląsk XIV wieku był już czemś odrębnem od Polski; opowiadano o takiej dziczy w Polsce, której częścią składową był Śląsk przed założeniem lubiąskiego klasztoru; w wyrazach *totius Poloniae* nie należy kłaść nacisku na *totius*, jakby w tej dzikiej Polsce miało roić się od żonatych biskupów. *Quidam* wyraża wreszcie (obok następującego *et maxime*), że i w mniemaniu niemądrego mnicha XIV stulecia, autora katalogu, żonaci biskupi polscy nie byli pospolitem zjawiskiem. Był to zaś jakiś *frater* słabej inteligencji; Wattenbach mówi o nim: *unglaublich schwache kritische Begabung;* taką powagą lepiej się nie zasłaniać. Zdarzają się w innych, wiarygodniejszych źródłach, w dokumentach XIII wieku i w wcześniejszych nekrologach, takie wzmianki jak *Andreas filius episcopi Cazlavi, Miroslavus filius archiepiscopi* i t. p. Właśnie jednak dlatego, że te wzmianki sięgają aż w drugą połowę XIII wieku, należy być ostrożnym w opartem na nich wnioskowaniu, ponieważ wówczas celibat w Polsce oddawna był ustalony (wyjątki w rodzaju sędziwego kanonika Trojana były białemi krukami), a »żonaty biskup« musiałby już uchodzić za niesłychaną monstrualność. Krytyczniej chyba rozważał te wzmianki przed 50 laty biskup Łętowski, mniemając, że ci biskupi, ojcowie Jędrzeja, Mirosława i t. p., biskupami conajmniej zostali dopiero po owdowieniu. Kto inaczej sobie to wyobraża, powinien wskazać jakąkolwiek analogję poza granicami Polski, nie już w XII wieku, ale choćby przed Grzegorzem VII, choćby z sąsiednich Czech, gdzie ustalenie celibatu również szło oporem. Inna bowiem rzecz: tolerowanie małżeństwa księży (jak na Wschodzie), długo nawet po Grzegorzu VII — inna zupełnie: rzekome tolerowanie małżeństw biskupich, rzeczy i we wschodnim Kościele niesłychanej od r. 692. Niech kto chce i kogo na to stać, wyobrazi sobie legatów Grzegorza VII, którzy, po przybyciu do Polski, obcowali tam z żonatymi biskupami — ja nie potrafię. Poza tem, co najmniej, niesmacznem napomknieniem, jakoby św. Stanisław mógł być żonatym, wszystkie inne uwagi autora »Szkiców« o rodzie i jego pochodzeniu, mają rzetelną wartość bystrych kombinacyj z cechami niemałego prawdopodobieństwa. Tu znów Wojciechowski znalazł się na swoim gruncie, znów wydobywa misterne spostrzeżenia z późniejszej tradycji i oddziela jej ziarno od plewy, jak w tylu innych rozdziałach »Szkiców« (I-VI).

Sam Wojciechowski osądził je surowo a sprawiedliwie (l. c. str. 254—255). Nie powstrzymało go to od nowej, równie bezużytecznej próby, ponieważ mniemał, że potrafił odgadnąć rzeczywiste znaczenie niejasnej wzmianki zawiłego tekstu w współczesnej kronice Galla (I, 28); zdawało mu się, że z tego rzekomego »odkrycia« wykrzesał nowe, a całą sprawę rozjaśniające światło. I dowiódł niewątpliwie, że »grzeszna zdrada biskupa Stanisława« nie da się stwierdzić bez naciągania i mylnej z gruntu interpretacji źródłowych tekstów; że nawet badacz tej miary nie mógł ustrzec się tych uchybień, skoro niepomny losu tylu swych poprzedników, uległ ponęcie tego intrygującego tematu. Nauka musi to uznać, choć w pierwszej chwili ustalona powaga Tadeusza Wojciechowskiego pokryła rażące błędy jego argumentacji; nie pierwsze to i nie ostatnie zjawisko tego rodzaju. Ale właśnie t a firma i t e n rezultat złożą się niezawodnie na skuteczniejsze w przyszłości ostrzeżenie. Trudno chyba o lepszy, radykalniejszy środek na stuletnią gorączkę, która po tyle razy odnawiała się w naszem dziejopisarstwie, wyprowadzając na jaw, za każdem powtórzeniem, coraz inne widziadła. Dla ozdrowienia, wystarcza jedno orzeczenie nauki: że *traditor episcopus* Galla nie uwłacza tak samo czci i pamięci Patrona Polski, jak *traditor regni* w uroczystym dekrecie 27 biskupów XI wieku nie czyni ujmy Grzegorzowi VII.

SPIS RZECZY.

Str.

Słowo do drugiego wydania 5
Pokłosie dyskusji 7
I. Meritum sporu naukowego o św. Stanisławie biskupie . . 7
II. Znaczenie ankiety w sprawie św. Stanisława 12
III. Kwestja św. Stanisława po ankiecie *Przeglądu Powsz.* 21
IV. Factum męczeństwa św. Stanisława biskupa 31
Głos Dra Wojciecha Kętrzyńskiego 37
Głos Wiktora Czermaka 41
Głos Antoniego Prochaski 47
Głos Dra Adama Miodońskiego 52
Głos prof. Stanisława Smolki 74




SEMINARIUM
Uniwersytetu
Jagiellońskiego
HISTORYCZNE